

SKRYPT FLEMINGA

SKRYPT FLEMINGA.



POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z CZASÓW AUGUSTA II-GO,

PRZEZ

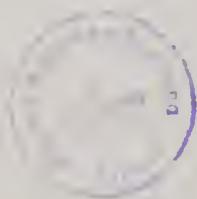
J. I. KRASZEWSKIEGO.



WARSZAWA.
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1879.

Дозволено Цепзурою.
Варшава, 23 Октябрія дня 1878 года.



Nie będziemy opisywali podróży utrapionój, odbytej na wozie pana Połubińskiego, a potem na płozach, które pod niego podłożyć musiano, dla ogromnych śniegów. Z ciężkością musieli się przez ogromne zaspy przedziierać, w których kilka razy grzęzli i leżeli. Wlekli się, śpiesząc obaj, pomimo dosyć dobrych koni, z powodu tej zimowej pory i wozu wywrotnego, a ciężkiego nadmiarę, którego Połubiński na drodze porzucić nie chciał, bo go był pono sam zbudował.

Coraz to go musieli ze śniegu windować, wiązać coraz inaczej, płozy odmieniać i rozszérzać, choć niewiele to pomagało. Zima się stała straszliwie śnieżna, drogi były pozasypywane, pośpiech niemożliwy i, jak Połubiński się wyrażał: „Choć ty, siadłszy, płacz!”

Płacz i siedzenie na nicby się jednak nie zdały. Straszliwie pomęczeni, jak gdyby z pospolitým ruszeniem na Tatarów odbyli wyprawę, dobili się naostatek do Lidy. Tu, gdy się już rozsta-

wać mieli, przyszło na myśl Serwacemu, iż mu Dziubiński podkomorzy opowiadał, że prawie na samym trakcie do Wilna leżą jego Grandziszki.

Polubinski, który się z tém wygadał zrazu, że go podkomorzy wysłał, powinien był z relacją do niego jechać, a teraz ani inowy o tém nie było. W Lidzie, nim sobie żydowską furę napytał Serwacy, napadł na Polubińskiego.

— Gdzież, dokąd ty, na miłego Boga, jedziesz? Mówiłeś mi że zostałeś wysłany umyślnie przez podkomorzego, toć powinienes zaraz do niego z relacją jechać? Ja też myślę po drodze do Grandziszek, z kąd sobie lepszych koni uproszę.

Strasznie się zmieszał Polubiński, ale, jak zawsze, gdy był w kłopotcie, fantazyą nadrabiał.

— A no, niéma słowa—rzekł—że do podkomorzego pojedę; ale niespokojny jestem o matkę; muszę wpródy zajrzeć do domu.

— Co u Boga! toć Grandziszki na drodze o kilkoro staj. Choć pokłonić się musisz temu, co ci powierzył ważną sprawę.

Kręcił się pan Paweł, wykრęcał, ale Serwacy nalegał nan mocno.

— Musisz jechać ze mną, jak ja z tobą jechałem—rzekł;—nie zabawię i ja długo, a jutro puszcę się w dalszą drogę.

Gdy wkoncu uporne odmówienie dałoby było do myślenia, z bardzo kwaśną miną zgodził się pan Paweł razem do Grandziszek pojechać, ale stracił zupełnie wesołość, butę i wielomówność, którą przez drogę zabawiał towarzysza.

Na samém prawie wsiadaniu, wynajdywał jeszcze rozmaite pozory, dla których sam niebardzo życzył sobie teraz zajezdzać do podkomorzego i Serwacemu to chciał odradzić, utrzymując że czasu dużo zmarnuje.

Przebendowski, który dał był słowo w Dreźnie panu Gintowtowi Dziubińskiemu, że go przy danej sposobności odwiedzi, a był też ciekawy bliżej poznać człowieka, któremu Paweł kierownictwo szlachtą przyznawał, nie dał się na żaden sposób od postanowienia odciągnąć.

— Ale bo, słowo dając, dziwny jesteś—odezwał się w końcu do Polubińskiego.—Prawisz mi że cię Gintowt posłał, że ci pilno, a teraz, gdy pod nosem Grandziszki, jakbyś od nich chciał uciekać. Cóż to jest?

Kręcił się znów Polubiński, aż dziwno było.

— Mam ci prawdę powiedzieć—odezwał się—o to się lękam, ażebyś ty mi się nie wygadał, że ja ci się z moją misją wypowiadałem. To rzecz sekretna, ani mrumru!—rzekł pocichu.

— No to ani mrumru!—odparł Serwacy.—Ja też taki gadatywus nie jestem, żebym się z niepotrzebną rzeczą zaraz wypaplał.

Zyskawszy słowo, Polubiński zdawał się nieco uspokojony: jednakże, gdy siadac przyszło, aż stękał, tak mu się coś jechać nie chciało. Serwacy-go o żadne kłamstwo nie posądzał, jednak dziwno mu było. Ruszyli w końcu na jednych saniach do Grandziszek.

Była to właśnie niedziela i zapusty w toku. Serwacy nie pomyślał o tém, co we dworze u podkomorzego zastać mogą. Szlachta się tam zwykle zbierała każdego czasu bardzo licznie, a coś dopiero w mięsopust, kiedy każdy się rad z przyjaciół poweselic, nim popiołem ksiądz posypie głowy, a żur i ślédz przyjadą na dni czwórdzieści.

Grandziszki, główne fundum pana podkomorzego Gintowta-Dziubińskiego, z gościncea nieco zjechawszy, o małe pół milki pod lasem jodłowym widać było. Dwór staroswiecki, niepozorny,

ale wielki, zabudowania przy nim dokoła obszerne, lanusy, sérniki piętrowe, stodoły, brogi, szopy, odryny, tak że to wyglądało jak małe miasteczko.

Dojeżdżali już pod wieczór i z niemalym strachem postrzegł Serwacy, a prawie z radością Połubiński, że we wszystkich oknach dworu rzęście się świeciło.

— Oczywiście rzecz, że zastaniemy pełno gości — rzekł Paweł — ale co nam to szkodzi? Tém lepiej! Zajedziemy wprost na folwark, przebierzemy się trochę na tę fetę, a potem, co na placu, to nieprzyjacieli. Wypościliśmy się przez drogę na jajecznicy i żydowskię rybę, przynajmniej się człek trochę odję zaległości.

Serwacy był ponury i zły, było mu nie na rękę wpaść w tłum, ale zawracać... ani myśleć.

Nie dojechali jeszcze do wrót, gdy żydowską muzykę usłyszeli, dolatującą ich ze dworu: cymbały, basetłę, skrzypce i jakąś dudkę piszczącą. W dziedzińcu san było jak na jarmarku, u niektórych z nich konie pod derani, które się już po stajniach nie mogły pomieścić i dobieć do żłobu, pasły się, mimo zimna, na dworze.

Niekiedy, gdy się drzwi otwierały, buchał ze dworu taki gwar, okrzyki, wrzaski, iż tłumy się podochoconego można było domyślać.

Postrzegł się Przebendowski, że popadł niepotrzebnie, lecz nie było już co czynić; należało akomodować się do okoliczności. Połubiński, przeciwnie, prawie cały swój humor odzyskał.

Sanie boczną drogą, zawianą, pomiędzy płotami, zawróciły na folwark. Wpadł już jako znajomy lepiej pan Paweł do izby, ale i tu pełno było i kąta ledwie się doprosić.

Tak zwany naówczas gubernator, bo ekono-

nowie większych posiadłości ten tytuł sobie nadawali, także miał gości u siebie, a że był szlachcic i córkę miał ładną, ze dworu téż tu niektórzy zabiegali i krupniczek był w robocie, a kiełbasy się smażyły bezustanku.

Wszystkich, począwszy od czeladzi, znaleźli w takich humorach, po wódce, piwie, miodzie i krupniku, że choć ich było do rany przykładać.

Gubernator, Mazur, niejaki Slotwiński, wyszedł do nich, zapraszając razem i klnąc się że „rozstąpi się ziemia“, nie było ich gdzie wygodnie ulokować. Z alkierzyka dopiero miano powynosić na podwórko bodnie i nasypki i tam ich na noc pomieścić. Do przebrania się zaś ofiarował swoją kancelaryą, acz już napół zarzuconą tłomoczkami.

Wśród zamętu, nieładu, bieganiny, stukania drzwiami, przez które mróz z wiatrem do izb się wciskały, krzyku na czeladź, która głowy traciła, a nawet szturchańców, z wielką biędą dostawszy wody i kawałka lusterka do ogolenia, już nocą prawie, odziani jak należało do gości, poszli ich-mość obaj do dworu.

Podkomorzy, już o nich uwiadomiony, czekał, a że u obiadu, który się skończył późno, pić musiał dużo, dając dobry przykład, choć głowę miał tęgą. już był niemal tak oszołomiony, jak niegdyś pamiętnego wieczora u Denhoffowej, gdy królowi na palec nastąpił, o czém teraz obszérnie, przy podanej okazji, opowiadać lubił.

Dwór mięsopustny przedstawiał obraz najosobliwszy. Pełen był, jak nabity; w sieniach u komina cisnęła się czeladź liczna, stojąc, siedząc, niektórzy na deliach pańskich, strzegąc ich, uspieni. Po izbach, na prawo i lewo, z jednéj strony star-

si panowie pili i rozprawiali, a huczek był niemały, bo się sprzeczano i jeden drugiego rad był przekrzyczeć; z drugiej młodzież w tańcu się zwiwała, przyśpiewując, jak to u nas we zwyczaju, gdy się ludzie rozochocą. A że w tak liczнім zgromadzeniu i po kieliszku nie mogło spokojnie być, a nieustanne powstawały spory, trafili zaraz w sieniach na dwu szlachty, którzy z obnażonemi szablami przeciwko sobie stojąc, od czci od wiary lajali się, drąc ku sobie, ale ich przyjaciele, tak napili jak oni, rozwodzili i odciągali. Wposrodku podkomorzy Gintowt-Dziubiński, z twarzą mocno zarumienioną, z czupryną rozrzuconą, w paradnych sukniach, nieco już pomiętych i porozpuszczanych czasu obiadu, stał, kielich trzymając ogromny w rękę, z którego, że nim potracano ciągle, wino się na głowy i ramiona innym wylęwało. Nikt na te aspersye nie zważał zresztą.

Dziubiński głosem poważnym głużył krzyki gości.

— Na miłosierdzie Panskie! Nie zakrwawiajcie mi domu! Odlóżcie sprawę *ad comparendum tempore opportuno*. Zgodaj zgodaj! Zapijmy tę sprawę! Panie stolniku Rudawski, *praecor!* panie Żyrko chorążycu kochany, suplikuję! Bracia mili, jednéj matki dziatki, których ta ziemia zrodziła, uściśnijcie się! Na rany Boskie błagam was! *Sat prata biberet!* dosyć się krwi naprzelęwało.

Stolnik Rudawski i chorążyc Żyrko, nie słysząc nic dla własnego krzyku, niewiele widząc dla oczu blachmanem zaszłych, szablami wywijali i puszczałi się przeciw sobie, ale ich siłą za każdą razą wtył odrywano. Dokoła tumult był straszny. Część szlachty trzeciwiejsza śmiała się, prze-

drwiwała, inni perswadowali, drudzy podjurzali, a czeladź, będąca świadkiem wojny domowej, gęby sobie zatykała, ażeby się nie śmiać z tego przypływu i odpływu dwu zapaśników, dobrze się chwiejących na nogach.

Jednakże udało się podkomorzemu, obu coś na ucho poszeptawszy, zmusić zapamiętałych adwersarzów do uścisku i zgody. Odjęto im szable i popchnięto w uściski. Jakże padli sobie w ramiona a poczęli się całować, prawiąc sobie słodycze i oświadczając się z afektami niezmiennymi, znowu temu końca nie było. Podtrzymywano ich, aby się nie obalili. W trakcie tego powasnili się, godząc tamtych, pan Celestyn Drużak z panem Jackiem Sagajką i już szabel dobywali, gdy ich rozerwano, a Drużaka do tanca popchnięto, gdzie go panny wzięły w obroty i nie puściły od siebie, choć się strasznie odgrażał.

Podkomorzy, kielicha *pacis et amicitiae* dopiwszy, począł dopiero witać Pawła, ścisnąć Serwacego i obsypywać ich oświadczeniami afektów.

Zaraz tedy odezwał się do Przebendowskiego:

— Z duszy serca gościowi tak rzadkiemu i drogiemu rad jestem, a właśnie przybył, gdy mi przerwano opowiadanie, które dokończyć muszę. Będiesz świadkiem, jak ja tu ludzi nawracam.

Wwiódł ich z sobą do izby, w której szlachty było tak pełno, że się ludzie nie mogli ku środkowi jęj docisnąć. Antałek z winem stał na widelkach jeden niedaleko od drzwi, *de noviter repertis*, drugi, już bezduszny, z którego i lagry wysączono (bo lagier zębów nie wybija), leżał wywrócony na ziemi.

Goście dokoła stali kto mógł się na nogach

utrzymać, inni siedzieli, dwóch czy trzech, mimo wrzawy, głowy na stole złożywszy, spało, a jeden okrutnie chrapał. Dla gwaru trudno było zrozumieć rozprawiających; jeden zahukiwał drugiego. Mieszały się głosy; niektórzy podśpiewywali, hukali, któryś dla rozrywki, rękę w kułak złożywszy, trąbił pogrzebowego.

Polubiński trzymał się jakoś ztyłu. Serwacy, zawstydzony i srodze utrapiony tym widokiem nieprzystojnym, szedł, a raczej włókł się za podkomorzym, jak na ścięcie.

Pan Gintowt Dziubiński, któremu widać wielce o to szło, aby rozpoczętego dyskursu swojego, który spór stolnika z chorążycem przerwał, dokończyć, dobiwszy się do środka, stuknął w stół i prosił o głos. Uciszyło się nieco, odchrząknął i mówić począł:

— Otóż, na czémże stanąłem?

— Na Flemingu, tym psławiarze!— wtrącił jeden.

— Za pozwoleniem—odezwał się podkomorzy, z respektem dla wielkiego męża, z respektem! Mówię to i powtarzam: źle i fałszywie wystawiany go sobie. Nie przeczę że są pozory, ale jam wszystko poznał zblizka i zgruntu.

Zamilkli goście; ciągnął dalej podkomorzy:

— Ten to jest statysta głęboki, który mi oczy otworzył, że z nich grube łuski opadły. Nauczyłem się od niego, czém są naszych panów hetmanów, rzekomych wolności obrońców subtelne praktyki. Uwodzą nas szlachtę, jakoby bronili *antiquam matrem*, a im się chce nie czego innego, jako znowu przyjsć do asygnacyj, do dysponowania hibernami i nękania nas wojskiem własnym. To mi ten Fleming jasno, jak na dłoni,

czasu mojego pobytu w Dreźnie wyłożył i tém mnie on skonwinkował.

— Szelma Niemiec!—szepnął ktoś z boku.

Serwacy, usłyszawszy tak mówiącego Dziubińskiego, cały zdrętwiał. Przeciwniało się to wręcz temu, co o nim Paweł rozповідаł, i zwrócił się ku niemu Przebendowski, aby się tłumaczył, gdy, obejrzawszy się, już go przy sobie nie znalazł. Zginął kędyś Połubiński, *nec locus ubi Troja fuit*.

Tymczasem wymownie i nastając mocno na to, dalej wywodził Dziubiński, jak mu w Dreźnie rzeczy wyłożono: że hetmanowie o swój pieczeni myśleli, nie o sprawie rzeczypospolitej.

Jedni przystawali na to, drudzy kontrowali. Serwacy, już nieco rozgrzany i ośmielony, nie mógł się powstrzymać; republikańskie sentymenta jego do głowy mu szły.

Rozprostował się, przestał żuć i gdy podkomorzy na chwilę zamilkł, prosił go o głos.

— Chociaż nieznany tu nikomu i obcy — rzekł — zaledwie jednego podkomorzego szcycąc się łaską, pozwolę sobie odezwać się *ad rem*, czego mi czcigodny gospodarz za złe nie weźmie. Sprawa to gorąca zaprawdę, a wprost jadąc z Drezna, gdzie własnemi oczyma patrzę na to, co się dzieje i na co zanosi, sumienne o tém coś rzec mogę. Boli mnie to, że panu podkomorzemu sprzeciwić się muszę. *Amicus plato, magis amica veritas*.

Podkomorzy, trochę się namarszczywszy, patrzył w niego, jak w tęczę.

— I to tedy dodać muszę — ciągnął dalej śmiało Przebendowski -- że w domu Fleminga siedzę, codzień nań patrzę i słucham go. Czcigodny nasz pan podkomorzy, mąż wielkiego animuszu

i serca prawego, dał się podstępnyim mowom wykrętnego człowieka ująć, jak każdy, co prawnym będąc, innych prawymi sędzi.

Śluchano, cisnąc się, z największą uwagą, a Serwacy prawili dalej, coraz się rozgrzewając i nabierając odwagi:

— Panowie hetmanowie, to prawda, swoje pieczeń przy ogniu rzeczypospolitój piecby radzi, ani słowa. Ale i Niemiec, coim żąda prywatę, nielepszy!

Huknęli wszyscy: „Złote słowo!“ Podkomorzy, nasepiony, słuchał.

— Hetmanom dawniej władzy się zachciéwa, toć jeszcze nie, a panu Flemingowi na myśli, ażeby wolną rzeczpospolitą z gruntu wywrócić i monarchią z niéj dziedziczną dla pana swego uczynić. Więc na hetmanów dziś idzie, bo mu na drodze stoją, a jutro szlachtę w saskie chłopy rad obrócić.

Okrzykom ogromnym nie było końca; poczęli nicznajomi ścisnąć pana Serwacego, z rąk do rąk go sobie podając, a podkomorzy poprosił o głos.

— Godzę się z waćpanem—zawołał—godzę, aplaudujęł Prawdę nam przyniosłeś. Miałem jedno oko otwarte, tys mi drugie przetarł.

I rzucił się téż ścisnąć Serwacego. Gwarnie, żywo dokoła wykrzykiwać zaczęto, tak że go zagłuszono; musiał Dziubiński rękojeścią szabli, która na stole leżała, bić i stukać, aż się uciszenia doprosił.

— Panowie a bracia—rzekł chrypliwie—*vo-cem peto*, nie żebym swobodną ewakuacją ich myśli i sentymentów hamował i ścieśniał, lecz że mi, o to w téj chwili chodzi, nakazuje obowiązek święty, abym czcigodnego gościa naszego, nawiedzającego *limina* tego domu, a wnoszącego don światło, *lucem*, uczcił, jako należy.

Czkawka cokolwiek zawadzała swobodnej ekspektoracyi podkomorzego, myśli się mu téż pła-
tały, dobił się wszakże do końca:

— Wnoszę tedy jmci pana Serwacego Prze-
bendowskiego zdrowie!

Jeszcze nie miano czasu za nim okrzyknąć
„Vivat!“ gdy z kąta, w którym szlachcic jakiś
spał na ławie i tylko co się przebudził, głos się
odezwał:

— Niéma zgody! *Veto!* Przebendowski pod-
skarbi zdrajca jest! regalista! infamis!

Drudzy huknęli:

— Cicho! precz z izby! To nie podskarbi,
zdrowie Serwacego!

Ci co nie dosłyszeli dobrze imienia, a wzięli
do serca opozycyą przeciw Flemingowi, wołali:

— Vivat Pankracy! vivat Bonifacy!

Tumult się stał wielki, a szlachcic przebu-
dzony ryczał z kąta:

— Niéma zgody! Podskarbi, nie podskarbi,
rodem kury czubate. Precz z Przebendowskimi!

Podkomorzy stał, trzęsąc się z aprehensyi.
Serwacy, wiedząc co to za sobą ciągnie, już się
miał do szabli. Wtém i Paweł się zjawił znowu,
chwytając go za rękę.

— Któż to jest ten *infaustus turbator chori*
w domu moim?—odezwał się głosem drżącym
od wzruszenia Gintowt.—Prosimy ichmościa do
koła, tu. Staw czoło. Ze inną najprzód mieć
będziesz do czynienia.

Posypały się też głosy:

— I ze inną!

— I ze inną! I z nami!

— Tu o honor nietylko Przebendowskich
idzie—zawrzał jeden—ale o naszego kochanego

podkomorzego. Kto mu uwłacza, ten kiec! Mówię to i dowiodę *ore et gladio*.

Szlachcic, niejaki Minkiewicz, co się był wyrwał rozespany ze swoim *reto* przeciw Przebendowskiemu, wytoczył się od ściany ku środkowi izby. Trochę się jakoś uciszyło.

— Podkomorzy, dobrodzieju, łaskawco mój—zawołał.—Deprekacyi żadasz? Ja cię kocham, jak oczy moje, jak wnętrzności własne, *viscera*! Jam za ciebie, ty wodzu i głowo nasza, życie gotów dać. Jeżeli ci tobie uchybił, deprekuję, ale co się tyczy Przebendowskich, nigdy!

— Pan podskarbi Przebendowski, którego asindziej instygujesz—odezwał się Paweł, występując—nie ma wspólnego z panem Serwacym, gościem naszym. Kował zawinił, a słusza wieszać chcecie! Ja trzymam z przyjacielem moim, panem Serwacym Przebendowskim, i ze czcigodnym gospodarzem naszym, i głośno deklaruję: kto inaczej sądzi, ten kiec!

Minkiewicz, który już jednego trochę przyśchłego guza na łbie miał, plunawszy w garść, szabli dobył, zawrócił się do Pawła i krzyknął:

— Sameś taki!

Już na niego sunął, gdy Przebendowski, błądy z gniewu, żując jakąś żujkę straszną, wpadł pomiędzy nich.

— Ja jestem tym Przebendowskim, którego waść honoruś tknął—zawołał—a kto czci domu i rodu mojego uwłacza, ten krwią obrazę zmyć musi. Ale tu, czasu godów, ani miejsce, ani pora. Służę waszmości po trzeźwemu jako chcesz, pieszo, konno, na pistolety, na szable, i nie do pierwszej krwi, ale bodaj do kropelki ostatniej! Ale nie tu—ano jak na szlachtę przystało, wyśpowiadawszy się i komunią świętą przyjąwszy,

wyjdziemy w pole. Niech Bóg sprawę naszą osądzi i krzywdę moję pomści.

— Dobrześ rzekł! święcieś powiedział, — wtrącił podkomorzy. — *Non est locus, non miscantur sacra profanis.* Zechcecie się spróbować, nikt nie broni, a mięsopustu mi i godów braterskich, *agapów* miłości i zgody, pan Minkiewicz psuć nie ma prawa!

Minkiewicz może niespełna zrozumiał, ale inni go obstąpiwszy, hamowali i odgrażając się a klnąc, począł skonwinkowany szablisko do pochew napowrót wkładać. Lecz ręka strudzona nie służyła mu i we trzech pomagając, ledwie, z wielkim trudem, wepchnęli ją na spoczynek.

Gintowt ciągle stał z kielichem i krzyknął ogromnie podniesionym głosem:

— Kto mnie kocha, ten ze mną pije pana Serwacego Przebendowskiego zdrowie. Vivat!

Minkiewicz, mrucząc, usunął się do kąta, czapki tylko szukał i chciał się wynosić precz; inni pili, z hałasem i okrzykami niezmiernemi, zdrowie Serwacego, Pankracego, Bonifacego, i z kolei znowu ściskali gościa, całowali, oblęwali, a niektórzy mu wieczną przyjaźń i afekta poprzysięgali.

Połubiński, który się absentował tak zręcznie, gdy było mu z tém dogodniej, wystąpił teraz gorąco.

— Panowie a bracia — zawołał. — Spodziéwam się że mnie znacie, żem ja kość z kości waszych, nie żaden regalista, Sas, przekupiony kortezanin. Otóż ja za mojego przyjaciela Przebendowskiego sumieniem, honorem, wszystkiém co mam ręczę, iż choć z Drezna jedzie, ale czysty jest jak łą! Daj nam Boże takich jaknajwięcej!

— A podskarbi dlatego szelmą jest! — krzy-

knął nagłos Minkiewicz, który ciągle jeszcze czapki szukał.—Com rzekł raz, to trzymam.

— I z tego mi waść zdasz sprawę!—odezwał się Serwacy—nie daruję! Podskarbi benefaktor i opiekun mój, stoję za niego, jak za ojca! Zdasz sprawę.

— A zdam, zdam! —odparł Minkiewicz—zdam gdzie i jako wola. Nie cofam i nie cofnę co się rzekło, kobyłka u płota. Sto diablów zjadłeś z podskarbin swoim!

Zahukano wnet Minkiewicza i wyprowadzono za drzwi. Szlachta obstała Przebendowskiego i Połubińskiego. Nieszczęśliwego turbatora dwóch ująć musiało pod ręce i wywiodło do alkierzyka, gdzie go spać położono, czego widac mocno potrzebował, bo ledwie głowę do poduszki przyłożył, kamiennym snem zasnął.

Serwus tymczasem, na wstępie samym tak burzliwie i *injuriose* przyjęty, nie mógł przyjść do siebie, kipiało w nim. Nie umiał się też oprzeć naleganiom i, choć pijanstwem się brzydził, kilka kielichów wychylić zmuszony, czuł że to wino na czcze serce w głowie mu się odzywać zaczynało.

Bracia szlachta—a było jój tam dosyć z pod Lidy, Oszmiany i od Wilna, starych konfederatów, żołnierzy, chorążych, rotmistrzów i z tych co pod Oskienikami bywali, i z tarnogrodzkiego związku—gdy posłyszeli że Połubiński z Przebendowskim z Drezna jadą, zaczęli ich obstępować, dopytując o króla, o jego doradców, a szczególnie o Fleminga, którego zaczepiano zrazu.

Że z powodu zajścia z Minkiewiczem zagładanie do antalka chwilowo jakoś ustalo, a widok szabel trochę wytrzeźwił, wzięto się do polityki

z gorącością wielką. Serwacy, wygadawszy się na wstępie, milcząć wołał. Paweł, ośmielony, puszczał wodze językowi. Serwacy go nie spytał nawet o wytłumaczenie, jakim sposobem podkomorzy za Flemingiem z początku się ogłosił. Rzecz już była jakby ubita, a gospodarz, zupełnie zmieniwszy teraz opinią, po wystąpieniu Przebendowskiego, w jego myśl się odzywał. Stało się to i tak nagle i tak łatwo, że Serwacy pojąc tego nie mógł i gryzł się tём, widząc jak ci, co za przwódców byli miani, sami nie wiedzieli dokąd iść i za kim.

Pan Gintowt-Dziubiński, usiłując skutek pierwszój swój ekspektoracyi zatrzyć, lubując się przytём w wymowie własnej, głos zabierał i perorował. Szlachta téż mu stale potakiwała. We wszystkiём tём jednak ciągu ani ładu nie było za trzy grosze.

— *Pana sine viribus ira!*—mówił, próżny kielich podnosząc do góry, Gintowt.—Myśmy dotąd slabi, a możnowładców prepotencya rzeczpospolitą do zguby prowadzi. Jawna to i oczywista. Od początku tego nieszczęśliwego panowania cierpimy, walczymy, drą nas ze skóry, mało już do kija i torby nie przywiedli Sasi, a co się dźwigniemy nieco *armati* i o prawa nasze upominać zaczniemy: *redde mihi legiones*, wnet pacyfikują, rozbijają, aby znowu na karki nam siedli. Tak, tak, panowie senatorowie przekupieni wszyscy do nogi, a który z nich przy prawach rzekomo stoi, to dlatego tylko, aby nas łatwowiernych pochwycił i prowadził kędy chce, a potem sprzedał na targowisku, jak barany.

— Święte słowa podkomorzego—podchwycił ogromny drab, a był-to sławny rotmistrz związkowy Blacha, z wąsem po pas, kuso odziany,

łysy, z krésą przez łeb — święte słowa podkomo-
rzego. Żal a żal żeśmy, podczas gdy w rękach
naszych byli, dwu największych zdrajców nie
rozsiekali, jak im należało: hetmanów Pocięja
i Sieniawskiego. Puściliśmy ich *impune*, a teraz
nas Sasów oddali bezbronných. O, pókim żyw,
nie opłacę tego, że mi się Pocięj wymknął — do-
dał Blacha, wása zwijając na palec — bomci go
ot, ot, miał prawie w łapie.

— Jakże to było? jak? — zawołano z kątów.

Blacha, który już pewnie setny raz to opowia-
dać musiał, splunął i wás puściwszy, a z kielicha
zaczerpnąwszy weny, gdy się ciszej zrobiło
w izbie, miał począć. Ktoś tylko na palcach
szedł do antałka, więc kilku w też ślady; aż na-
reszcie uspokoiło się i mówił:

— Pocięja tego i Pocięjową zdawna my zna-
liśmy. Jéjmość, szatan nie baba, królewska
i wszystkich Niemców miłośnica, starogo męża
wodzi, jak chce. Ten jéj na wszystko pozwala.
Sztuki ich widzieliśmy wcześniej, bo go nieprzy-
jaciele, dawni hetmanowie, Wisniowiecki i staro-
sta bobrujski Sap'eha, połapali na nich i światu
je ogłosili. Stehórzył stary, widząc że mu wojsko
nie wierzy i innych sobie bogów szukać myśli.
Przypadł najprzód do obozu naszego w wigilią
św. Anny, a co miał siebie oczyszczać, to ze zło-
ści i rankoru nas zbezczęcił i złajał. Ano mu
tu gorąco było i widząc że ani święty Boże nie
pomoże, bo się do niego brać poczęto, nie za-
znawszy miejsca, do Łęczny zenknął.

Ledwie że od nas pierzchnął, gdy lewe skrzy-
dło huknęło za powodem pocziwego Antonowi-
cza, sapieczyńskiego porucznika: „Ruszać po stra-
żnika Potockiego (który był we wsi sąsiedniój)
i marszałkiem go ogłosić!”

Śpiącego wzięli Potockiego i, choć nie bez guzów i hałasu, zaraz go okrzyknęli.

Królewska tedy i Pocijowska sprawa źle stała; dano pisarzowi koronnemu znać, aby Pocija miał na oku, gdyby do Lublina chciał czmychać.

Tymczasem hetman po swojemu, na frasunek ów wielki, bo już czuł, że koło niego kręto być poczynalo, z hetmanem polnym Rzewuskim pili na zabój. Tam go już Sulistrowski i Humiecki na oku mieli, przybywszy z obozu, aby go potem pijanego jak barana wziąć.

Późno w noc pijany Pocij do Łęczny powrócił i poszedł, nie rozebrawszy się, spać.

Posłano Antonowicza w kilkaset koni, aby go zaraz wziął. Ten, choć pośpieszał, dopiero nocą w Łęcznie stanął, a co miał wprost na kwaterę hetmana iść, zablądził w drugą ulicę. Tymczasem od onych kilkuset ludzi wjeżdżających tumult się stał; obudziła służba Pocija, aby się salwował, bo zmiarkowali, co się święci. Ten jak stał, z łóżka się porwawszy, ledwie oponczę narzuciwszy na się, na kon zaraz siadł i wpływ przez Wieprz puścił się, Tatarów swoich, w kilka chorągwi stojących na drugim brzegu, zaklinając, aby z nim trzymali i stanęli w jego obronie.

Ale z nini się poszkapił. Pamiętni Olkien, Tatarowie ani myśleli swojej skóry za niego stawiać; wystąpił do niego Adamowicz porucznik i zawołał, na gościniec skazując:

— Jedź wasze na złamanie karku, jedź, a pokój nam daj. Puszczamy cię wolno, życie ci дарujemy. Boć w ręku naszych jesteś. Pocij téż, reszty nie pytając, w dziesięć koni z Ogińskim ku Lublinowi się puścił, z duszą na ramieniu.

Mnie właśnie pan pisarz koronny, o wszyst-

kiem uwiadomiony, zawoławszy prędko do siebie, powiada:

— Blacho serdeczny, dobierz sobie najlepszych ludzi i konie, na rany Pańskie, szlakiem lubelskim ruszaj, goń co żywiej, ażebyś mi zdrajcę Pocięja wziął i tu przystawił. Jak nie ty, to już nikt.

Ledwie to posłyszawszy, piorunem się rzuciłem. Konie były szczęściem pokulbaczone, ludzie gotowi. Cwałem gnamy na szlak. Ano, licho nadało, baba z wiadrem drogę przeszła i wymknął się nam hetman. Bylibyśmy go nawet nie widzieli, gdyby mi się wśród drogi jeden z ludzi jego nie natknął. Przyparłismy go i wzięli na spytki: gadaj! Wyśpićwał nam zastraszone, że Pocięj już przed nami gnał do Lublina, co kon wyskoczy.

Zrobiło mi się strasznie markotno, ale nie żałując ni siebie, ni koni, poparliśmy wewał za nim.

Stojowski, szczęśliwszy odemnie, odsadził się naprzód, na oko go wziął i dopędził na moście w Lublinie.

Wtém jednemu z Pocięjowskich ludzi kon padł na samym moście, jakby naumyślnie, i Stojowskiego zahamował, bo drogę mu zawałił. Ogiński, który z hetmanem był, widząc że im już na szyi siedzą, z pistoletu palnął i konia dereszowatego pod Stojowskim ubił. Gdym dopadł, już Pocięj, w miasto się dostawszy, jak kamień w wodę znikł. Gdy my ze Stojowskim na moście przez padło to się przedziéramy na gwałt, a tu już nam przed nosem bramy zamknięto.

Póki żyw tego nie opłacę, że mi uszedł—dodał Blacha.—Klnę się na rany Pańskie, że gdy-

bym go był ujął, nie żywiłbym pewnie, i byłoby mu to, co dereszowi Stojowskiego!

Śmiać się wszyscy poczęli.

— Było tylko troszynę poczekać, a lepszego nosa mieć—dodał z boku jeden—bo go zaraz niebawem Fleming z Szaniawskim, wąsy mu ogołiwszy, perukę na głowę nadziawszy, jako Sasa do Markuszowa wyprawili.

— Miał się jednak Pocięj zpyszna—dodał podkomorzy—bo go i Sasi przyjęli, jak należy takiemu, co na dwu stolkach siedzi.

— Ja się jeszcze spodziewam z pomocą Bożą doczekać — rzekł Blacha — że go na gorącym uczynku złapię, bo jak konspirował, tak konspi-ruje! Naówczas ja w tém, że mi cało nie ujdzie. Zonka téż po nim płakać nie będzie, chyba po służbie wojskowej.

Smiano się znowu.

— Toż samoby i Sieniawskiemu należało — podparł gospodarz;—obaj jednego warci. Sieniawski, *magui nominis umbra*, byłby i tak przypłacił głowę, gdyby nie dyamentami kameryzowana szabelka, którą, oddając się w niewolę, wręczył panu pisarzowi koronnemu. Ta go salwowała.

— A trzeciego do nich Fleminga na przyprawkę dać trzeba—zakrzyknął Blacha—ten to jest, ten, co ich wszystkich do złego na pokuszenie wodzi i faktor a autor wszelkiego zła, jakie się u nas dzieje!

— Flemingowi—dorzucił drugi—jako szatanowi-kusicielowi, który dusze na szwank wystawia, ludzi przekupuje, fakcye w kraju nieustannie wikła, temuby się więcej i gorzej należało, niż im wszystkim! Z niego, jako ze źródła, wszelka sprośność płynie.

Podkomorzy chrząknął; zwrócono nan oczy.

— Za pozwoleniem — rzekł — co się tyczy Fleminga, choć mnie pan Przebendowski nauczył, co o nim trzymać, *distinguo*. Kiedy mnie Sieniawski, Pociąg, Szaniawski, Gałęcki, Lubomirscy zdradzają, co z téj ziemi wyrosli, co z niej żyli, co dziećmi jój są, nie przebaczam, choćby na galąź. Co innego z owym Flemingiem: obcy człek interesa pana swego *per fas et per nefas* sprawuje, za skórę nam zaléwa, aleć to nieprzyjaciół i kwita. Przed tym respekt mieć można, jako przed statystą.

Wszczęło się tedy w téj materji rozgadywanie wielkie, odgróźki na magnatów straszne, czego pan Serwacy milczący słuchał z satysfakcją, choć często go kolnęło co w bok, bo i tu na fałszywych nutach nie zbywało.

Ten i ów, co na przekupstwo panów narzekał, w rozmowie się sam zdradzał, że się dał siwą kobyłką, albo pasikiem skaptować i taki był, jak i oni.

Hałas się poczynął znowu. Niektórzy bronili kondemnowanych i wyjątki z nich czynili. Ten dla Śapiehy, protektora swego, egzempcyą chciał czynić, inny Oginskiego uniewinniał. Niektórzy zapalczywi, co żadnych stosunków nie mieli, potępiali ryczałtem.

Parę razy zerwała się szlachta do kłótni, głosy podniosła krzykliwe; rwali się do rękojęści, plując w dłonie, ale do niczego nie przyszło. Rozchodzili się cali, pięściami sobie tylko i palcami nagroziwszy, a zapijając rychło na zgodę.

Tymczasem, gdy się to tu dzieje, ilekroć drzwi się naprzeciwko otworzą, słysząc jak basetla burczy, dudka piszczy i cymbały pobrzękuja, a młodzież podłogę wybija obcasami.

— Chodźmy-bo na przeciwek!—szepnął pan Paweł.—Jużci się potrzeba i podkomorzynie przedstawić i z pannami poznać. Będą się ba-by gniewały, a mieć je przeciw sobie niedobra rzecz. My obaj latami się więcej kwalifikujemy do tamtęj izby, niż tu między szpakowate sensaty.

— A daj ty mi święty pokój!—oparł się Serwacy.—Jako żyw nie chodziłem nigdy w tańce; ani umiem, ani lubię. Wilkiem nie orać.

— Ale podkomorzynę w rękę pocałować i respekt jęj oświadczyć, będąc w jęj domu, konieczna rzecz. Chodź!—powtórzył Paweł.—Powiedzą na cię, że z Drezna jadąc od perfumowanych Niemek, naszymi kobietami gardzisz. Wezıną to za despekt, jak Bóg miły!

Nie było tedy co robić. Porzuciwszy rozprawiających o polityce, którzy obu panów hetmanów wielkich, bodaj nawet z polnymi, chcieli koniecznie na bigos posiekac, powlekli się przez sien do pokojów, w których muzyka żydowska brzmiała.

Tu tłok był niemniejszy. Sprzęty wszystkie precz powynoszone, lub pod ściany pousuwane, jako tako w ciasnocie kręcić się dozwalały. W trzech izbach niewielkich tańcowano przy jednęj kapeli, która się w pośrodku mieściła. Gorąco było straszliwe, a gdy dla wpuszczenia świeżego powietrza drzwi na chwilę otworzono, ciągnął wiatr ostry i z sieni zapachy wszelkie, nienajlepsze.

Szło mimo to rażno i wesoło. Przybyłym trudno się przyszło przebić do podkomorzyny, która w drugim koncu ze starszemi paniami zajęta była rozmową. Pani-to była już poważnego wieku, cokolwiek ułomna i na jeden bok pochylona,

co dopiero w późniejszych latach widzieć się dało, z twarzą pomarszczoną, ze staroświecka ubrana, wielce uprzejma, śmiejąca się, wesoła.

Zobaczywszy pana Pawła zbliżającego się z Serwacym, który, choć z wielkiego świata przybywał, wcale niepocześnie wyglądał ze swą długą figurą, podkomorzyna poczęła ku sobie nawoływać Połubińskiego, znaki mu dając.

— Jak się asindziój masz?—odezwiała się wesoło.—Dobrze to żeś dziś na mięsopust nie omieszkął, a i tancerza nam choć jednego przywiózł, bo na nich dziewczętom zbywa. Bóg zapłać!

Posłyszawszy potem nazwisko Przebendowskiego, podkomorzyna zaraz coś poczęła o rodzinie i miała wpaść na regestr babek i prababek, skoliigaconych z powinowatymi różnych Przebendowskich, ale jej wyvodu dokończyć nie dano. Nadbiegła zdyszana jedna z córek, panna jak lania, zarumieniona nie już jak róża, ale jak piwonია; nadszedł za nią młodzieniec; w tańcu coś wykrzykiwać zaczęto i śmiać się.

Serwacy, rad że dywersyą uczyniono, korzystając z niej, wysunął się i cofnął ku ścianie. Aliści zaledwie się tu zrejterował, na miejsce, jak mu się zdawało, bezpieczne, gdy panna jakaś dorodna, śmiała, całkiem mu nieznajoma, z pospiechem, gwałtownie go za rękę pochwyciła i do mienianego pociągnęła. Nim Serwacy miał czas usta otworzyć, opatrzyć się co się z nim działo, stał już w kole, nie wiedząc co poczynąć. Popychano go zewsząd.

Wtém go mężczyźni i panny to z téj to z drugiej strony jeli brnąć. chwytać, rzucać, ciągnąć; znalazł się na drugim końcu izby, nie wiedząc jak i dlaczego. Tu dopiero porzucono go—odechnął.

Pot z czoła ocięrał, gdy śliczny mężczyzna, jak lalka strojny, ubrany kuso, z wąsikiem do góry, oko czarne, usta różowe, pod szyją spinaka rubinowa, chłopiec choć malować, zawołał, przypadając do niego:

— Jezu! Marya! Serwacy! a ty tu z kąd spa-dłeś, kochany drągalu?

Nie mógł zrazu poznać mówiącego Przebendowski, ale wnet wpatrzywszy się, przypomniał kolegę z ławy szkolnej od jezuitów, Derengowskiego.

Zaczęli się ściskać.

— Co ty tu robisz?

Serwuś oniesmielony, kwaśny z powodu awantury z Minkiewiczem, odparł sucho:

— Albo ja wiem? Wpadłem tu jak pilat w credo.

Poszli, pobrawszy się pod ręce, do kąta, gdzie się rzecz wprędce wyjaśniła. Derengowski był chłopak przylepka, serdeczny. Do nauki nie miał nigdy zbyt wielkiego pochopu, ale do kobiet trudno mu równego znaleźć było. Wioskę miał co się zowie piękną, drugą jeszcze lepszą pod dożywociem matki; gadano że się chciał żenić, więc matki koło niego skakały, bo się i podobać umiał i u ludzi miał opinią, że zajdzie daleko.

— Serwusiu, bratku kochany—odezwał się, rozpytawszy, Derengowski—jeżeli ty na ich konie rachujesz, że ci ztąd dadzą, to się omylisz. Ja ich znam, ani myśl o tém. Innego czasu zawsze u nich szkapy w rozgonie, a teraz, gdyby strzęśli wszystkie szopy, nie znajdą chyba ostatnie chabety, co na drugiej mili ustaną. Jak się wy-skaczemy, jutro, najdalej pojutrze, ja cię biorę ze sobą i trzepiemy do Wilna. Konie mam, co

im skrzydeł tylko brak, a w powietrzeby uniosły.

— Na Boga, czlecze! — krzyknął Serwacy — jam się już i tak opóźnił, a jutro, choćby przyszło pieszko, muszę w dalszą drogę.

— No, na piechotę poszedłszy, nie wiele zyszczesz — zaśmiał się Derengowski. — Spuść się lepiej na mnie, ja nie zawiodę. Inaczéj nie może być.

Obawiając się, aby go znowu która z pańien nie pochwyciła do tańca, Serwuś po rozmowie, pod ścianami się przesuwając, dopadł jakoś szczęśliwie do drzwi i na przeciwek powrócił. Tu dopiero odetchnął.

Zastał rzeczy w tym stanie, w jakim je był porzucił, z malemi wariantami. Ci co wprzód spali, obudziwszy się, poczęli pić, bo im w gardłach pozasychało; drudzy, co się już dobrze napili, pousypiali. Podkomorzy Dziubinski jeden wytrwale dotrzymywał wszystkim kielichem i fakundą. A był właśnie w trakcie opowiadania o nagniotku królewskim, na który nastąpił, o tańcu niedoszłym z panem Flemingiem i o noclegu na bryce w Morycburgu. Przed chwilą dokonczono zaledwie rozprawy o hetmanach, o przekupionych przez Sasów senatorach i o niebezpieczeństwach, na jakie złota wolność rzeczypospolitój była narażoną, a wnet po opowiadaniu podkomorzego, rozpoczęto *interum interumque* toż samo nanowo.

Serwacy doznawał dziwnego wrażenia wśród téj szlachty, ku której mu się serce rwało, jako do obrońców i stróżów, stojących na czatach praw dawnych rzeczypospolitój. Wrzawliwe te jednak odgróзки, łajania, narzekania, wydawały mu się częzą i mętną gadaniną. Nie było w tém ładu

ani składu, a buta straszna; każdy chciał być pierwszym, nikt posłusznym i karnym.

Zrobiło mu się, słuchając, przykro i boleśnie jakoś, jakby kto pioletnem napoił.

Toczyło się wciąż jedno gadanie o egzorbitancjach i ekscesach Sasów, narzekania na magnatów; każdy do tego zmierzał tylko, aby sam był wolny od wszelkich ciężarów, choćby te spadać miały na drugich.

Chwalił się jeden że się wykupił, drugi że się wyprosił, trzeci że się wyklamał i znajdowano to bardzo pięknem. Opowiadali sami, jak się przed panami płaszczyli, za oczy potem psy na nich wieszając.

Serwacemu brwi się marszczyły okrutnie, a we wnętrzu mu wzbięrało, jakby znów miał z czém wybuchnąć, prawdą sypiąc w oczy. Szczęściem, nim rozżuł co miał powiedzieć, okazała minęła i wzburzenie przystygło. Podkomorzy zaś, obaczywszy gościa na uboczu stojącego, zasepionego i samotnego, i przypisując to zadarciu się z Mińkiewiczem, obrócił się doń z pytaniami o Dreźnie i królu jegomości nanowo. Wszysey się tedy za jego powodem zwrócili do Przebendowskiego. Ale Serwacy nie czuł w sobie najmniejszej ochoty do szerokiego rozprowadania i zhywał półsłówkami.

Najbardziej szlachtę intrygował i niepokoił Fleming, którego instynktowo obawiano się najmocniej. Wieści o jego robotach, dla wprowadzenia *absolutum dominium*, rozpowszechnione były. Gdy téj materji tknięto, Przebendowski z poczucia obowiązku już się nie powstrzymywał i rzekł:

— Jeżeli my lepić niż dotąd bronić się nie będziemy umieli, pewna rzecz że Sasi kraje rze-

czypospolitęj zagarną i dziedziczne z nich sobie państwo uczynią. Nie jest-to żadną tajemnicą, że tego chcą, do tego dążą i zdawna nad tém pracują.

— Ale zjedzą diabła, niżeli tego dokażą—odezwał się podkomorzy, pięścią w stół uderzając. — Oczy się nam coraz bardziej otwierają, choć innych, tak jak i mnie w Dreźnie, usiłują obalamucić, że ten i ów naszój wolności chce bronić! Tarnogrodzka konfederacya nauczyła nas, że siłę mamy, a gdyby nas nie sprzedali magnaci przy paacyfikacyi, konieczy już był konszachtom.

— Koniec koncem paeyfikacya—dodał Serwacy—doprowadziła do tego tylko, czego oni chcieli i co im, nie nam służy: do oddania komendy nad cudzoziemskim autoramentem Flemingowi. Teraz on nas ma w garści.

Huknęła szlachta ze wszystkich kątów:

— Zwiążemy się, nastaniemy, hetmanów zmusimy, żeby dany skrypt odebrali. Inaczéj nie będzie. Odebrać! odebrać!

Serwacy, choć słyszał te odgróźki, niedowierzająco się rozśmiał i głową pokiwał, wycofał. Jawném dlań było, że to co mu Paweł powiadał o kierownictwie podkomorzego, o robocie szlacheckiej silnej i krzepkiej, z jego własnej imaginacyi było wzięte. Nie wiedziano co począć i każdy szedł samopas, na kogo innego się oglądając. Z tego wszystkiego co się tu odbywało, ścisnąwszy to razem, Serwuś kropli lekarstwa wyciągnąć nie uniał. Gorycz i smutek coraz go mocniej opanowywały.

Gdy tak bałamucono, choć nikt po późnym obiedzie głodnym nie był, ani się mógł skarżyć na pragnienie, nadeszła chwila wieczery, a służba zaczęła sumarycznie czynić przygotowania

do posilku, gościom strudzonym należnego. Serwacy, który był nawykł patrzeć na zastawy stołowe, w Dreźnie z wielką elegancyą i przepychem wszędzie się rozkładające, zdumiał się spartańskićj prostocie zamożnego szlacheckiego domu. Prawda że na taki tłum ludzi i najazd nielatwo było starczyć kredensem pańskim nawet, ale i nie troszczono się o to wcale. Misy i talérze najróżnorodniejsze rozstawiono na obrusach, już noszących na sobie ślady jawne burzliwego obiadu. *Honoratiores* od wyższego końca dostali widelce i noże, na resztę rachowano, że bez widelca z pomocą palców wysmienicie się obejdzie, że nóż mieć przy sobie powinna, bo bez tego nikt z domu za próg nie ruszał, a *more antiquo* łyżka téż za pasem być musiała, jeżeli nie za cholewą.

Po piérwszych przygotowaniach, poczęły z kuchni wyjeżdżać półmiski, misy, wazki i różnokształtne gliniane naczynia, pełne mięsiwa, mocno korzeniami zaprawnego i zawiesistemi podlanego sosami, pieczenie, zrazy i kluski. Solone ogórki w znacznej téż ilości rozstawiono na stołach, a nim do nich przystąpiono, ukazały się flaszki z wódką. Wódka, *aqua vitae*, i dla konkocy i dla osadzenia winnych waporów, zdaniem podkomorzego (który, głosząc to, po brzuchu się klepał i po piersi gładził) była jedyną.

Nikt aksyomatowi temu ani śmiał przeczyć. Naturalném wystąpieniem szły ogórki, które wkrótce znikły zupełnie, tak chciwie je eliwytano. Wszyscy czuli potrzebę téj ochłody, a że kwaszone ogórki z koprem pani podkomorzyny na okolicę sławne były, nie starczyło ich miłośnikom tego specyału.

Potém wszyscy z rozbudzonym apetytem przy-

sunęli się do mięsiwa, a pan Serwacy byłby może, choć głodny, nie dostał się do misy, gdyby go Paweł nie protegował. Zjawił się też tu, wytancowawszy, Derengowski do wódki i ogórka, razem z drugim towarzyszem, biorąc Przebendowskiego pod opiekę i sadząc go między dwu. Głód więc naostatek mógł nasycić, choć na duszy było mu ciągle smutno.

Dokola panowała wesołość, jak za dobrych czasów; rozmowa od nieprzyjemnych i frasobliwych politycznych kombinacyj wnet przeszła, *jurante aqua ritue*, na wesołe opowiadania i dykteryjki tłuste, żołnierskie figle i trefne żarciki. A że kobiet u stołu nie było, bo te z młodzieżą jadły osobno naprzeciwko, puszczały sobie cugle panowie bracia, aż się Serwuś skromny wstydzic musiał i rumienić, oczy spuszczać. Odwykł był od tego zamaszystego i rubasznego paplania.

Co ogórki naprawiły, trzeźwiąc, wino po mięsiwie do dawnego stanu przyprowadzać zaczęło znowu. Zaszumiło w czuprynach. Podkomorzy wnosił szlacheckie zdrowia jedne po drugich. Wrzawa znacznie urosła.

Minkiewicz ów, którego gwałtem spać położono, czy hałasem przebudzony, czy przedziwnym instynktem wieczerzy, której won się po całym domu rozchodziła, jak upiór powstający z grobu, nagle się zjawił w progu.

W głowie miał piérza pełno i fizys brzydko zmienioną; na nogach jeszcze się chwiejąc, zbierał myśli. Widać było że niedobrze sobie przypominał, co się stało przed parą godzinami, a wiedział że coś przeskrebał. Dopiero po twarzach i ludziach zbierał reminiscencye.

Milczący, zicwnąwszy i przeciągnąwszy usta parę razy, poszedł i on do stołu, jakby nigdy nie,

i wcisnął się między dwu krewniaków, domagając strawy powszedniej.

Nikt mu nic nie powiedział, on też nikomu ani słowa; Serwacy tylko, zobaczywszy go, zachnął się, podkomorzy parę razy nań przez ramie spojrzał i na tém się skończyło.

Drugiego dnia, pod wieczór, Derengowski nareszcie gotów był do drogi, i jak przepowiedział, ponieważ koni nie było do Wilna, Serwacego zabierał ze sobą. Pamiętny jednak wyzwania, Przebendowski nie wprzód się chciał wybrać, ażby Minkiewicza wyszukał i o czas i miejsce z nim się umówił. Szukano go po całym dworze, na folwarku, na saniach w podwórze, po kątach najciemniejszych: znikł jak kamfora. Nikt nawet powiedzieć nie umiał, co się z nim stało. Dopelnivszy tego obowiązku, Przebendowski ze spokojnem sumieniem do Wilna wyruszył.

Hetman Pocięj przebywał podtenczas w Wilnie, a co dziwniejsza, znajdowała się z nim razem i pani hetmanowa, chociaż małżeństwo najczęściej każde z osobna swoim dworem mieszkało.

Przypisać to należało najprzód pilnej potrzebie dozięrania hetmana, aby się nie wdał w kompromitujące ze dworem konszachty, następnie mięsopustowi, bo pani hetmanowa bawić się lubiła i była nawykła, a na wsi nigdy mieć nie mogła tylu koło siebie ludzi i tak dobranego towarzystwa, jak w mieście. Obyczaje królewskie odbijały się w społeczeństwie; przepych i balowanie stało się koniecznością, szczególnież dla pań, co jak Pocięjowa, życia drezdeńskiego i warszawskiego skosztowały.

Palac państwo Pociejowie mieli w Wilnie przy ulicy Zamkowej, kędy i warty regiment buławy wielkiej litewskiej zaciągał przed hetmanem, i wojskowi się wszyscy gromadzili.

Już dla samego wysokiego dostojenstwa swego, Pociej musiał żyć wielkim dworem i wystawnie, a przepych oboje państwo lubili, choć niebardzo nań starczyło, bo znaczne dobra mocno były odłużone. Samój pani dopomagała pensya przez króla przed laty kilką wyznaczona, hetman zaś miał także od dworu w dobrach wyposażenie znaczne.

Od czasu jednak pacyfikacyi ostatniój, szło jakoś coraz krzywiój i trudniój. Duszą i ciałem hetman królowi i Flemingowi rad był służyć, ale mu z pamięci nie wychodziło, jak przed Antonowiczem i Blachą uciekać musiał do Lublina, koniowi tylko zawdzięczając życie. Szlachta była dotąd na Pocięja oburzona. Pani Pociejowa za to eksponowanie się męzowskie znajdując się zamała gratyfikowaną ode dworu, burczała na niewdzięczność króla i Fleminga, odwodząc męża od dalszego narażania się na niebezpieczeństwo.

Ona i pani hetmanowa Sieniawska właściwie na miejscu swych mężów buławami władały, rej wodziły nie tylko w domu, ale w sprawach publicznych, nie dając ichmościom postawić kroku bez swego przyzwolenia. Powagą i surowością Sieniawska, śmiałością i energią wygrywała Pocięjowa.

Malenka, drobna, napozór słaba hetmanowa litewska, była jedną z tych kobiet, których nic złamać nie może. Sławna owa jej podróż, odbyta z Friesenem konno, pocztą z Warszawy do Gdańska, a zamtąd do Drezna, niczém jeszcze

była przy innych wybrykach. Życie, jakie prowadziła, pełne było awantur najosobliwszych. Konia dosiąść, z pistoletu palnąć i w chwili gniewu rzucić się śmiało pomiędzy dobyte szable braci szlachty, wyklócić się, nie obawiając ani rzec, ani usłyszeć najgrubszego słowa, było dla niej chlebem powszednim. Nie mogła żyć, ani długo wytrwać w spokoju, potrzebowała intrygi, jak ryba wody, plotek, jak ptak powietrza; cały dzień usta się jój nie zamykały. Grała szalenie, rzucała pieniędzmi jak plewą, tak saino jak z niemi postępując z ludźmi, których do największych łask przypuszczała odrazu i z równą łatwością pozbywała się jedném słowem. Lubiła się dziwacznie stroić, chodziła chętnie po mężku, przebięrała się po wojskowemu, szukała coraz nowój rozrywki, a starszy dużo mąż, któryby jój na żaden żywy sposób powstrzymać nie był w stanie, nawet się o to nie kusił. Miała swobodę zupełną. Dokazując co chciała i nie troszcząc się wielce o niego, pani Pocijowa panowała nad nim i, energią go przechodząc, prowadziła, jak się jój podobało. Przekonaną była, że mąż winien jój wszystko.

Teraz jednak obojga zachowanie na dworze drezdeńskim znacznie osłabło, groziło nawet przejściem w otwartą wojnę. Fleming, chociaż cenil słabego Pocijja jako narzędzie posłuszne, więcej jeszcze wymagał od niego, niż on mógł uczynić. Życia już o włos nie postradawszy pamiętnego owego gorącego dnia letniego między Łęczną a Lublinem, Pocij musiał być ostrożnym. Siedział, bardziej niż kiedy, na dwu stołkach.

Pani hetmanowa głośno się z tém odzywała, że Fleming i król dopuścili się srogiej niewdzięczności i że czas było całkiem ich stronę porzucić.

Odjęcie asygnacyj, które pewne korzyści i siłę dawały, przyprowadzało ją do pasyi. Zaklinała się, że męża do zupełnego zerwania z dworem doprowadzi. Hetman był odmiennego przekonania, sądził że i nadal należało króla oszczędzać, a szlachtę bałamucić, *et haec facienda, et illa non omittenda*.

Hetmanowa, słysząc to, a nie rozumiejąc po łacinie, pochwyciwszy tylko „*facyendę*,” groziła mu, że się od szlachty facyendami dorobi losu Gosiewskiego.

Pocieją lawirował; zrywać z królem nie mógł i nie chciał. Zdawało mu się, jak wszystkim ludziom niedeterminowanym w ciężkich razach, że okoliczność, losy, wypadki jakoś te rzeczy złagodzą, ułożą i pokonibinują.

Przybywszy do Wilna, pan Serwacy odrazu do Pocięjów wpaść nie mógł; musiał się wprzód rozpatrzeć, rozśłuchać, obrachować, w jaki sposób na cztery oczy z hetmanową być się mógł zobaczyc. Nie było to łatwém.

Z Derengowskim się rozstawszy, tegoż dnia skromną zajął gospodę u dawnego znajomego, przyjaznego mu staruszka, bylego woźnego trybunalskiego, emeryta, który Serwusia jak własne kochał dziecko. On, żona i córka, którą dzieckiem znał jeszcze, serdecznie don przywiązani byli. Z ich dworku na Zarzeczcu mógł się niepostrzeżony na miasto wymknąć i na zwiady.

Okolo pałacu hetmana, oprócz straży regimentu wielkiej buławy, mnogich różnej broni wojskowych, suplikantów, wszelkiego narodu i modrunku ludzi, kręciło się zawsze mnóstwo panów, paniczów, młodzieży, pan i panienciek przez dzień cały. Jedni do hetmana, drudzy do samej pani, inni się cisnęli do kancelaryi.

Popatrzywszy co się tu święci, Serwuś mógł niemal zdesperować żeby się dostał do hetmanów, nie zwracając oczu na siebie i nikomu się nie zwierzając ze swego posłannictwa, zwłaszcza że wcale do pokątnych robót tajemniczych nie miał zdolności.

Tu do progu się docisnąć było trudno: popychano, rozbijano się, nie dopuszczano suplikantów; żołnierze, służba, dwór stały na straży. Szczęściem Przebendowski ze szkół jezuickich miał wielu znajomych i towarzyszków, rachował więc że i tu kogoś napyta. Tak się też stało. Jak wprzód Paweł i Derengowski, tak tu w progu pałacu spotkał go Puciata, który przy kancelaryi hetmana amanuensem był, do pisania listów i rozkazów.

Niepozorne to człeczce tylko do pióra było zdatne, bo je Pan Bóg garbem obdarzył, z przodu i z tyłu, a wzrostem karlim, tak że nie pozostawało mu nic, tylko stan duchowny albo kancelarya. Szlachcic, choć dobrego imienia, był ubogi, dorabiać się potrzebował, głowę miał potemu i jak niepozornym się wydawał, tak do wszystkiego był zdolnym.

Zobaczywszy Serwusia, który jeden w szkołach z garbu jego nie drwil, ucieszył się Puciata.

— Serwuś! czy mnie oczy nie mylą?—krzyknął sam pierwszy, za poły go chwytając. —Zkąd się ty tu wzięłeś. i to jeszcze pod moją kancelaryą? Co ty tu robisz?

Najprzykrzejszém to było w położeniu Serwacego, który w prawości swego ducha kłamstwem się brzydził, że ten nieszczęśliwy list podskarbinny, z którym wydawać się nie mógł, zmuszał go do nieustannego wykręcania się fałszami. Lecz

cóż miał począć, będąc zmuszony usługę oddać swój dobrodziejce?

Pytanie garbusa i rumieniec i bladość na twarz mu wywołało.

— Co ja tu robię?—odrzekł—co ja tu robię?.. Błąkam się, nie mając zajęcia.

— A podskarbi?

— Puścili mnie z kwitkiem.

Mówiąc to, Serwacy myślał, że to pewnie nastąpić musi.

— A cóż ty ze sobą myślisz?—pytał towarzysz.

— Sam jeszcze nie wiem—rzekł Przebendowski, rozpatrując się.—Ale tu u was ludno, ludno!

— U nas zawsze jak na jarmarku—rozśmiał się garbaty.—Albo to się darmo jest hetmanem? A tyś podobno przy podskarbinie był i marszałkował u niej w Dreźnie, od czasu jak męża porzuciła. Prawda to?

— Ano prawda—głową kiwając rzekł, Serwacy. — Marszałkowałam czy nie, alem nad jej dworem miał nadzór. Hej Puciata! Gdyby tak pani hetmanowa potrzebowała człowieka, możebyś mnie nastreczył?

— Ciebie? jój?—rozśmiał się garbus, poglądając na niezgrabnego towarzysza i pochylił mu się do ucha.—Ani ty, ani ja do niej się niezdamy, ja zamaly jestem, a ty za duży. Ona potrzebuje okolo siebie chłopców krew z mlékciem dorodnych! Nie lubi patrzeć nawet na takich jak my, nie ujmując tobie, że cię ze sobą równam.

Serwus ruszył ramionami obojętnie, nie dbał bowiem bynajmniej o swą powierzchowność, o której gorsze miał może wyobrażenie, niż Puciata. Miał się za szkaradnie od natury upośledzonego.

Puciata nań patrzył długo.

— A zresztą kto ją wie?—rzekł—baba ma fantazyje! Możebyś się ty jój podobał przez to, żeś od innych różny. Kupić nie kupić, potargować można. Jeżeli chcesz, szepnę o tém panie Rozalii, która u niój jest wszechmocną, a na mnie łaskawą dosyć, jak na garbatego. Gdy się dowie żeś z Drezna i od podskarbinsy...

— Słuchaj-że—do ucha mu się schylając, szepnął Serwacy—ja nie żądam więcej, tylko żeby mi się sobie zaprezentować dozwoliła i audyencyą dała. Sam się zarekomenduję. Sprawę mnie zostawcie, bylem miał posłuchanie.

Puciata się zamyślił.

— Ano, dobrze—rzekł—ja ci to wyrobię.

— Byle prędko!—dodał Serwuś.

— Choćby jutro — odparł garbaty.—Panna Rozalia, gdy się dowie żeś Drezdeńczyk, przez ciekawość samę każe ci się stawić. Czy cię przyjmą, czy nie, zawsze będą chciały czegoś się dowiedzieć, bo my teraz ze dworem na bakier.

Choć rozmowa odbywała się w ganku, wśród ciągle przechodzących i popychających wojskowych, Serwacy z radości wielkiej, że mu się tak powiodło, aż uściśnął garbusa.

— Gdzie i kiedy się mam stawić?—zapytał.

— Jutro, około dziesiątej do kancelaryi, tu zaraz na prawo, na dole. Pytaj tylko o Puciatę, to pokażą ci.

Uściśnęli się raz jeszcze i Serwacy odszedł lżejszy, jakby mu ciężar wielki spadł z ramion. Przypomniął sobie teraz listy, które mu dał ks. Bildiunkiewicz, aby w kolegium jezuitów wręczonę zostały. Niebardzo mu się tam iść chciało, więc zbywał się co rychléj, aby głowę mieć wolną.

Z dawnych czasów był mu tu wielce przyjaznym ów jezuicki braciszek, stary ojciec Trzeciak, o którym Bildiukiewicz napomknął. Księdza Trzeciaka zwano ojcem, przez grzeczność dla jego wieku, chociaż święceń nie miał i kapłanem nie był, a w klasztorze pełnił skromne obowiązki szafarza, czyli ekonoma. Dosyć oryginalnym był ten pater Trzeciak; mógł się być łatwo na kapłana wyświęcić i wyższe w zakonie zająć stanowisko, ale nie chciał.

Człowiek był skromności i prostoty wielki, dziwak zresztą. Dowodził że jako ekonom w klasztorze użytecznym być może, a do innych funkcyj pewnieby się nie zdał.

— Ile wydać powideł na nasze zgromadzenie—mawiał—to ja doskonale wiem, ale sumieniami rządzić inna sprawa. Do tego trzeba ludzi, co się na to zrodzili, ja do powideł tylko i do masła.

Ekonomował już tu od niepamiętnych czasów, gdérząc, podżartowując, prowadząc gospodarkę pilną. A niemała to była rzecz zarządzać bodaj ekonomicznemi sprawami takiego zgromadzenia, iakiem było pod owe czasy jezuickie kolegium w Wilnie.

Do ks. Trzeciaka ze wszystkich mu znanych dawniej tu księży Serwacy miał najwięcej poufałości i przywiązania. Stary go-tęz lubił za jego prawdomówność i sumiennosć, którą Przebendowski od młodości się odznaczał, a z której niegdyś go wyśmiewano, znajdując ją przesadzoną.

Chociaż Bildiukiewicz wspominał o nim, jako o żyjącym, myślał tylko Serwacy, idąc do św. Jana, ażali staruszka żywym zastanie, bo przed laty, gdy z Wilna wyjeżdżał, Trzeciak już był bardzo podeszłego wieku, nogami suwał, wpół był

złamany, ale jeszcze z kluczami u pasa i w rękę, z chustką długo wiszącą u boku, cały Boży dzień do pozna po korytarzach, kuchniach i spiżarniach było go pełno.

Wszedłszy na podwórze, pierwszym którego spotkał był sługa klasztorny, stary także Byczek, stojący z miotłą pod bramą. Ten go nie poznał. Zapytał o ks. Trzeciaka czyżyje.

— A czemu nie ma żyć?—machając ręką, odparł stróż, który dla wielkiej jego surowości ekonomicznej nie lubił—albo to tacy ludzie umierają?

Popatrzył na przybywającego stróż i palcem wskazał na mieszkanie, które Serwacy znał dobrze. Szedł więc wprost do celi Trzeciaka.

Wiedział że to była właśnie najlepsza godzina, gdy staruszek, wszystko powydawawszy, zinęcony, zwykł był albo z książką w ręku spoczywać, lub kwiatkami się swemi zajmować, których okna miał pełne.

Gdy zapukał i wszedł, ojciec Trzeciak, siedzący u stolika, podniósł się na powitanie, ale go zrazu nie poznał. Oczy mu już niedobrze służyły. Dopiero zbliżającego się po ruchach i po mowie przypomniawszy, zawołał:

— Co ja widzę? Serwacy? A ty niewdzięczny jakiś apóstato, coś naszym chlebem i spokojem pogardził, co ty tu robisz?

Począł go ścisnąć i wnet sam usiadłszy, na stół wskazał.

— Siadaj, gadaj, dopóki mnie kto nie wywoła. Jak ci się wiedzie? co tu robisz?

— Przedewszystkiém, ojcze kochany—odparł, dobywając opieczętowanego zwitka papierów, Serwus—oto z czém przybyłem. Ks. Bildiukiewicz kazał mi to oddać do kolegium.

I papiéry na stole położył.

— A tyżeś gdzie Bildiukiewicza widział?— zapytał, biorąc kopertę, ks. Trzeciak.

— W Dreźnie, ztamtąd wprost jadę —odparł Serwaey.

— No, to czekajże—wstając z krzesła, odezwał się Trzeciak.—Kto wieć jak to są pilne rzeczy. *Primo loco*, ponieważ coś słyszałem, że się o listy opóźnione od Bildiukiewicza turbowano, odniosę je rektorowi. A może mu je sam doręczysz? he?

— A nic. Nie mam potrzeby niepokoić ks. rektora.

— No, to pilnujże mi celi i siedź spokojnie, ja i dwóch pacierzy nie zabawiwszy, powrócę—odezwał się staruszek i suwając nogami, ruszył śpiesznie do drzwi.

Serwaey został sam. Cella ta, cisza klasztorna, sprzęt w niej dawny, stojący na swém miejscu od lat tylu, przypomniały mu studenckie czasy. Westchnął do nich, jak się do ubiegłej wzdycha młodości.

Æheu, fugaces labuntur anni. Doniczki z kwiatkami były nawet też same, czas nie sprowadził tu najmniejszej zmiany, a na świecicie?...

Nie mógł jednak długo nad tém rozmyślać i wzdychać, gdyż ks. Trzeciak natychmiast powrócił, od progu wołając:

— Kazał ci ks. rektor oświadczyć *centum laudes*, żeś się pocziwie sprawił; papiéry były potrzebne. Jeżeli nie masz upatrzonój gospody, a zechcesz zjeść nasz skromny obiad zakonny, możesz i celę dostać u nas i do stołu sięść, póki sobie czego lepszego nie upatrzysz.

Serwaey podziękował, a starowina, z tą serdecznością, jaką miał dla całej młodzieży, począł go badać. Więcój doń zaufania zachował

Przebendowski z dawnych czasów, niż do wielu innych ludzi; był też w usposobieniu takiem, że rad się wygadać pragnął z tém, co się przez drogę w nim przyzbiérało, sam w myślach swychładu nie mogąc uzeynić.

Po nieco przeciagniętėj wstępnej rozmowie o losach Serwusia, a jego zajęciach, o Dreźnie i królewskim dworze, o który staruszek troskliwie się dopytywał, dusza się Serwacemu otworzyła. Nadto już temi czasy tać i kłamać był zmuszony; potrzebował się wypowiadać. Począł więc otwarcie narzekać na to, jako Sasi spiskowali przeciw rzeczypospolitéj i na co się to zabiérało, że złota wolność przepaść miała w ich rękach.

Ks. Trzeciak, nic prawie nie odpowiadając, owszem tu i owdzie rzucając słówko, aby go pobudzić do szczeręgo wywnętrzenia, dał mu się spelną wygadać.

— Tak, moje dziecko — rzekł, wysłuchawszy — prawda że wolność, i do tego złota, jest-to bardzo piękne słowo. Ale czyś ty się też kiedy zastanowił, co ono znaezy? Powiedz mi, na przykład, gdzie jest absolutua wolność, a tam, gdzieby ona była, czybyś żyć cheiał i mógł? Wolnymi byćby mogli bez niebezpieczeństwa tylko dojrzali ludzie, a pokaż-że ty mi takich, coby, mając swobodę, zaraz jój nie nadużywali. Dzieciom nie daje się ani trucizny, ani ostrego noża, ani zupełnej swobody, boby karki pokręciły; tak samo jój się dawać nie godzi i ludziom, co na złe jój używają. Mówicie o swobodzie republiki waszėj kochanej. Hm! Jam-to też szlachcicem był i za młodu powąhalem jój. Stryja mojego ta szlachecka swoboda na sejmiku w kościele pozbawiła żyćia, ojciec porąbany ledwie uszedł

z duszą. Tą swobodą pan wojewoda kijowski majątności nam zajechał i zniszczył, a w trybunale procesu z sobą przez lat dziesięć nie dopuścił. Tą swobodą, kochanie moje, gdy się trzeba było od najazdów bronić i nieprzyjaciela odpędzać, myśmy się zasłaniali, żeby podatku łanowego nie dać i ludzi do wojska nie wyprawiać. Nareszcie, szanowny mój Serwacy, téj swobody chce szlachta dla siebie, a dla chłopą jój nie daje, a mieszczaninowi kosztować jój wara! Chłop, gdy się odezwie że człowiekiem jest, którego Chrystus Pan tak samo odkupił krwią Swoją przenaświętszą, jak panów senatorów i karmazynową szlachtę, to go wleń chana! He?

Serwus milczał. Wszystko mu to wydawało się nowém, osobliwém, a wielce niepokojącym.

— Więc już—odparł po chwili—więc już mamy dać upaść u nas staréj Rzeczpospolitéj, przez dziadów i pradziadów nam przekazanej, a pójść pod *absolutum dominium*, w niewolę do Sasa?

— Hm, moje dziecko—rzekł ks. Trzeciak dobrodusznie, ja-bo ci powiem, że nie wiem do prawdy, gdzie niewola. Najgorsze poddanstwo grzechowi, pysze, samolubstwu, namiętności. A czemu by monarcha ojcem być nie miał?

Serwus się uśmięchnął, usta mu się rozwiązywały.

— Ojcie kochany—rzekł—dwóch nas tu tylko w celi jest, jeden Pan Bóg nas słyszy, mogę mówić otwarcie. Król nasz August tym ojcem, o którym mówicie, nie będzie dla nas, bo nim nie jest dla własnego narodu. Rozpusta, pycha, zbytki pannją na dworze, a zgorazenie tylko spływa zgóry. Niéma tam świętego nic. Żony odbierają mężom, dzieci rodzicom, aby je, sro-

motnie splugawione, rzucić potem na gościncu. Lud jęczy, głodem mrze, a saski dwór bawi się i szaleje. Od tychże-to ludzi my zbawienia i poprawy spodziewać się mamy? Przekupieni senatorowie mają nam dać lepszy porządek? Z nieczystych rąk ma nam urosnąć przyszłe szczęście i siła nasza?

Ks. Trzeciak, słysząc go tak zapalczywie mówiącego, bo Serwuś się zmienił zupełnie i dopiero pod koniec téj perory, sam się jakoś zawstydzwszy tego co rzekł, począł głowę znowu chować między ramiona—ks. Trzeciak zaczął od tego, że go pocałował.

— Patrzajcie no! patrzajcie! co się z tego mruka zrobiło! *Sit nomen Domini benedictum!* A widzisz! z naszego to ziarna w tobie ta poczciwość urosła. Ale czekaj-no, com chciał mówić? Wspomniałeś o czystych ludziach i rękach czystych. Slicznie!... Alboś słyszał lub nie o tym wielkim pisarzu, co historyi Francyi dal tytuł: „Czyny Boże przez Franków, dokonane,“ *Gesta Dei per Francos*. Czy myślisz że Bóg, który wszechmocnym jest, nie umie czasem najgorszymi narzędziami dokonywać rzeczy najcudowniejszych? Gdzie są ludzie, coby się czystymi nazwać mogli, i ręce, coby w obliczu Bożém czystymi były? A wiesz-że ty ażali przez tych właśnie ludzi, którym się zda że oni dla siebie pracują, Bóg nie chce czego dla przyszłości uczynić? A jest-żeś ty pewien, że przeszkadzając im do zahamowania waszego nieladu i bezprawia, nie hamujesz opatrznej i dobroczynnej woli Bożej?

— Ale, ojcze mój—zerwał się Serwuś—gdymy tak było, jakżeby człowiek ośmielił się krok stąpić? gdzieby drogi szukał? po czémby ją poznał? Cóż przecie robić trzeba.

— Ani przeczę—odparł, śmiejąc się, ks. Trzeciak—cóż robić trzeba, a wedle sumienia idąc, nikt nie grzeszy. Tylkoby należało zawsze myśleć o tém, że ostrożność nie zawadzi i ważyć, co dobre, a co złe. Ratujcie Rzeczpospolitą, kiedy chcecie, tylko patrzcie, byście wielkich słów broniąc, nie ujęli jój siły do życia. Jabym ci powiedział dykteryjkę, ale cię znudzę.

— O nie—odparł Serwacy.

— Więc posłuchaj—mówił stary—trafiło się raz, że niewiasta jedna chorą była; lekarze jój mieli eliksyr dać, któryby życie ocalił, ale go przyjmować nie chciała. Rada w radę, postanowili wlać jój gwałtem. Chora poczęła krzyczeć, dopadli synowie w obronie macierzy, sponiewierali lekarzy i chora umarła.

Po chwili milezenia dodał ks. Trzeciak:

— Tak, tak, źle jest, moje dziecko, dużo złego wszędzie. Na dworze brud, który ścieka i spływa nadół, a na dole też kałuże, z których zgniły opar idzie do góry.

Westchnął Trzeciak, a Serwuś, zawstydzony własném zuchwalstwem, upokorzony, milczał. Trwało to chwilę; lice się staruszkowi rozpogodziło.

— Rzeczpospolita otworem stoi—dodał łagodnie—już jój części poodpadały, bośmy ich obronić nie umieli, kłócąc się ze sobą o prawa szlachty, o swobody, gdy życie trzeba było ratować. Elckeye nas zgubiły. Nielepij-że panów dziedzicznych mieć, obronę mocną i, dwa kraje związawszy, stać się mocarstwem znaczném, jakim niegdyś byliśmy?

— A cóż po milionach niewolników?—bąknął, znowu się ośmieliwszy, Serwacy.

— Kochanku mój! — rzekł ksiądz — miliony

niewolników macie i dziś przy złotej wolności, bo chłop u nas nie człowiek, a szlachcic w ręku magnata, choć się wolnym mieni.

Na to republikanin nasz, który w starorzymskiej historii taki sam widział niemal porządek, jaki istniał w Polsce, inaczej odpowiedzieć nie umiał, tylko się odwołując do swego prototypu.

— A Grecy i Rzymianie?—zawołał.

— Grecy i Rzymianie, mnie się widzi—rzekł starszek—gotowali pole, na którym Chrystus miał zasiać ziarno. Inne czasy nadeszły. Nauka Chrystusowa przysposabiała libertacye i coraz je rozszerzała. Kościół i ołtarz, przy których wszyscy zarówno się zbierali, swobodę zwiastował ludowi, a pana do jej uznania sposobił nauką swoją. A no, o swobodzie wogole mówilem, co trzymam. Piękne to słowo do zagrzewania umysłów ludzkich i więcej nic. *Vox, vox, prae-ter-eaque nihil.*

Serwus podniósł głowę. Pomieścić mu się w niej nie mogło, ażeby coś nad owę szlachecką wolność mogło być droższego.

— Swobody, jako żywo—dodał ks. Trzeciak—nigdzie niema. Boicie się jednego pana, a słuchacie stu gorszych. W republice lada warchoł rej wodzi, a przeczy mu kto... to go rozsiekac!

Zmleczął Przebendowski, potrzebując wszystko co posłyszał powoli przetrawić w sobie. Był nieco zachwiany. Myśli, które tu usłyszał głoszone śmiało, zupełnie dlań nowe, napępniały go trwogą jakąś i niepokojem.

Argumentów mu przeciwko nim nie stawało; radby je był zbijał, a nie miał czém. Zresztą sumienny człowiek zawahał się sam, czy nie jest w błędzie.

Gdy tak milczeli trochę, a ks. Trzeciak, przypatrując mu się, uśmiechał dobrotliwie, już chciał wstać i odejść Serwacy, aż staruszek go powstrzymał.

— A czekaj-że! — zawołał. — Mam tu w szafce kieliszek gorzałki, jarzębinówki doskonałej, i zakąska się znajdzie. Nie puszczę cię, nie poczęstowawszy.

I poszedł z kluczem do szafy w ścianę wmurowanej, przeróżne specjały zawierającj. Z téj dwie czy trzy flaszki zkolei wydymając przeciw światłu, gdy na jarzębinówkę natrafił, zajął się nakarmieniem gościa. Był i piernik, chléb i masło. Gdy Serwuś pożywał, ks. Trzeciak z przyjemnością się mlodemu apetytowi przypatrywał.

— Powiedz-że mi — odezwał się — toś ty na takiego republikanina wyszedł? Hm! Już ci to u ciebie, kochanie moje, pewnie z dobrego źródła płynie, ale rozmyśl się, co poczynasz. Musiales się naczytać dużo o starych republikanach, jak to tam ślicznie u nich bywało; rozczytaj-że się téż, co nasza wolność u nas dokazywała za Zygmunta III, Władysława i Jana Kaźmirza, a cośmy przez nią stracili. Wolność szlachecka prawda rosła, ale potęgi i kraju ubywało. Szlachta się rozpasala, panowie téż lepsi nie byli. Królowie prosić, oganiać się, płacić musieli, aby do obrony napędzić, ażeśmy przyszli do tego, co jest. Fleming, choć krzyczysz na niego, wierzaj mi, rozum ma i dobrego chce.

Serwacy głową wstrząsał.

— Z tego nic nie będzie — rzekł — obroni się szlachta.

— Stanie się, co Bóg postanowi w górze — rzekł ks. Trzeciak. — Ale wiész co będzie, jeśli się szlachta obroni?

— A cóż ma być?—spytał Serwus.

— To co nasz wielki Piotr Skarga przepowiadał i co Jan Kieżmirz, składając koronę, prorokował. Pomysl nad tém.—dodał, wzdychając, Trzeciak.

Wstydził się wyznać Serwuś, że on, co o respublikach tyle się naczytał, obu tych wieszczych głosów nie znał, nie słyszał nawet o nich. Podniósł oczy ciekawie.

Odgadł pewnie ks. Trzeciak, że mu te rzeczy obce były; poszedł, milcząc, do drugiej szafki, do był kazania Skargi, dostał Swadę, znalazł zakładkami pooznaczane miejsca w nich i oba wolumina przed śniadającym położył.

Przebendowski wnet jadło porzucił i poszedł do okna z książkami. Tymczasem braciszek jeden wszedł, potrzebując czegoś ze spiżarni, drugi z zapytaniem o jakieś dyspozycye względem obiadu. Ks. Trzeciak musiał ruszyć, ale Serwacemu do ucha szepnął, aby spokojnie sobie czytał, czekając jego powrotu.

Tak niespodzianie wcale Serwuś, jak gdyby znowu na naukę do jezuitów powrócił, znalazł się z książkami na kolanach w tych murach, a począwszy czytać owo prorocze Skargi kazanie, łzy uczył na oczach. Skończywszy je, długo nie mógł Swady wziąć do ręki i naostatku chwycił ową mowę królewską, która go też do głębi przejęła i ledwie otarte łzy wróciły znowu.

Gdy ks. Trzeciak z kluczami powrócił do celi, stał już zadumany chłopak w oknie, smutny, niepewien siebie, skłopotany, nie wiedząc dokąd iść sercem i sobą całym, co dalej poczynąć.

Ten stan ducha na rozdrożu jakby zrozumiawszy, starowina wpatrzył się w niego i rzekł weselej:

— A co? nieprawda że piękne to, a smutne?

— Straszne!—odparł Serwuś:

— Widzisz, duszo moja, że twoja republika *ultimis spirat*, jeśli się kto nie znajdzie, co ją poratuje. A gdy człowiek tonie, ten co go z wody wyciąga nie patrzy, choćby za łeb pochwycił i czuprynę mu potargał. Tą czupryną, której wy nie dajecie tknąć, choćby życie stracić przyszło, tą czupryną jest wolność wasza. Cha! cha!

Staruszek, sam rad z porównania, wziął się w boki.

— Tandem — dodał, zwracając rozmowę.— Długo ty tu? co myślisz? co robisz? Przyjechałeś pewnie po swojemu ratować Rzeczpospolitą, bo ją teraz wszyscy ratują. Czemuż nie? każdemu wolno.

— O ja, ojciec mój, wcale o tém nie myślę, ani się czuję na siłach — rzekł Serwacy.— Przybyłem za interesem cudzym (wygadał się), a co dalej ze sobą pocznę, ani wiem.

— *Deus providebit!* Uczciwym jesteś, Bóg ci pobłogosławi. Gdybyś był sukienki naszój nie zrzucał, o losbyś się nie potrzebował frasować.

— Powołania nie czułem—odparł Serwacy.

— A pracować ci się na nie nie chciało — dodał stary.— No, niema w tém nic złego, byleś na świecie szedł drogą pocziwą. Cóż, wojskowo służyć myślisz?

— A, i do tego wielkiego pociągu nie mam — westchnął Serwacy.

— Więc na zagon i do roli?

— Ani zagona, ani ogona nie mam — odparł Serwuś. — Służbę dworską pełniłem, a bodaj się do niej znowu zaprządz przyjdzie.

Potrząś głową ks. Trzeciak.

— Jużci i w niej można być pożytecznym — rzekł — ale wątpię, aby to dla ciebie był chleb zdrowy.

— I ja tak myślę — potwierdził Serwacy, wzdychając.

Pocałowawszy w rękę księdza, który go jeszcze na obiady w imieniu rektora i swoim zapraszał, wysunął się Przebendowski w dziedzińce. z głową myśli pełną. Stały mu w niej ognistemi marami słowa Skargi i bolesciwa mowa królewska. Rozwidniało się powoli w myślach, chociaż stare a kochane wrażenia wracały uparcie. Nie mając już ochoty nigdzie iść dnia tego, ani się komu nastroczać na oczy, powlókł się na stancję do woźnego i zauknął w niej, pod pozorem że spoczynku potrzebuje.

Tu zaledwie godzinę na łóżku, nie śpiąc, przeleżał, w sufit patrząc, gdy hałaśliwie do niego począł się dobijać Derengowski, który z sobą go przywiózł. Córka woźnego, panna Domicella, wpadła, oznajmując o przybyciu jego i że pilno bardzo mówić z panem Serwacym potrzebuje, a tuż za nią wyelegantowany, w czapeczce na bakier, zjawił się dawny towarzysz.

— Szukaliśmy tego licha Minkiewicza — zawołał — aliści go tu mamy. Minkiewicz, wytrzeźwiałszy się, gdy mu powiedziano, żeśmy za nim latali próżno, pogonił aż tu za waszczcią i domaga się satysfakcyi za kpa, którego oberwał.

Krew szlachecka zakipiała w panu Serwacym; porwał się na równe nogi, żując gębą straszliwie.

— To ją będzie miał, bo ona innie jeszcze potrzebniejsza, niż jemul — krzyknął. — Gdzie i jak chce staje. Proszę was, przyjacielem mi bądźcie do tej sprawy. Umówcie się gdzie i jak — kroku do trzymam, nie idzie mi tyle o siebie, co o podskar-

biego, którego honoru bezkarnie szarpać nie dam. Jutro mam do załatwienia sprawę cudzą, a pojutrze Minkiewiczowi służyć.

Mówiąc to, trząsał się cały. Na rękę mu było spędzić na kimś gniew, który czuł przeciwko sobie samemu. Derengowski uściskał go, śmiejąc się.

— Będzie miał o co prosić Minkiewicz! — zawołał. — Niech wcześniej balwierza zamówi.

Nazajutrz o godzinie dziesiątej Serwacy był już w Pociejewskim pałacu i w prawo na dole dopytywał się w antykamercze, pełniuteńkiej wszelakiego ludu, o przyjaciela Puciatę. Wskazano mu drzwi boczne, małe, które otwartszy, znalazł się w niewielkiej izbie, z ogromnym stołem, większą jej połowę zajmującym. Dwóch skrybentów, głowy powieszawszy nad papierami, szyko coś przepisywało. Puciata z jakimiś wojskowymi rozmawiał w kącie pocichu; pokój dokoła osłoniony był półkami, na których moc fascykulów i książek porozrzucanych leżało. Łojowa świeczka do pieczętowania gorzała, nabok zwieszona, w lichtarzyku mosiężnym.

Ława i kilka poplamionych stolików czarną i smutną kancelaryą wraz ze stołem tak zalegały, że się ledwie można było przecisnąć.

Usłyszawszy otwierające się drzwi, Puciata wyjrzał, dwaj skrybenci popodnosili głowy i wnet znowu przyśpieszonym pędem pisać zaczęli. Dał mu znak, aby siadł, ale do stołka trudno się było dostać. Wtém i panowie wojskowi, poszeptawszy, do drzwi się mieli; Puciata się do niego przybliżył i wywiódł go ze sobą do drugiej stancyjki, gdzie miał swój stół, zarzucony papierami. Oprócz tego, stał tu tapczanik z poduszką skó-

rzaną, a pod nim para butów, bo niekiedy i noce na nim spędzać musiał Puciata, gdy czasy nastały gorące. Na półeczce też widać było flaszkę, talérzyk i kawałek nadkrojonego séra.

— Dobra nasza—rzekł.—Hetmanowa cię dziś przyjmie. Panna Rozalia mi się dobrze spisała. (Tu rozśmiał się garbus). Niemłoda panna i nieładna, ale zażywna i wesola, a ja nie mam prawa bardzo przebiierać. Co z brzegu, to nieprzyjaciel. Ona jedna się zna na tém, że i ja coś wart jestem choć garbaty, a lubi mój głos, bo mam dyszkant, jak wiesz, i nie straciłem go.

To mówiąc, zaczął coś nucić pod nosem.

— Zatem—dodał—chodź, zaprowadzę cię i oddam w ręce Rózi. Dalej dawaj sobie sam rady, jako wiesz i umiesz. To tylko pamiętaj, że hetmanowa jest porywcza; ze słowem trzeba być ostrożnym.

— No, nie bój się—odparł Serwacy—jakoś to będzie; jam też nie nowicyusz.

Na skromne ubranie przyjaciela spojrzawszy Puciata, bo tego dnia tylko buraczkowy żupanik wdział Serwus i co do niego należało, kiwnął głową, poprowadził go małemi drzwiami w korytarz i ciasnemi schodkami na górę. W prawo były apartamenta pani hetmanowój, do których przystęp o téj godzinie wydawał się niełatwym. Sien i przedpokoje zajmowała ciżba różnego rodzaju ludzi, Żydów najwięcej, Żydówek z zawiniątkami jakimiś pod pachą, suplikantów szlachty ubogo odzianej, kobiet, które się po kątach tuliły.

Puciata, przebiwszy się przez tę gęszcz, wprowadził od razu Serwusia do pokoju faworyty pani hetmanowój, panny Rozalii Szypczyńskićj. Tu także kilku Żydów stało na poufnój konferencyi;

pokój zarzucony był gratami i porozwijanemi towarami, na stoliku flaszki i filiżanki, próbki materij i trochę pieniędzy, rzędami pokładzionych, widać było.

Ale najosobliwszy widok przedstawiał się pod oknem. Tu karzeł pani hetmanowej, zwany Samson, ubrany jaknajdziwaczniej, za karę siedział na większym od siebie koniu drewnianym i płakał, a pies faworyt duńczyk, nakrapiany czarno, szczekał na niego. Płacz i szczekanie hałas sprawiało niemały.

Panna Rozalia, ubrana osobliwie, jaskrawo, nastrzępiona wstążkami, lat pod czterdzieści mieć mogąca, otyła dosyć, z twarzą mocno czerwoną, niepiękna, coś kozackiego i wyzywającego mająca w sobie, wesół i żartobliwa, zobaczywszy Puciatę i za nim idącego długiego, przygarbionego Serwusia, Żydów natychmiast wygnała, karłowi i psu nakazała milczenie i zbliżyła się ku nim, śmiejąc.

— A to pan z Drezna, co był marszałkiem u podskarby? — zawołała trochę szydersko, rozpatrując się w przybyłym. — Ja już pani hetmanowej mówiłam o panu, tylko trzeba poczekać, żeby odprawila Francuza.

Wskazała na drzwi, spojrzała na Puciatę i dała mu nieznacznie głową i ruchem ręki do zrozumienia, jakoby niewielką nadzieję miała dla jego protegowanego. Serwus nie mógł się podobać, a przybrał był tę swoją powszednią minę głupowatą i pokorną, która go śmiesznym czyniła.

— Cóż tam w tém Dreźnie? — zapytała śmiało, zwracając się do Przebendowskiego — kogo tam królowi nastreczyli do kochania? Słyszę że Denhoffowa się za mąż wydaje? — poczęła się

śmiać.—Kandydatek tam na jej urząd pewno nie-mało.

Spojrzała na Serwusia, który ledwie przebą-kak:

— Ja nie wiem.

— Królowi te jego Saksonki miłsze—dodała rezolutnie panna Rozalia—bo to posłuszniesze i głupsze, niż nasze panie. U naszych fantazyi dużo, a król despota i w miłości.

Serwuś, słuchając, oczy spuszczone trzymał; nie chciało mu się mówić o tém. Puciata, coś szepnąwszy, zabrał się do wyjścia.

— A pan niechaj siada—rzekła panna.—Nie-bawem Francuza pani odpędzi, tylko co nie wi-dać jak wyleci, dostawszy dobrą burę.

Słowa te sprawdziły się prawie natychmiast.

Z po za drzwi usłyszeli podniesiony głos ko-bięcy, rozkazujący, gniówny i w téjże chwili przez drzwi otwarte wyleciał, potykając się w progu, mały człeczek z peruką przekręconą na głowie; czerwony, strwożony, zły, puścił się ku wycho-dowi, nie pokłoniwszy nawet pannie Rozalii, i drapnął. Pies, zobaczywszy uchodzącego, po-gonił za nim, szczekając, aż go odwołać mu-siano.

W progustąpiła pani hetmanowa, małeńka kobié-cina, niepiérwszój młodości, z resztkami wdzięku w zmęczonéj twarzyczce, która musiała być bardzo piękną, ale z niój tylko teraz zostały ogniste oczy, małeńkie usta zwiedle, ostry nosek i płeć ubielona. Na zmarszczoném czole wyraz oburzenia i gnie-wu jeszcze był widoczny. Ubrana w paradną suknię ranną z tureckiej materyi kwiecistój i pstrój, we fryzurze dosyć zaniedbanój na gło-wie, z koronkowemi w nieładzie około szyi tro-chę pomarszczonój kołnierzykami, hetmanowa

w jednej ręczce chudłej trzymała coś nakształt kijka. Był-to cybuch wiśniowy turecki, bo pani Pociějowa, jak wiele śmielszych pań, co na dworze saskim żyły z królem w poufałości (jak później młoda i piękna Orzelska)—o zgrozo!—fajkę się palić nauczyła.

Zobaczywszy stojącego skromnie na uboczu długiego, przygarbionego Serwusia, który im bardziej był zakłopotany, tém ustami silniej mlaśkał i przeżuwał—wlepiła w niego bystre oczy pani Pociějowa; powoli wyraz gniewu z twarzy jēj schodzić począł, a zdziwienie i szyderskiego coś go zastąpiło.

Panna Rozalia pośpieszyła szepnąć jēj słówko na ucho, wskazując Serwusiowi, który się nisko uklonił, aby wszedł do pokoju hetmanowój, już cofającój się z progu.

Pies-faworyt, porzuciwszy Samsona, poprzedził go, uwijając się wesoło.

Pokój, do którego wszedł obżalowany Przebendowski, przybrany był z przepychem i okazaloscia, ale w najstraszniejszym nieładzie. Na okrągłym stole wpośrodku leżała czapeczka, kołpaczek sobolem okładany z kitą, rozsypany tytun, stała niedopita czekolada, walało się kilka listów i mnóstwo gałganków, wśród najkosztowniejszych klejnotów, rzuconych tak niedbale, jak one.

W głębi łóżko, osłonięte karmazynowym pawilonem, z piórami u góry, szerokie bardzo, stało jeszcze nieposłane. Kołdra atlasowa zmięta niedobrze je okrywała. Para pantofelków, niecierpliwie rzuconych, walała się na podłodze, jakby pokłóciwszy ze sobą.

Na kominku, który zdobiły przepyszny zegar bronzowy i porcelanowe figurki pasterek i pa-

stuszków w amorach wielkich ku sobie, palił się ogień ogromny.

Na krzeselkach, obitych ałasem jasnym w bukiety róż, lakierowanych i złoconych, widać było stroje jakieś, w nieporządku leżące. Zapachy dziwnie pomieszane piżma, lawendy, pomady, tytoniu, może nawet prochu, pomimo komina, atmosferę czyniły ciężką i niezdolną.

Gdy drzwi się za Serwusiem zamknęły, a ten nieśmiało miejsce zajął u progu, ledwie oczy odważywszy się podnieść na panią Pocielową, hetmanową, przyglądając mu się, bez ceremonii śmiać się zaczęła.

— To acan byłeś u pani podskarbiny?

W głosie jej było coś, co się mówić zdawało: „Ależ dobrała sobie pięknego dworaka!”

Serwus się obejrzał trwożliwie, nie umiając jeszcze przyjść do słowa.

— I z jakiegoż-to powodu dostałeś acan abszyt? Proszę mi mówić otwarcie.

Przebendowski tymczasem, rękę założywszy za kontusz, listu szukał.

— Pani hetmanowa dobrodziejka przebaczy mi—odezwał się, jękając—iż musiałem zażyć fortelu, aby się do niej dostać. Ja nie zostałem jeszcze odprawiony, ale moja pani, podskarbina, wysłała mnie z listem, który mi oddać przykazano bez świadków i do rąk własnych.

Usłyszawszy to, pani Pocielowa rzuciła się żwawo, cybuch, który jeszcze trzymała w ręku, cisnąwszy na krzesło. Potoczył się on z ałasem na ziemię, a pies pobiegł za nim, naszczekując.

— A! list acan masz od podskarbiny! Dawajże, prędko!

Brew się jej zmarszczyła: wyciągnęła białą,

chudą, małą rączkę i niecierpliwie poczęła poruszać palcami, jak dziecko.

Serwuś list podał. Rozerwawszy pieczęć, rzuciła kopertę na ziemię, a pośpieszywszy do okna, zaczęła pismo przebiegać oczyma. Zmarszczyła się, usta odęła, głowę kilka razy rzuciła, wreszcie list, z rodzajem lekceważenia, wcisnęła, mnąc go i dusząc, do kieszonki. Spojrzała na posła.

— Kazano mi prosić o odpowiedź — rzekł Serwuś spokojnie.

— A tak! będziesz ją acan miał—zawołała Pocijowa—ale pewno nie taką, jakiej się spodziewają. Już to te czasy przeszły—poczęła, burząc się i unosząc—gdy nas prowadzili obiecankami, jak się im podobało. Poznaliśmy się lepiej!

Pocijowa, mówiąc, chodziła po pokoju; co na drodze znalazła, odrzucała, popychała; parę razy psa zabiegającego odpędziła, aż się poszedł skryć pod łóżko. Spotkał ten los i pantofelki przy łóżku, i jedno z krzeseł, które się wywróciło, i stoliczek, na którym stojąca filiżanka żałośnie jęknęła.

— Podskarbina mi pisze—dodała, obracając się do posła—że mogę acanu ustnie powierzyć co chcę, bo masz jój zupełne zaufanie.

Popatrzawszy na niego, ruszyła ramionami, jakby się to jój trochę dziwném i podejrzaném wydawało.

— Powiećdz-że acan podskarbinie i całemu waszemu drezdeńskiemu światu, jeśli chcesz, że Pocijowa nie ta, co była. Nauczyli ją Sasi rozumu. Niech nie myślą że nas będą mieli, miodem posmarowawszy. Nie—nie! Mężowi się nie pozwolę dalej z nimi wikłać, a jeśli on ślamazarnym zechce być, sama gotowa jestem na

koń sięść i na przebrzydłych Sasów pójść! Wszystka szlachta pójdzie za mną, słowo daję.

Stała w postawie rycerskiej, tupiąc nóżką.

— Jak mi Bóg miły, siadę na konia! Pięknie się nam wypłacili za to, że hetman o mało życia z ich łaski nie postradał. Król mi moję pensyą odjął. Niech ją sobie trzyma; lichy go bierz z jego pensyą. Fleming myśli że nas cacankami, jak głodne psiaki kością, do szopki wprowadzi. Już się my na tém znamy. Fleming wasz rozumny, ale i panie hetmanowe niegłupie. Powiedz im acan, że jak ja, tak samo myśli pani Sieniawska. Zemną trzyma i męża nie puści, aby się dla Niemców szargał... Sasów nie stanie pręd-ko u nas, a Pocijowie i Sieniawscy zostaną, żeby ich palcami jak zdrajców wytykano. E, co nie, to nie!

Mówiła to w największym rozdrażnieniu, pręd-ko, gniewnie, coraz się zwracając do Serwacego, który tak porywczej kobiety jak żyw nie widział, a że mówiła mu do jego przekonania, poczynął się prostować i nawet uśmiechać. Pani Pocijowa, dostrzegłszy tego półuśmiechu, stanęła nagle.

— Czego się acan śmiejesz?—krzyknęła—co to jest?

Tupnęła nogą, aż pies z pod łóżka wypadł i szczeknął.

— Bóg widzi, niech jasnie pani daruje. Ja się, uchowaj Boże, nie śmieję, ale ja przecie też szlachcic polski; raduję się, słysząc że się Sasom nie damy.

Uniół się biedny chłopak, a hetmanowa zdumiała.

— Jakto? a przecież acan sługą jesteś pod-skarbiny?

Serwuś się odprostował.

— Przecież ja za chleb sumienia nie sprzedał—rzekł.

Słowo to, rażnie powiedziane, podobało się. Pocijowa ramionami z podziwu zżymnęła.

— Co mi pani hetmanowa każe zanieść, zaniósę—dodał Przebendowski, z nogi na nogę przechylając się swoim zwyczajem, niezgrabnie, z twarzą jednak coraz jaśniejszą — ale dlatego człowiek ma swoje przekonanie.

Pocijowa bliżej przystąpiła do niego.

— Nie dziwuję się podskarbinie—poczęła.— Niemka jest, godna siostrzyczka Fleminga. Jój to przebaczone, że nas chce w niewolę sprzedać Sasom, ale my tego nie ścierpimy. Baba, patrząc na nią, niby trzech zliczyć nie umie, taka słodka, a intrygantka kuta.

Tu Serwus się znowu poruszyć musiał: dotknęto jego opiekunkę.

— Niech mi pani hetmanowa daruje—odezwał się—ja jak trzymam to trzymam, a na moją dobrodziejkę złych słów nieradbym słuchał, bo ją weneruję.

Pocijowa znowu się zachnęła.

— Co z wacana za człowiek? Jedną razą się szlachcicem mienisz i radujesz, że się Sasom nie dajemy, a wnet z admiracją się oświadczasz dla téj Niemkini?

Serwus skrzywił się szkaradnie i począł bełkotać i żuć, jakby w nim co się gotowało, nie mogąc wybuchnąć.

— Jedno do drugiego nie należy — rzekł wkońcu.—Pani zacna i respektu godna, a że bratem ma pana feldmarszałka i przez jego oczy widzi, co ona temu winna? To trudno.

— Cóż acan? kochasz się w niej, czy co?—zaśmiała się hetmanowa—przyznaj.

Napadnięty tak dziwnie, Serwuś zaczerwienił się, ręką powiódł po twarzy i syknął prawie gniewnie:

— Wolne żarty!

— Jak się acan nazywasz? Zdajc mi się także Przebendowski—wtrąciła Pociejowa.

— A tak jest.

— Dawno w ich domu?

— Od dziecka, bom siérota.

— Ileż acanu lat?

Ta indagacya *extra materiam* jakoś się wkońcu nie podobała Serwusiowi i wykrzyknął:

— Nie wiem, ja tam w metrykę nie patrzył.

Zdaje się że facyata i obcójście się oryginalne Przebendowskiego musiały zabawić fantastyczną panią, bo padła naprzeciw niego na krzesło, nie zdjawszy zeń leżącej sukni, którą pod sobą zduśiła, i poczęła mu się przypatrywać od stóp do głowy bardzo pilnie, jakby chciała odgadnąć, co tam w tym niezgrabiaszu siedzi.

Serwuś, jak na pytkach, pocił się i męczył.

— Pani hetmanowa raczy mi powiedzieć, co mam odnieść mojej pani i kiedy się mogę listu spodziewać?

— List acanu dam—rzekła Pociejowa—ale ona z listu niewiele się nauczy. Spódnica długa, najniższa sługa, i tyle! Ja tam, jak te Niemkinie, pisać i gryzmolić nie umiem i nie lubię. Papiér zdrajca; potém się będą z listami memi nosili, jak z Jabłonowskiego i innemi. Ustnie im acan powiesz, niech na nas nie rachują. Fimfę będą mieli—fimfę.

Chwilkę pomilczała.

— Co oni nam tam gruszki na wicrzebie obiecują? Starostwa, dobra, pensye, prezenta. Najprzód król goly, bo mu na kochanki dużo potrze-

ba, a ciągle je zmienia. Potém co mi ze starostwa, kiedy hetmana szlachta rozsieka. Jak do drugiego związku przyjdzie przeciw nam, nie wywinie my się z tego, jak z tarnogrodzkiego.

Serwuś, namysliwszy się, ośmielił przebąknąć:

— Pan feldmarszałek ufa w ten skrypt i komendę, którą mu panowie hetmanowie dali, i tego się trzyma.

Pociejowa się jak Kozak zerwała.

— To ten bałwan stary Sieniawski, bez wiedzy żony, dał się wziąć Niemcowi, a mojego cięmięgę starego za sobą pociągnął. Ale ja i pani hetmanowa Sieniawska pokoju nie damy, dopóki nam tego głupiego skryptu nie powrócą. Sieniawski sam nic nie znaczy, ja mojego mam w ręku. (To mówiąc, pięść ścisnęła i rozśmiała się sama cynicznie.) Dobrze mu zmyłam głowę, a nie dam tchnąć, póki skryptu nie cofną i wojsko cudzoziemskiego autoramentu pod naszą komendę nie wróci. Hetmanowie teraz malowani, ale ja malowaną hetmanową być nie chcę. To moje ostatnie słowo. W Łęczny, gdyśmy Antonowicza ubłagały, żeby nas nie rabował i nie zabijał, na krucyfiksie poprzysięgłam, że mężowi z Sasami trzymać nie dam. I nie dam! nie będzie z tego nic!

To mówiąc, wywijając rękami obiema naprzeciw Serwacego i niegrzecznym skończyła ruchem. Była strasznie podrażniona.

Całe to znalezienie się, wielce drapieżne, pani hetmanowej litewskiej wydało się Serwacemu czém było, to jest monstrualném. Nie znał Pociejowej, choć sławną była z podobnych wykrzyków, i gdy się uniosła, słów nie dobięrała, gotową będąc nawet ręką je popierać. Cytowano

wypadki, w których piękne jój paluszki padały policzkiem na wąsate twarze.

Zwali ją i Herodem babą i różnie jeszcze inaczej, choć, spojrzawszy na nią, na wątłą postać, drobną figurkę, niktby się w niej takiej kśliwój istoty nie domyslił. Natomiast w miłości téż bywała szaloną do zapamiętania. Ale czasy amarów już przechodziły.

Dokończywszy fuków, pani hetmanowa dobyła z kieszeni list podskarbiny, niemiłosiernie pomięty, poczęła go prostować, rozdarła z pośpiechu, złożyła kawałki i przebiegła oczyma.

— Pisz mi podskarbina — rzekła z przekąsem — że król moję pensyą przywróci. Powiedz jój acan, niech ją sobie dla swojej metresy zatrzyma. Ja jój nie potrzebuję i nie chcę.

Zmieniła głos i zapytała:

— Któraż tam teraz? jak się zowie?

Serwuś ramionami ruszył i nie odpowiedział.

— Gadajże, przecie to nie sekret, że ten wasz król się bez metresy nie obejdzie, choćby dla oka, bo zestarzał. Fleming musiał już mu nastręczyć inną, kiedy Denhoffową za Lubomirskiego wydają.

— Ale ja tam nic nie wiem o tém — mruknął Serwacy.

— Jakto, żebyś acan, przy dworze żyjąc, nic nie wiedział?

— A mnie to co obchodzi? — zawołał Przebendowski. — Ja domu pilnuję, u dworu nie bywam i w plotki się nie bawię.

— Jak mi Bóg miły, to z acana osobliwe stworzenie! — rozśmiała się hetmanowa i poczęła ręką szukać cybucha i fajki.

— Kiedy jaśnie pani rozkaże przyjść po odpowiedź?

Pociejowa zajęta już była fajką swoją, która, padając, stłukła się. Patrzyła na rozbite kawałki i nie odpowiedziała rychło.

— Kiedy-bo ja się z acanem po polsku dogadać nie mogę!—zawołała zniecierpliwiona.—Pleciesz trzy po trzy; nie wiem jak tam swojej pani służyysz, ale jabym takiego mruka i do wieczora nie trzymała.

Pomyślał Serwacy, że u takiej postrzelonej baby i godzinyby nie wytrwał, ale zmilczał.

— Dzisiaj kulig do Zakretu—odezwiała się Pociejowa.—Ja nie mam chwili czasu na tę bazgraninę. Potém znów reduta... Ale—dodała—żebyś téż w Dreźnie mógł powiedzieć, że i my się tu niczego bawimy, przyjdź-że mi acan popatrz na redutę. Zobaczysz że nietylko król umie zabawy wyprawiać, i nietylko w Dreźnie są piękne kobiety; u nas piękniejsze może. Ale z tych królowi jegomości nic nie przyjdzie. Dosyć już nazwodził.

Dodała wyrażenie dobitne, nieco mytologiczne, ale przez zęby i pocichu. Serwuś tylko szmer posłyszał.

Skłonił się na zaproszenie, myśląc w duchu że nie pójdzie na żadną redutę i stał, czapkę mnąc w ręku. Musiał téż o Minkiewiczu pamiętać.

— No, pojutrze dam acanu odpowiedź, jak się po reducie wyspię—dodała Pociejowa.—Tymczasem acan sobie spoczni.

Popatrzyła nań jeszcze długo i skinęła mu głową.

— Pojutrze się rano acan zamelduj do Rózi mojej, respons będzie gotowy i ustnie dam rezolucyą.

Serwuś, doczekawszy się odprawy, wyszedł, jak z łaźni.

Widać że panna Rozalia, obyczajem dworskim, podsłuchiwać musiała poddrzwiami, bo gdy Serwacy wychodził, rzuciła nań wzrokiem szyderskim, pokiwała głową i pogroziła mu grubym palcem na czerwonym nosie.

Miało to znaczyć, że już wiedziała iż była zwiedziona. Serwuś, skłoniwszy się, odchodził, niepewien drzwi, a wydobywszy się wreszcie na korytarze, począł rozmyślać, czyby nie zejść do Puciaty. Ano sprawa z Minkiewiczem też pilną bardzo była; musiał pośpieszać do Derengowskiego, aby się z nią ułatwić.

Z pomocą więc kręcącój się służby trafiwszy na dobrą drogę do ganku głównego, już się mógł wydobyć z pałacu na ulicę, gdy jakby go piorun razik.

Pan podskarbi Przebendowski, który o nim nie powinien był wiedzieć, właśnie do hetmana przyjechał i z dwoma przyjaciółmi kroczył powoli korytarzem, z powagą wielką. Już przed chwilą, nim go Serwuś postrzegł, podskarbi oczy wlepił w niego, wierzyć im nie chcąc.

Serwuś nawet nie domyślał się, że mógł być w Wilnie. Umknąć było niepodobieństwem. Podskarbi stanął, minę zrobił osłupiałą, ręce za pas założył i czekał.

Serwacy poszedłby był nawskróś ziemi, gdyby mógł. Zrobiło mu się zimno, gorąco, mdło; przebiegły po nim dreszcze, potem poty—ogłupiał. Rozpacz go ogarniała.

— Co ty tu robisz?! Wszelki duch Pana Boga chwalil! Mówię ci, co ty tu robisz? Co to jest? Zkądś się wziął?

Nic już uie mając do stracenia, Serwacy kłamać musiał; zdjął czapkę i pokłonił się do kolan.

— Co—ty—tu—robisz?— huknął groźnie podskarbi, zatrzymując się na każdym wyrazie.

— Miejsca szukam— odpowiedział Serwuś.— Pani podskarbina mi dała odprawę. Chciałem tylko pojechać podziękować za wszystkie łaski jasnie wielmożnemu panu i szczęścia szukać gdzieindziej.

Podskarbi się przeżegnał.

— Cóżes ty przeskrobał? he, gadaj! Gadaj mi zaraz!

— A nic, tylko się moje usługi nie podo-
bały.

— Łzesz!— krzyknął porywczy podskarbi grubiańsko, jak to naówczas było we zwyczaj z podwładnymi.

Serwuś, zarumieniony, już się prostował.

— Ja nigdy nie kłamię!— odparł buńczuczno, pomimo że w tej chwili kłamał.

— Fiu! fiu! patrzaj-no go, jak! mi tęgi!

Podskarbi się już trząsł z gniewu.

— Tu nie miejsce na rozprawę z tobą (wistocie sporo ludzi się skupiać zaczynało). Żebyś mi się stawił na moję kwaterę na Wileńską ulicę, do kamienicy zielonój. Tam się ze sobą rozprawimy.

To mówiąc, podskarbi się posunął dalej, a Serwacy, ścigany oczyma mnóstwa świadków, wymknął się conajprędzej z pałacu.

Dopiero w ulicy lżej odetchnął. Co tu było robić? Podskarbi, prawda, miał do niego prawo, zadziierać z nim nie było bezpiecznie, musiał go słuchać, ale sprawy honorowój z Minkiewiczem na kołku powiesić nie mógł.

Popędził tedy na kwaterę do Derengowskiego, którego szczęściem jakimś zastał w oajumcop się rzadko trafiało. Po twarzy wywróconej Prze-

bendowskiego mógł poznać przyjaciel, że mu się coś niedobrego przytrafić musiało. Zrazu gotów to był przypisać aprehensyi, z powodu pojedynku, ale się zaraz wszystko wyjaśniło, gdy Serwuś przyznał się do niefortunnego z podskarbin spotkania, prosząc na miłość Bożą o przyspieszenie sprawy, choćby na dzień dzisiejszy, bo czasu nie miał do stracenia. Wieczorem najdalej stawić się musiał do zielonój kamienicy.

Zostawiwszy go tedy na swój kwaterze, pocziwy Derengowski ruszył natychmiast do rozsierdzonego szlacheica.

Już to samo że Minkiewicz, zapóźno się opatrzywszy, gonił za Serwacym, dowodziło jak polajanie wziął do serca, a Derengowski, znający go przez drugich, ręczył że szlachcic był kłótnik, sierdzisty, jak pijawka czépiający się i rębacz z profesyi.

Serwacy téż z szablą sobie rady dać umiał niczego, bywał już dawniej w kilku okazyach i nieźle z nich wyszedł. Siłę w ręku miał ogromną, wzrost potężny zamachu mu dodawał. Gdy pot poczuwszy, płatnął, rana była pewno nie na żarty i kto ją oberwał, dobrze się lizać musiał. Sztuk owych różnych, jakie się praktykowały naówczas, nie był bardzo świadomy, przecież z prosta krzyżowym ścięciem od ucha płatnąć umiał. Szło mu teraz tylko o to, aby się zbyć Minkiewicza, a coby się przytém oberwało lub zadało, o to niewiele dbał.

Chodził więc, zdrowaśki odmawiając, po izdebce, coraz zawadzając to o tłomok, to o stółek, to oknem wyziérając niespokojny, czy Derengowski nie powraca, gdy zamiast niego wpadł niejaki Godziemba, nieznajomy mu, którego De-

rengowski na drugiego przyjaciela i świadka sobie uprosił.

Był to prosty, poczciwy szlachcic, gruby, duży, niezbyt zgrabny, ale serdeczny, otworzysty, gaduła, który nigdy nikomu ani do wypitéj, ani do wybitój nie odmówił. Zawsze był za cudzą sprawę i dla kogoś zajęty, taką miał naturę; o sobie zapominając, wszystkim służył. Ledwie wszedłszy na próg:

— Niéma Derengowskiego?—spytał.

— Niéma, ja tu właśnie na niego czekam—rzekł Serwuś, wzdychając.

— Czy nie pan Przebendowski?

— Do usług.

— A to mi bardzo miło się poznać, bo ja panu bratu stoję dziś do boku, uproszony przez Derengosia.

Zaczęli się ścisnąć serdecznie.

— To wszystko fracha—zawołał zaraz Godziemba, czoło sobie ociérając—ano żebyśmy tylko w kłopot nie wpadli z tym Minkiewiczem.

— Jaki? co?—zapytał Serwacy.

— A bo to, ot przed chwilą — począł Godziemba— przyjaciele Minkiewicza w gospodzie u Szafrana poczęli głośno całą tę historiją opowiadać, jak się to jakiś Przebendowski u Gintowta ujął za honor podskarbiego i ma się za niego bić. W gospodzie trafił się któryś ze dworu Przebendowskiego i poleciał z tém do niego. Mówią że podskarbi chce łamować spotkanie i posłał, żeby Minkiewicza pod areszt wzięto, chcąc go pozywać o injurye i napaść. Odgraża się że go zgnoi na dnie więzy.

— Ale to nie może być!—krzyknął Serwacy—ja podskarbiego przed chwilą spotkałem i o niczym nie wiedział.

— Przed jaką chwilą?—odparł Godziemba— to się stało przed pół godziną, gdy podskarbi od hetmana powracał.

— To niema co robić, tylko corychłój sprawę kończyć, bo Minkiewicz gotów pomyśleć, żem ja go skarżył, aby spotkania unikać i żem się go uląkł—zawołał Serwuś.—Piérogі tylko odkładane dobre, a bigos odgrzewany; kiedy się bić, to bić *stante pede*.

Wtém nadbiegl i Derengowski, który już po drodze dostał języka i o wszystkiém co zaszło wiedział.

— Na konie i na Rosę—zawołał, wchodząc.— Za cmentarzem miejsce postanowione. Minkiewicz już ze swymi pojechać musiał, ruszajmy!

Zwinęli się tedy coprędzej, a że Serwacy konia swojego nie miał, musiano mu dać przyprzążkowego i pożyczaném siodłem kulbaczyć. Wszystkim było pilno. Ażeby oczu nic zwracać na trzech razem jadących, zaraz z bramy się rozjechali na różne ulice, zaułkami dążąc na Rosę. Wszyscy trzej doskonale miasto znali. Serwacy, którego wielce piekło, ażeby za tchórza nie uchodził, konia ścisnąwszy, popędził jak szalony, dwóch bacłurów o mało nie stratował, na jedną furę wpadł, że się ledwie z hołobli wydobył, zaczepiwszy o nie, i naostatek się na Rosę dostał, właśnie gdy Minkiewicz ze swymi nadjeżdżał z drugićj strony. Niebawem téż stawili się zawsze wyelegantowany Derengowski i zdyszany Godziemba, który z twardoustym koniem ledwie sobie dał radę, pysk mu skrwawiwszy, a sobie porznąwszy ręce. Kłął, na czém świat stoi.

Minkiewicz hałasował, odgrazając się. Serwuś milczał, tylko mu już pilno było do końca. Wyzywano go na słowa; ścisnął zęby.

— *Ad rem! ad rem!*—rzekł—do roboty. Co tu językiem mléć?

Już stanąwszy naprzeciw adwersarza, Serwuś, jak to był zawsze człek sumienny, gdy tamten pórzył się i pryskał, zapytał tylko, wedle reguły, czy krzywdy uczynionéj nierozmyślném słowem honorowi podskarbiego nie odwoła i nie deprekuje, jako przy podehmieniu uczynionéj.

— Co u podehmienionego na języku, to utrzewego w myśli—zakrzyczał Minkiewicz.—Pilnuj asińdziéj swego nosa, a zobaczysz jaką ja ci tu uczynię deprekacyą. Zna świat i korona polska, że Minkiewicz nie deprekuje.

Przeżegnawszy się tedy, stanęli przeciw sobie.

— Najśłodszy Jezn, prowadź moję iękę!—zawolał Minkiewicz, naśladowując znane *dictum* kancelistów, które i studenci na swych elukubracjach zapisywać zwykli.

Złożyli się, szable szczęknęły raz, dwa. Minkiewicz, jak osa, to przyskoczy, to uskoczy, a ile razy chce płać, Serwuś mu szablę odbija. Przyjaciele, stanąwszy po bokach, przypatrują się i głowami potrząsają.

Przebendowskiemu twarz mieni się strasznie; zwykle łagodna, robi się zawzięcie dzika. Sapie, nozdrza rozdał, żuje okrutnie, a naciéra zgóry, aż strach. Co machnie szablą, to jakby świsnął. Minkiewicz, choć mniejszy, ale niezmiernie zwinny kręci się ze zręcznością osobliwą, jak w tańcu. Przez długi czas jeden drugiego ani zadrasnął tylko szable trzeszczały.

— A pókiż to tego będzie?—zawołał jeden z przyjaciół Minkiewicza.

Właśnie gdy tych wyrazów domawiał, Serwuś się niepostrzeżenie odsłonił, lewą rękę podniósł, a Minkiewicz go w nią chlasnął, ale tak szpetnie,

że myśleli że mu ją utnie. Kontusz i żupan odleciały. Krew strumieniem bryznęła na śnieg i jednocześnie Serwacy, jakby cięcia nie czuł, zgóry w łeb płałnął Minkiewicza, czapkę mu rozplątał, czerep rozbił i szlachcic, wołając: „Jezus, Marya, Józef!” nawznak na ziemię się powalił.

Skoczyli przyjaciele ratować, boć dyszał, ale głowę miał przerabaną do kości tak, że się zdało iż w miejscu ducha wyzionie. Krew mu płynęła po twarzy, a od impetu uderzenia stracił wnet zmysły i leżał, jak martwy.

Serwacemu Godziemba z Derengowskim cożywiej poczęli rękę, z której krew ciurkiem się lala, zawiązywać chustami, jakie się pogotowiu znalazły.

— Jeżeli masz siłę konia dosiąść, siadaj i zmykaj — szepnął mu Derengowski. — Zdaje się, że z Minkiewicza będzie trup; trzeba uchodzić, póki czas, bo przyjaciele nie darują.

Serwuś tylko tyle, że trochę pobladł, rękę zacisnąc i zawiązać sam jeszcze pomógł, konia popadł, Derengowskiemu i Godziembio dłoń podał i już jechać chciał.

— A dokądże myślisz?

— Ja z miasta uchodzić nie mogę, bo mam tu pilne sprawy, to darmo — rzekł Serwuś — co będzie, to będzie!

— Toż cię złapią.

— A nie! Pojadę do kolegium — szepnął Serwacy. — Ks. Trzeciak mnie przechowa, tam nikt szukać nie śmie.

Lakonicznie tak półsłowami ich zhywszy, choć wiele krwi utracił i rękę miał straszliwie zrabaną, Serwuś z takim chłodem i przytomnością się obracał, jakby mu wcale się nie stało.

Na koń siadł, oponczą się otulił i do miasta pokłusował.

Derengowski, Godziemba i dwaj przyjaciele Minkiewicza krzatali się około niego. Ostatni kłęli okrutnie i ręce łamali, zdawało się bowiem że z rannego chyba już nie będzie. Długo przytomności nie odzyskiwał wcale, lecz znaki życia trwały. Godziemba tylko, *expertus* w tych wypadkach, zajrzawszy do rany, ręką machnął.

— Wylize się — rzekł — mózgu nie widać. Prawda że pamiątkę dostał dobrą, ano szlachcica w łeb bijąc, nigdy się nie zabije. Czerepy twarde, dowiedziona to rzecz. Śmierć nie bierze inaczej, tylko za nogi. A to furda, mosanie!

Pan podskarbi Przebendowski, który w korytarzu pociejowskiego pałacu grubiansko znalazł się ze swym wychowancem, nie był ani złym, ani porywczym do zbytku, ani tak szorstkich obyczajów człowiekiem, jakim się naówczas wydał.

Zdawało mu się tylko, gdy z drobną szlachtą do czynienia miał, że z nią na jej sposób obchodzić się należało, wyrazów nie cukrując i biorąc się całą garścią do ichmościów, tak jak oni: drapieżnic. W salonie podskarbi był ekstra-dystygowany, dobrze wychowany, grzeczny i miły. Tylko z domownikami, na sejmikach ze swymi bliższymi, z zasady się okazywał grubianinem.

Szczególniej zaś dla sieroty tego, swojego wychowanca, był zawsze bardzo surowym, „aby się to nie rozpuściło na dziadowski bicz,” jak powiedział.

W pasyą go też wprawiło, że Serwuś się ośmielił służbę podskarbiny opuścić, nie opowiedziaw-

szy mu się, samowolnie, co, według pojęć ówczesnych, kryminałem było.

— Przecież opiekunem tego błazna—wolał podskarbi—z błota go wyciągnąłem. Żeby nie ja, nędzaby go w kolébce zagryzła. A ten sobie tu fummy stroi i rzuca mi służbę dla fantazyi. Nauczę ja go nosa zadzięrać!

Tak mówił pan Przebendowski, wchodząc na górę do hetmana, ale po odwiedzinach u niego przyszedł jeden z jego dworskich, właśnie w chwili, gdy do karęty miał siadać, i doniósł mu o owym wypadku z Minkiewiczem.

Podskarbi się rozpasyonował bardziej jeszcze, na Minkiewicza swoją drogą, ale i na Serwacego, który ważył się zadzięrać i honoru jego bronić.

— Kiepski, ja mojego honoru sam strzegę!—wolał.

Było mu to nie w smak, że taki cherlak za honor imienia Przebendowskich czuł się w obowiązku stawać. Lecz nim wyjechał na Wileńską ulicę do kwatery, zupełnie ochłonął podskarbi, rozmyślił się i inne mu przyszły sentymenta. Uczuł że Serwus poczeiwie sobie postąpił i jak był powinien.

Posłał tedy, ażeby hamować spotkanie, bodaj Minkiewicza aresztować przyszło, pod jakimkolwiek bądź pozorem, choćby potem za arbitralną sekwestracją wolnego szlachcica miał workiem odpowiadać.

Służba podskarbiego kręciła się, aby spełnić rozkazy jego, gdy w parę godzin później, właśnie wybierającego się na obiad do pana hetmana, zaskoczył pisarz jego podróźny, oznajmując że hamować już było zapóźno, bo—po wszystkiém.

— Minkiewicza ponieśli na noszach do ber-

nardynów prawie bez ducha, z głową haniebnie rozplataną. Niewiadomo czy będzie żył—mówił pisarz--ale i Serwacemu się słyszę dostało, bo rękę ma podobno brzydko plejzerowaną.

— A gdzież ten truteń jest? gdzie się podział ten włóczęga? co się z nim stało?—zawołał niepokojnie podskarbi.—Ja go znam, gdzieś się mruk zaszyje w kąt, wygodę mieć nie będzie i zmarnieje. Gotowa się gangrena przyrzucić. Jak ono jest to jest, a tego bałwana szkoda. Łożyło się na niego dosyć. On sobie sam rady nie da na żaden sposób.

Pisarz oznajmił, że nigdzie się dowiedzieć nie mogli, co się z Serwusiem stało, i że choć dużo krwi utracił, ledwie się obwiązawszy, na konia siadł i zniknął gdzieś.

— To z nimi zawsze tak: harda dusza w ubo-giem ciele—rzekł podskarbi.—Żebyście mi go z pod ziemi dobyli, a znaleźli. Przywieźć go tu i po felczera posłać, żeby wygodę i opatrzenie miał. Jużci choć niepotrzebnie, ale się za mój honor ujmował.

Wydawszy terozkazy, wzburzony mocno, podskarbi ruszył naprzód do pana hetmana na obiad. Tu nie mógł w sobie powstrzymać rankoru do Minkiewicza i pozornego gniewu na Serwacego, całą awanturę opowiadając przy stole.

Słuchała jój hetmanowa ciekawie, poczęła się o wychowanka tego dopytywać, ale go z sekretu wydawać z czém przybył nie chciała, choć jój okrutnie język świerzbiał. Śmiała się tylko, a śmiała.

Zaraz od stołu wyrwała się do swój powiernicy, panay Rozalii, z tą nowiną, nakazując jój, aby przecz kogo ze znajomych wywiedziała się koniecznie o Serwusia, a, jeśliby doktora, po-

mocy lub opieki potrzebował, aby jęj dała znać.

Podobało jęj się to, że tak zamaszysto się rąbał, bo rębaczów lubiła. Panna Rozalia bez ceremonii własną swą osobą zeszła nadół do kancelaryi, bo wojskowi, kanceliści, pan Puciata i wogóle mężczyźni wcale jęj nie kłopotali. Z wojskowymi była w komitywie jaknajlepszęj, a niejeden z nich, co się umiał zalecać, fortrag jęj swój był winien. Stara panna lubiła młodzię i śmiało z nią postępowała, idąc w ślady hetmanowęj.

Puciatę znalazłszy zatopionego w jakimś ordynansie, opowiedziała mu co zaszło, kazała papiéry porzucić i natychmiast Przebendowskiego szukać. Posłuszny garbus pióro cisnął, pannę Rozalią w rękę pocałował ogniście, za czapkę chwycił i puścił się na miasto.

Ale dobrze to było powiedzieć hetmanowęj: „szukać mi Przebendowskiego.“ Gdzie? Wiatru w polu?

Puciata, człek bystry, zmiarkował jednak, że bezmała zabiwszy Minkiewicza, gdzieś się musiał dobrze zaszyć Serwacy, a gdzieżby lepiej, jak w kolegium? Tknęło go że się tam pcwnie o niego dopyta—był to jakiś instynkt szczęśliwy.

Wprost więc pobiegł Puciata do jezuitów, a tym samym instynktem znowu nie udał się do nikogo innego, tylko do ks. Trzeciaka.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—zawołał, wpadając do celi obcesowo.—Oj-czulku mój, czy czasem nie macie tu rannego Przebendowskiego?

— No, albo co?—spytał stary.

— Płatnięty słyszę szpetnie, a jego adwersarza na śmierć bernardyni dysponowali, bo uogo-

rywa—rzekł Puciata.—Serwusiem interesuje się nasza pani hetmanowa; chcą go ratować. Może mu czego potrzeba? Myśmy z nim szkolni towarzysze, więc mnie też obchodzi nieborak.

Namysliwszy się, ks. Trzeciak miał właśnie odpowiedzieć, gdy i pisarz podskarbiego także jakimś przecuciem tu trafił i wpadł, dopytując o Serwacego.

Widząc że obaj nie w złej myśli przychodzą, ks. Trzeciak nie widział potrzeby tać pobytu rannego w klasztorze.

— No jest, jest u nas — rzekł zcicha—ale przybywszy tu, choć chłop silny, z utraty krwi omdlał. Tu go opatrzoneo i teraz odpoczywa. Kość ma w ręku cokolwiek nadwerżoną. Pewnie na noc gorączka przyjdzie, to lepij żebyście go w spokoju zostawili.

Pisarz posłuchał rady, kontent że się dowiedział co się z Serwacym stało, a Puciata, nie dając się odprawić, poszedł do celi. Tu braciшек z infirmaryi siedział, dozorując chorego, który leżał wprawdzie, ale się niespokojnie rzucał, dowodząc ciągle że jutro musi, choć z ręką zawiązaną, wstać, a pojutrze jechać.

O tém zaś ani było można myśleć. Zobaczywszy przybywającego Puciatę, i zniemiał się Serwacy i uradował.

— Jużes się ty o mnie dopytał?—zawołał.

— Nosem doszedłem—rzekł, śmiejąc, się garbus.—Anim wiedział, anim pytał; tknęło mnie coś, gdy się dowiedział o pojedynku.

— A zkadżes się o nim mógł tak rychło dowiedzieć?

— Ba, całe już miasto wie o nim, jak w bęben biją. Na obiedzie u hetmana, gdzie i pod-

skarbi był, tylko o tym nieszczęśliwym Minkiewiczu i o tobie gadano.

Serwacemu niemiłém było, że go już tak na języki wzięto. Westchnął i zmilczał. Lecz że braciszek mu ani myśleć o tém dozwalał, aby jutro mógł ruszyć, zwłaszcza że gorączki się napewno spodziéwano, rad był Serwuś, że przez Puciatę pannie Rozalii oznajmi, aby hetmanową przeprosiła, że się w terminie nie będzie mógł stawić, zarazem upewniając, że byle na nogi się zerwał, natychmiast przybędzie po list.

Dopytywał też o Minkiewicza, ale o tym nic wiedział więcéj Puciata nad to, że koło niego bardzo było kręto.

Znalazwszy opiekunów aż do zbytku, uspokoił się nieco ranny, uprosiwszy tylko Puciatę, aby się o losie Minkiewicza dowiedział. Czuł się bowiem w obowiązku, w razie śmierci jego, dać na msze żałobne i modlić się za duszę.

Choć braciszek z infirmaryi przeciwnym był męczeniu chorego rozinową i zalecał spoczynek, Puciata się zagadał i zasiedział.

Wtém na korytarzu rumor posłyszeli, chód jakiś szybki, szastanie nogami, drzwi celi się otwarły i podskarbi *in persona* do izdebki się wtoczył.

Staął naprzeciw łózka rannego, który, zobaczywszy go, podnieść się usiłował, i począł:

— Otóż masz, na coś zarobił! A co? płatnęli cię niezgorzój? poczęstowałeś téż? A poco było z pijanym zadziérać? Poco? naco? doczego? Czy to honorowi Przebendowskich makułę czyni, że jakiś szerepetka na nich za oczy pluje? He? Otóż masz!—powtarzał podskarbi, wpatrując się w Serwusia—zawsze pstro w głowie!

Mówił niby z wyrzutem, ale coraz łagodniéj,

i, zbliżywszy się do łóżka, na którym leżał z ręką obwiązaną Serwacy, dłoń ku niemu wyciągnął. Chłopak go w rękę pocałował. Stary miał jakby łzę w oczach.

— Zawsze mówiłem—dodał—że z ciebie ani na dworze pociechy nikt nie będzie miał, ani w żadnej służbie. Jójmość miała słusność że ci abszyt dała; teraz nie pozostaje ci, tylko na zagou szlachecki pójść i koło roli gdzie w zaścianku Pana Boga chwalić. A no tak. I żebyś mi wstydu nie robił, nie tulał się, nie wiercił, kazałem ci Gierdzieliszki dożywotnio wypuścić. Jak się, da Bóg, wyliżesz, ruszaj tam i pracuj; przynajmniej ja i podskarbina w ten sposób się pozbędziemy waszeci. Gierdzieliszki folwarczek mały, piętnastu chłopów, ale wszyscy sprzężajni, a gdybyś rozum miał, z głodu na nich nie umrzesz.

Podskarbi w ten sposób dobrodziejstwo ubrawszy niby za karę, uśmiechnął się.

— Jużes, panie mój miłościwy — odezwał się Serwuś wzruszony—aż nadto wiele dla sięroty uczynił. Nie umiałem i nie potrafię zawdzięczyć tego nigdy. Naco mnie Gierdzieliszki?

— Naco? nie bądź-że kpcem i kiedy ci dają, to bierz—odezwał się podskarbi, już zabiérając do wyjścia.—Ja tam więcéj twojego majaezenia słuchać nie chcę. Jutro jadę do domu, da się dyspozycją, aby ci dożywocie zaraz zdano i ziarno na posiew wiosenny. A inwentarz, jaki jest, zostanie. Wyliż mi się tylko prędko, bo cię tam włodarze na bezpańskim okradną. Bywaj waszeć zdrów!

Wstał podskarbi prędko, ani już patrząc na Serwusia, braciszka pozdrowił i na górę poszedł, ks. rektora odwiedzić. Serwuś był tak wzruszo-

ny, że mówić nie mógł. Nie chciało mu się wierzyć uszom własnym.

Wrażenia tego dnia, niepokój, niepewność co ze sobą dalej ma poczynąć, powiększyły w nocy gorączkę, która się wywiązała tak silna, iż do rana musieli go aż dwaj braciszkwowie pilnować, bo i majaczył, i rzucał się i zrywał ciągle, chcąc uchodzić to do Drezna, to do hetmanowój, to do Gierdzieliszek.

Stan ten trwał aż do trzeciego dnia, poczem nastąpiło osłabienie wielkie, ale rana się nad spodziewanie wszelkie szybko goić i zamykać poczyniała.

Gdy tylko mógł wstać Serwacy, utrzymać go nie było podobna. Do owych Gierdzieliszek mu nie tak pilno było, jak do Drezna, dokąd conajśpieszniej z listem powracać musiał. Derengowskiemu więc zleciwszy, aby go w folwarku zastąpił i jaki taki ład tam zaprowadził, Serwuś z ręką na temblaku, trochę zbladły, ale do sił powracający, pierwszy krok zrobił do pani hetmanowój. Tu już przez Puciatę o nim wiedziano i spodziewano się jego przybycia. Pocielowój podobało się rycerskie znalezienie się niepoczesnego człeka: nabrał w oczach jój ceny.

Gdy się zjawił u panny Rozalii, i ta przyjęła go miliej niż wprzód, natychmiast obiecując audyencyą. I tym razem u pani hetmanowój goście byli, a raczej suplikanci, dwóch młodych ichmościów za fortragami, a że z młodzieżą Pocielową pośmiać się lubiła, przezedrzwia dochodziły wesołe jój i głośnie wykrzykiwania.

Wkrótce dwaj ichmość, rodzeni bracia Ostromłoccy, z ukłonami niskimi, wypuszczeni zostali z pokoju i odeszli uradowani. Jeden z nich nawet, przystojniejszy, miał nadzieję przy panu

hetmanie pozostać do jego boku. Wpuszczono po nich Serwusia, a Pociějowa, zobaczywszy go z ręką na temblaku, zmizerowanego, z uśmiechem podeszła ku niemu.

— Cóż się acanowi w Wilnie nie poszczęściło—odezwiała się.—Zostałeś plejzerowany, choć wojny jeszcze nie mamy.

— E! to tam nie!—mruknął Serwacy.

— A cóż z sobą zrobisz? Słyszałam że podskarbi wioseczynę acanu puścił dożywociem.

Przebendowski głowę na piersi spuścił, jakby go to zawstydziło.

— Ja jutrobym chciał do Drezna powracac—rzekł—co tam pani podskarbina o mnie pomyśli. O listbym już prosił, bo i chwili tracić nie mogę.

— Jeszcze acan na sam koniec karnawału trafisz do Drezna—śmiejąc się, przerwała Pociějowa.—Niéma zresztą nic tak pilnego. Feldmarszałek niech sobie z głowy wybije, żeby nas znowu wpędził w matnię. To darmo. Mówiłam już acanu, że ani Sieniawska, ani ja na to nie pozwolimy, aby nam Sasi na karki wsiedli. Wiemy co się tam u nich dzieje ze szlachtą saską, którą dawno na lokajów przerobiono, a do spraw królestwa samych cudzoziemców biorą. My lokajami nieczyinni nie chcemy być i nie będziemy. A coś mi się też zdaje—dodała hetmanowa—że znaczenie i fawory Fleminga u króla słabnąć zaczynają. Tylko co nie widać, jak się przewróci i dobra mu skonfiskują, jak kanclerzowi. Vitzthumowa z Watzdorfem go dojadą; baba sprytna. Powieǳ-że acan pani podskarbinie, niech sobie z głowy wybije salwowanie rzeczypospolitój; my się sami salwować będziemy, bez ich opieki. Ze szlachtą niéma co żartować. Jest jój kupa, a od

tarnogrodzkiej rogi jej urosły. Ani Sieniawski, ani mój mąż życiaby nie byli pewni, gdyby się na gwałt przeciwko prawom odwiecznym zaniośło. Partya dworska może napozór być silną, ale gdy szlachta przeciwko niej stanie oko w oko, zaprzc się Sasów i Fleminga, a ze strachu pójdzie za swoimi. Dosyć na to będzie znowu jednego Wielogłowskiego, co się gdzie wyrwie z ciemnej dziury i krzyknie: Zdrajcy! Na szablach rozniosą. Rozumiész acan?—zakończyła hetmanowa, na stoliku listu już gotowego szukając.

Serwuś dał głową znak, iż zlecenie zrozumiał. Listu mu jednak nie dając jeszcze, trzymała go pani Pocijowa u progu, przechadzając się po pokoju i psa faworyta drażniąc.

— Co ja tu acanu mówię—dodała—toż samobys posłyszał od pani Sieniawskiej, która też nie ma zwyczaju w bawelnę obwijać, co myśli. Hetmanowie do całej i pełnej władzy swojej dawniej muszą powrócić, a Flemingowi skrypta z gardła wydrzemy. Musi je oddać, inaczć żaden sejm nie dojdzie.

Zakreśliła się na korku wysokim rezolutnie bardzo pani Pocijowa i mruczała jeszcze, nie mogąc się wygadać:

— Dystrybutę hybernową, którą nam odjęli, muszą oddać. Śmiech rzec, coby się z hetmanami stało, gdyby i tej władzy nie mieli. Wojsko się skarży, bo mu i gospodne, i trzydniówki, i barankowe, i wszystkie dawne przywileje wzięto, że się żoldem i raz nazawsze postanowioną hyberną kontentować muszą. To się musi odmienić; mów im to acan wszystko.

Hetmanowa, która lepiej może od męża wtajemniczoną była w sprawy wojskowe, dawszy do-

wód że się niemi czynnie zajmowała, nie ograniczyła się temi kilka słowy i poczęła dalsze żale rozwodzić.

— Szlachta na hetmanach psy wiesza za pozwijanie chorągwi, regimentów pieszych i dragonskich (mówiła, unosząc się), a to sprawa nie nasza, tylko saskiej intrygi. Z rajtaryą, którą skasowano, nie daj Boże się teraz spotykać, albo z oficerami, którym dawniej jak pancernym zasługi i hybernny płacono, a teraz się tułają, bodaj do Turków zmuszeni iść służby szukać. Albo też tego, myślicie, nie rozumieją ludzie, że król swojemi infanteryami poosadzał Elbląg, Malborg, Toruń, Poznań i Kamieniec? Tylko co nie wiadać, jak na dany znak Mier i Kraków opanuje. Wszystko to biskup kujawski u starego niedołęgi Sieniawskiego wydurzył; ale się nam babom przecież oczy otworzyły. Dalej nie puścimy. Co się złe zrobiło, to się odrobić musi. Musi! słyszysz acan? musi!—powtórzyła z naciskiem Pocijowa.— Na przyszłym sejmie albo hetmanom władzę oddadzą, albo posłuchacie, jaka burza i konflagracja nastąpi.

Coraz to żywiej mówiąc, pani Pocijowa spoglądała na Serwusia zboku, pilnując i badając, jakie to na nim czyni wrażenie. Szło jej o to widocznie, aby mocne postanowienie obu hetmanów zwiastował podskarbinie i Flemingowi.

Wytrzymawszy go tak dosyć długo na stojące podczerwiani, przystąpiła wreszcie z listem wręczyć do niego.

— Niechże acana Bóg szczęśliwie prowadził— rzekła naostatku.— Dobrze mu życząc, nie mogę inaczej pożegnać, jak tą radą, abyś acan Niemkę do kaduka porzucił i do wioszczyny, którą ci

dał podskarbi, jechał, gospodarował i ze szlach-
tą, a nie z Sasami trzymał.

Nie umiając odpowiedzieć na to, Serwuś coraz to głowę schylał, to podnosił; wreszcie ukłonem niskim pożegnawszy panią hetmanową, która mu się ciągle przypatrywała z podrażnioną ciekawością, zwolna się za próg wysunął.

Wychodził już, gdy, śmiejąc się, rzuciła za nim pani Pocijowa:

— Reduty acan u mnie nie widziałeś, a szkoda! Móglbyś im powiedzieć w Dreźnie, że nasza i królewskim nie ustąpi. Bywaj zdrów!

Drzwi się nareszcie zamknęły, Serwuś pozdrowił pannę Rozalią i zszedł nadół do Puciaty, aby się i z nim pożegnać. Znalazł go znowu na konferencyi z wojskowymi, których było pełno, a że z pierwszych słów wyrzeczonych przytomne rycerstwo dowiedziało się, że jechał z Drezna i do niego powracał, wzięto go więc za regalistę, za Sasa i strasznie nań koso i groźno spoziierać zaczęto. Z wejrzeń i rzucanych słów mógł się przekonać najlepiej, do jak wysokiego stopnia nienawiść przeciw Flemingowi i nieufność względem dworu w wojsku była posuniętą.

Ten i ów bryzgnął mu dwuznaczném słowem w oczy, za które Serwuś się gniewać nie chciał, mimo uszu je puszczając. Jednakże, unikając tych przymówek i ostrych wejrzeń, jakie nań rzucano, chciał się już wynosić, gdy Puciata wziął go na stronę do swój ciupki.

— A no, nie zapomnij-że— rzekł mu, śmiejąc się—do woźnego Mazura pójść z pożegnaniem, boć przecie pannie Domicelli, za jój lzy, które dla wasci wylała, gdy się o ranie dowiedziała, winieś rekompensatę.

Rzucił się aż Serwuś.

— Co ty pleciesz? gdzie, jaka panna? Łzy! za mną! Co tobie?—zabelkotał. — Sfiksowałeś, czy co?

— Patrzaj go, niewiniątko! — rozśmiał się garbus. — Udajesz że nie nie wiesz, a dziewczynę rozkochaleś.

— Nie drwij-że ty ze mnie—odpowiedział poważnie i nicmal groźnie Serwacy. — Ja o niczem nie wiem, jak zbawienia pragnę!

— Ale ludzie o tém wiedzą — ciągnął Puciaty. — Mówił mi Derengowski, że gdy po twoje węzłki do woźnego się zgłosił, Domicelka, wydając mu je, od płaczu się zachodziła.

— A daj ty mi pokój! — zawołał oburzony Przebendowski—ani ona mnie, ani ja jój w głowie.

Tymczasem, choć Serwus się zapięrał, święta prawda była, że panna Domicella, córka woźnego, prawie od dziecka Przebendowskiemu znana, co w tym domu jakby w rodzicielskim był przyjmowany, miała dlań przywiązanie, które się teraz łzami zdradziło.

Serwus był z nią, jak z siostrą; szacował wielce pocziwą, dobrą, łagodną Domcię, która, choć młoda i ładna, za piękność uchodzić nie mogła; ale mu w głowie nie powstało, żeby się ona do niego miała tak przywiązać.

Miał się zawsze za jednego z tych biednych wydziedziczonych, którzy dla powierzchowności samej serca kbiécego pozyskać nie mogą. Zrezygnowany na ten los, nigdy się żenić ani myślał. Tknęło go to mocno, że Domcia nad nim, litując się, płakała.

Wyszedłszy od Puciaty, zadumał się nad tém. Myślał i myślał, zdawało mu się niepodobienstwem, ażeby to prawdą być mogło; a gdy-

by nawet istotnie łązy się polaly, przypisywał to litości i dobremu sercu dziewczyny.

Potrzeba jednak było starego woźnego pożegnać, za gościnę mu dziękować, choć krótkotrwała. Stary ów miał na Zarzéczu dominę, żył skromnie: ale fama o nim chodziła, że człowiek był bardzo dostatni i, choć tak do prostego życia nawykł, Domcia jedynaczka miała starających się wielu, rodzicom się dotąd od małżeństwa wypraszać.

Idąc za Zarzécze, pomyślał Serwuś że nie od rzeczyby było może gościńca jakiego zanieść panie tak dobrego serca. Wstąpił po drodze do Żyda jubilera, a że pieniędzy wiele nie miał, kupił skromny łańcuszek mały, bo go na nic droższego nie stało. Bądźcobądź, samo to przypuszczenie iż ktoś był na świecie, co mu dobrze życzył, obudzało wdzięczność serdeczną. Nie chciał tylko sobie cugli popuszczać i mocniej się do Domci przywiązywać, bo wiedział że się to na nic nie zdało.

Właśnie stary Jeremi z żoną i córką do wczesnego obiadu miał siadać i flaszeczkę gorzałki trzymał w ręku, dla zalania robaka, gdy się gość niespodziany zjawił. Z wielkim okrzykiem wybiegła naprzeciw niemu panna Domicella, zarumieniona, a zobaczywszy rękę na chustce jeszcze wiszącą, piasnęła w pulchnedłonie.

— Pan Serwacy! pan Serwacy! — poczęła wołać do rodziców.

— A to niech Bogu będą dzięki — odezwał się stary Jeremi, ogromny mężczyzna posiwiał, z nawisłemi brwiami i głosem donośnym, który mu po wokandach w spadku pozostał. — Bywaj asindziej, bywaj! W samą porę! Niech Dom-

cia taléřz jeden doda więcéj; musisz obiad z nami zjeść, jaki Bóg dał, to nic nie pomoże.

Serwuś już w sionce nadzwyczaj czule pannę Domicellę pocałował w rękę. Dziewczę miało łzy w oczach.

Wyszła naprzeciw niego i stara pani, którą, choć siwą jak on, mąż dotąd swoją Kaśką nazywał. Wszyscy gościa otoczyli kołem, radując mu się z prostotą ludzi szczérych i nieumiejących klamać, ani kryć, co czuli.

— Bodaj cię, bodaj, panie Serwacy—począł woźny, nie puszczając z rąk flaszeczki.—Cośmy się tu o was nakłopotali! Minkiewicz słyszę żyw, ale mu się w głowie pomieszało, czy coś! Po co to było z nim zadziérać? Oj ta młodość, ta młodość!

— A ty to innym byleś za młodu? — wtrąciła siwa Kasia.—Żeby nie to, że się na urząd dostałś, gdzie już trzeba było statkować, ho! ho!

Domcia wśród tej rozmowy robiła miejsce dla gościa, ustawiała talérze, coraz to z pod oka spoglądając na pana Serwacego, który téż nie mógł się wstrzymać, żeby ku niej nie polatywać oczyma.

Nawykły był do niewiast wcale innych z wielkiego świata, lub z tego co się starał niezgrabnie ów wielki naśladować. Wyjąwszy panią podskarbinę, którą wenerował, i panią Spieglową, nad którą miał politowanie, wszystko, co podówczas w Dreźnie na widoku było, najswywołniejszego życia nie kryło. Przykład płynął zgóry i dociskał się do najniższych warstw społeczeństwa. Budziło to wstręt i odrazę w panu Serwacym.

Te ładne uśmiechy, ufarbowane lica, zaloty powszechne a płochę, przeniewierstwa nieustanne, zniechęcały go do kobiet wogóle.

Brakło tym wszystkim zepsutym niemal od kolébki kobietom, wprawionym do zalotów w dzieciństwie, prostoty i szczérości. Wszystko to kłamało usta, oczami, milczeniem i mową, na każdym kroku coś udając, naśladowując kogoś, a nie będąc sobą.

Serwuś może sobie nie umiał wytłumaczyć przyczyn odrazy i wstrętu swego do tych komediantek, ale czuł je w sercu. Ta prostoduszna Domcia, która była sobie, czém ją Bóg stworzył, która się rumieniła naprawdę, śmiała i płakała szczerze, wydawała mu się nową jakąś, nieznaną istotą, przynajmniej tak weneracyi godną, jak pani podskarbina.

Dodajmy przytém, że dziewczę było hoże, świeże, rumiane, miało ząbki jak perelki białe, włosy swoje własne óbfite i złociste, a oczy niebieskie jak bławatki—i że Serwuś czuł w niej przyjazną sobie istotę.

Rzucone słówko o łzach ujęło go za serce.

— A cóśmy się naturbowali o was!—odezwał się woźny.—Bogu to jednemu wiadomo. Ja jak ja, pewny byłem że się wyliziesz, ale jójmość co się następkała, a co było zdrowasiek na tę intencyą! Domcia to aż na nabożenstwo chodziła!

Splonęło dziewczę, ale się nie zaparło. Spojrzało na Serwacego, jakby potwierdzało owszem słowa ojca... i spuściło oczy.

Siedli tedy do stołu, wcale nieprzygotowanego do gości. Woźny nawet nie przeproszał. Był barszcz zabielały, kawał mięsa, kasza ze śliwkami, a Domcia naprędce skomponowała jakąś przystawkę. Znalazł się i wina kieliszek, bo woźny do niego z trybunalskich czasów swych był nawykły. Z Domką rozmawiając oczyma, Przebendowski z panem Jeremim mówić musiał

publicznych sprawach, bo starego one niepomniernie obchodziły.

— Panu Bogu mojemu codzień dziękuję—mówił—żem się z tego pickła wyrwał, co je trybunałem na urągowisko ludzie zowią, rad będąc, żem tam sumienia nie posadził. Oj będzie sędzia przedwiczny tych sędziów doczesnych sądził niełitościwie. Com się to ja napatrzył i nasłuchał prepotencyj! Trybunał radziwiłłowski: biorą w skórę Massalscy i Oginscy; trybunał sapieżyński: tłuką Radziwiłłów. Zła czy dobra sprawa, wszystko jedno. Z wojewodą, z hetmanem, z senatorem zadrzeć szlachcicowi, choćby najlepszą miał sprawę, to znaczy na śmierć się dysponować. Z Sieniawskim kto się powaśnił, poszedł z torbami. Świniarskiemu deputatowi w Piotrkowie, że śmiał dekret przeciw niej feroować, pani hetmanowa Sieniawska powiedzićć kazała, żeby pamiętał na to, iż w Kamieńcu są ciemne więzienia. Kasztelanową kijowską Kossakowską, gdy się z nim proccsować poczęła, najechał hetman w kilkanaście chorągwi i zniszczył całkowicie. Ano tego nie policzyć. Myślą że i nasz terazniejszy Pociąg nie byłby lepszy, żeby kto jejmości na palce nastąpił, bo obaj panowie hetmanowie w spódnicach chodzą.

Siwa pani Kaśka, widząc że stary wpadł na drażliwy przedmiot, którego raz dotknąwszy, z trudnością się mógł powstrzymać, ciągle się go mitygować starała.

— Dałbyś-bo już pokój, dałbyś pokój!—wołała, a stary prawil swoje.

— Co mam pokój dać?—ciągnął dalej.— Albo to pan Serwacy tego nie zna i nie widzi? Wszystkiego tego zła nam Sasi nanieśli. Krai zniszczyli ze szczętem, to mnicjsza; co spaśli, to odrośnie;

ale ludzi popsowali tak, że czystego człowieka ze świecą szukać, a nim co dobrego wyrośnie, czekać trza długo. Pognój z nich zły zostanie. Wszyscy pomazani przekupstwem; kto nie wziął pieniędzy, dostał urząd, starostwo, albo inną łaskę pańską. Ludziska się nauczyli nie na pracę pocziwą, ale na jałmużnę szpetną oglądać. Ot co! ot co!—prawił woźny.

— Dałbyś pokój—powtarzała żona. — Panu Serwacemu przykro może słuchać, kiedy z tymi Sasami musi żyć.

Serwuś drgnął i odwrócił się szparko.

— Uchowaj Boże, dobrodziejko moja—zawołał—Właśnie że się ich napatrzyłem zbliżka, więc tak o nich trzymam, jak pan Jeremi. Daj tylko Boże, aby wszystka szlachta podobnie myślała.

— Otóż—rzekł woźny—nauczyła nas wiele i olkienicka i tarnogrodzka sprawa. Pójdą-li panowie hetmanowie z Flemingiem i z Sasem, to życia niepewni, tak wszystko wre.

— Kochany generale (tak naówczas woźnych nazywano)—począł Serwacy. —Z waszój izby nie wyjdzie, co my tu gadamy, śmiało więc inogę usta otworzyć. Prawda że panowie nasi źli, że siedzą w garsei tych co im płacą, a nie po Bożemu żyją, ano i nasza pocziwa szlachta, gdy jój téż dadzą, tak bierze, jak i oni. Bięda jest, bo do gruntu przegniło wszystko.

— Jako żywo!—oburzył się woźny—jako żywo! Ja asindziejowi powiadam prawdę, bom się i szlachty i panów dosyć napatrzył. Między panami Wiśniowieckiego szukać i znaleźć trudno, a między szlachtą po zaściankach, gdzie zaraza nie doszła, pocziwych jeszcze moc, co się Boga boją. Ino jedna bięda, że pocziwi głupi są, a łajdactwo mądre.

— Porzuciłbyś to, stary! — ofuknęła stara Kaska. Ale się rozgała.

— Jak Boga ukrzyżowanego miłuję, bodajem jutra nie dożył — potwierdził zapalczywie stary — co mówię, święta prawda jest. Poczciwości ludzie, za prawo i za kraj daliby się posiekać, ano w głowach ciemno i nie wiedzą dokąd iść. Więc po radę, dokąd? do pana senatora z antenatów, protektora, dobrodziejca, fautora, opiekuna; a pan senator, szlachtę nakarmiwszy i spoiwszy, tam nią postępuje, kędy jemu potrzeba, aby króla nastiaszyć i utargować co na nim, albo mu się przy-pochlebić i dostać *panem bene merentium*.

— Prawda — dodał Serwus z westchnieniem — dlategośmy nieszczęśliwi; ale jakaż na to rada?

Woźny westchnął też sobie. bo rady nie znał na to i zakonkludował pobożnie:

— W miłosierdziu Bożém nadzieja. *Spes unica Deus*.

Smutne te narzekania skończyły się wreszcie, albo raczej przerwały na chwilę. Pan Jeremi nalał kieliszek i pił zdrowie gościa, aby mu się w drodze dobrze wiodło.

— Jedź asindziej — rzekła jójmość — kiedy już inaczej nie może być, ale powracaj do swoich Gierdzieliszek, które ci, słyszę, pusił podskarbi. Ot taki człek, co świata dużo widział, przyda się nam wszystkim; widzieliście go dość, a powzięliście awcrsyą do niego. To i dobrzel

— Dalipan — przerwał woźny, śmiejąc się — a to przez jójmość duch święty przemówił, czy co, choć się On przez usta niewiast nie zwykł objawiać. Ślicznieś jójmość rzekła: powinieneś asindziej do Gierdzieliszek wracać, osiąść, jak Pan Bóg przykazał, na zagonie, ano i towarzyszkę sobie przybrać.

Serwus się szarpnął niespokojnie.

— Mój dobrodzieju!—zawołał—żebym ja się miał żenić, a to dopióro!

— A toż czemu?—odezwał się woźny.—Ślubu przecież *castitatis* nie uczyniłeś?

— A którażby takiego niezgrabnego jak ja i ubogiego drągala chciała?—odezwał się, śmiejąc smutnie, Serwacy—chybaby oczów nie miała.

— Porzuc-że to asan!—zkolei zawołała stara Kasia.—Proszę ja kogo! Czegoż ci braknie?

— Wszyscy mnie wyśmiewają, żem do Boskiego stworzenia niepodobny — rzekł wesoło Serwus.—Toć prawda być musi.

Pannie Domicelli, która się mocno zarumieniła, wyrwało się mimowoli:

— Ale gdzie tam!

Dopióro wyrzekłszy te nieopatrzone słowa, zawstydzila się mocno.

— Widzisz—dodał woźny—już nawet Domcia protestuje, a dziewczęta się na tém znają.

— Poczęto się śmiać. Nieśmiałym wzrokiem podziękował Serwus. Panna się zarumieniła z razu jak wiśnia, zakryła twarz i od stołu pierzchnęła.

Rodzice spojrzeli po sobie; panu Serwacemu zrobiło się aż gorąco. Uczucie, którego doznał, do głębi go wzruszyło. Zdawało mu się jakby się dopióro na świat narodził, tak mu jakoś wesoło i dobrze było.

Daléj już rozmowa o tém nie przeciągnęła się. Woźny zagadywał o drogę do Drezna, a jejmość czyniła tę uwagę, że z ręką na chustce, niedogojoną, zimową porą puszczać się w podróż niedobrze było.

— Moja dobrodziejko—westchnął Serwus—służba gorzej niewoli. Jak trzeba i musi, czło-

wiek wytrzyma wszystko. Co robić? A i to przed państwem wyznać muszę, że podskarbina, której służę, pani dostojna i słuszna, nie tak jak inne niewiasty; więc gdy się przyrzekło stawić, honor każe słowa dotrzymać.

— Niéma co i mówić—poparł woźny.—Słowo się rzekło; *debet esse sacrosanctum*.

— Tyle tylko, że com miał konno jechać—dodał Serwacy—muszę wozem albo saniami, bo na koniu o jednej ręce człowiekby sobie rady nie dał.

Na tę mowę powróciła i panna Domicella, ochłonawszy i zajmując się pilno czémś około stolika. Weszła pocichu, nieznacznie, blada, na pozór spokojna i przysłuchiwała się tylko, spojrzeć na Przebendowskiego nie śmiejąc.

Czas się było pożegnać, choć znowu woźny *de publicis* zagadywał.

Serwusiowi się nie wiodło jakoś z przyniesionym łańcuszkiem; dobył go nieśmiało i trzymał, zawinięty w papierku.

— Mój dobrodzieju —długo pożuwszy, odezwał się nareszcie do gospodarza—znacie szlacheckie obyczaje. W domu przyjacielskim jakiś czas przebywszy, chciałoby się na odjezdnem choć ubogą pamiąteczkę zostawić po sobie. Niechże i mnie wolno będzie, a za złe niewzięte, gdy malutki gościńczyk pannie Domicelli zostawię, za wiadomością i pozwoleniem rodzicielskim.

— Ale co znowu? zaco? poco?—ofuknął stary—a to do czego?

— Choćby zato, że mi jój niewinne modlitwy u majestatu Pańskiego pomogły pewniej, niż cé-rulicy i doktorowie—dodał Serwacy.—Rzecz licha i mało warta, jak ja, ale z serca dobrego.

To mówiąc, drżącemi palcami rozwinął łańcuszek i podał go dziewczynie poblaskłej, która na rodziców patrzyła niespokojna, a w oczach łzy miała radosne.

Rodzice nic nie powiedzieli i nie oponowali więcej. Podał więc podarunek swój i w rękę pocałował, a gdy ją brał, uczuł że mu dłoń ścisnęła Domcia, i zrobiło mu się dziwnie straszno, gorąco i niespokojnie.

Oboje starzy byli jakby skonfundowani trochę, lecz zarazem radzi. Jeremi nalał jeszcze kieliszek, upominając się, aby i Domcia choć parę kropel za szczęśliwą podróż i powrót gościa wypijała. Protestowała matka za nią, że do wina nie nawykła; dziewczę jednak, milcząc, z rąk ojca wzięło kieliszek, spojrzało w oczy Serwusiowi i wychyliło co w nim było rezolutnie, do kropli.

Przebendowski, wychodząc, tak był jakoś rozmarzony, że ledwie drogę przez Zarzeczce znalazł, choć w Wilnie, od Bekieszówki począwszy do Zakretu, wszystkie kąty znał jak swą kieszeń. Ano mu się po tém winie w oczach zmąciło.

Podróży do Drezna opisywać nie będziemy; była ona utrapień pełną, ciężką i niewygodną wielce, a choć ręki ranionój starał się Serwacy oszczędzać, nabrzękła mu i rana się zaogniła. Nie zważając na to, pośpieszał dniem i nocą, mimo zamieci i mrozów, aż się w ostatku dobił do Budziszyna, gdzie czując się gorzej i obawiając obledz nagwałt już, z gorączką straszną, na sankach najętych leżąc, bezprzytomny stanął przed pałacem Fleminga.

Wieczór był i właśnie się wszyscy na redutę, jedną z ostatnich, gotowali.

Powozy stały pozaprzęgane: ludzie konni z pochodniami przed niemi. Gdy sanie się zatoczyły do drzwi pałacu, a Serwacy o swęj mocy ruszyć się nie mógł i nieprzytomny leżał na sianie, Wend, który go przywiózł, służbie oznajmił, że jakiegoś chorego na saniach miał, opowiadającego się dworzaninem feldmarszałka.

Przybiegli ludzie do sani, a poznawszy Przebendowskiego, który majaczył i w sianie leżeć się upierał, niemal gwałtem zabrali go i zanieśli na górę.

Wpadła jedna z pánien służących podskarbiny do pokoju, w którym w dominie, z maseczką w ręku, Przebendowska przeglądała się w zwierciadle, oczekując na Spiegłową, i poczęła, ręce łamiąc, z kobięcą szczebiotliwością opowiadać, że rannego i nieprzytomnego Serwusia chłop u drzwi wyrzucił, że się z niego słowa nie można było dopytać i że jakieś nieszczęście go spotkać musiało.

Litościwa pani najprzód sama, jak stała, pobięła się przekonać, co w tém prawdy było. Serwusia tylko co w ciepłej izbie na łóżku cudzém złożono; jęczał i rzucał się, ale usłyszawszy nad sobą znajomy głos pani, oczy otworzył, na chwilę niby oprzytomniał, począł czegoś żywo szukać na piersiach i gwałtownie papier dobywszy, podał go ręką drżącą, padł i omdlał.

Posłano natychmiast po doktora Włocha.

Pani podskarbina, jakkolwiek miłosierna, nie mogła dla chorego o zdrowych zapomnieć; list dostawszy, zaczęła go zaraz czytać, a zadysonowawszy, aby nad Serwusiem czuwano, sama ze Spiegłową pojechała na redutę.

List hetmanowej, który oczyma przebiegła, mówił niewiele, odwołując się do ustnej posłań-

ca relacyi. Tém mocniój więc życzyła sobie rychłego uzdrowienia jego pani podskarbina.

Włoch, który natychmiast przybył chorego opatrzyć, znalazł go w bardzo złym stanie. Rana zaniedbana, wcale nieopatrywana długo, szkaradnie się zajątrzyła, ręka była opuchła, oprócz tego niewygody, chłód, bezsenność, może mrozy srogie i wichry, króre w tym roku panowały, a od których nie iniał się czém bronić podróżny, wywołały silną i niebezpieczną gorączkę. Włoch kiwał jakoś głową, ruszał ramionami, za wyzdrowienie nie chciał ręczyć.

Przykro było nadzwyczaj podskarbinie, że dla niój jeden z najwierniejszych sług życie mógł postradać, lecz—nie inne było i jest sług przeznaczenie a obowiązek, tylko z siebie czynić ofiary.

Dziwnym trafem na tój samój reducie, świeżo przybywający z Wilna młody Sapieha oddał podskarbinie list od męża, w którym znalazła relacyą o pojedynku i o Serwacego pobycie. I to ją tész za serce chwyciło, że się ujął za honor domu i dla nich cierpiał.

Reduta była nadzwyczaj wspaniała; wszyscy siłili się i zmagali, aby króla rozbawić. Młoda królewiczowa, wszystkie dawne kochanki, kilkoro przyznanych królewskich synów i córek, ministrowie, dwór cały—wszystko się tu znajdowało, strojne, pomaskowane, napelniając salę olbrzymią gwarem ruchem, intrygami i pozorną wesolością, kryjącą niepokoje, zazdrości i zdrady.

W części sali dla pospolitego oddzielonój tłumu, za balustradą, widzowie stali tak licznie ściśnięci, iż ledwie się mogli poruszać. Każdy się pragnął naprzód dostać, ku części dla dworu prze-

znaczonój, aby zbliżka króla i otoczenie jego oglądać. Popychano się i duszono.

Król August świecił od złota i dyamentów dnia tego. Ubranie szkarłatne, całe szyte w najpiękniejsze wzory, jak utkane było poczepianemi na niém brylantami. Wspaniała jeszcze postać pańska odznaczała się wśród wszystkich i ściągała oczy; twarz starała się jaśnić, jak suknia, lecz znużenie, wewnętrzny niesmak jakiś, niecierpliwość, podrażnienie zdradzał to wzrok ostry, to zmarszczenie brwi, to wymuszona wesołość.

Panie, księżna niegdy cieszyńska, teraz wirtemberska, Denhoffowa, Koenigsmark świeciły też klejnotami, darami lepszych czasów, wspomnieniem dni prześnionych u podnóża tronu. Znaczniejsza część mężczyzny miała na sobie stroje włoskie, szczególniejsz szlachty i patrycyuszów weneckich szesnastego i siedemnastego wieku, domina i rozmaite przebrania charakterystyczne. Panie w strojach wschodnich, fantastycznych, pasterskich, mitologicznych, kręciły się wesoło. W pośrodku królowiezowa Józefina, ubrana wspaniale, wygorsowana wedle mody, uderzała skrzywioną, kwaśną i niepiękną twarzą, na której duma zabijała wesele.

Pocichu pokazywano feldmarszałka Fleminga, który na ten dzień przybrał był sobie niepozorny strój włoskiego abbate. Spieglowa, jak zwykle, miała kostium wschodni sułtanki, podskarbina strój z czasów Maryi Stuart.

Widok sali, wśród której wiły się te różnobarwne figury, śmiejąc się, szepeąc, piszcząc, zaczepiając, goniąc i stroniąc od siebie—świetnie się przedstawiał. Król, acz znudzony, znajdował że ta reduta prawie nie do żywienia nie zo-

stawiała. Czuć w niej jednak było wesołość nie-szczęłą, ożywienie sztuczne, ruch nakazany. Na dnie leżały niespokój i znużenie.

Napozór reduta była przepyszna, brakło jój tylko téj jednéj rzeczy, którą miéwały dawniejsze, młode królewskie zabawy—ducha co je ożywiał. Szał na nich bywał, nierozumny i rozbujany. Teraz silono się, aby życie wydobyć, a nie było go zkad dostać. W duszach brakło młodości; wszystko to stokroć się już powtarzało. Znano maski i ludzi, nieufnemi i zazdrośnemi oczyma rzucano na siebie. Owe wieczory, na które Hoym piękną Cosel wprowadzał, bale wśród których świeciły Aurory, przyjęcia Fryderyków, wspomnieniami się tylko niepowrotnemi odzywały.

August szukał napróżno rozrywki, gonił za czémś nowém, niespodzianém, coby go rozgrzać potrafiło, obudzić jakieś pragnienie, a znajdował dokoła tylko ruiny, powiędłe kwiaty, znane dobrze barwy i wonie. Począwszy od najpospolitszej tanecznicy lipskiego jarmarku, do najwyższego rodzaju arystokratycznych piękności, z kolei wszystko się przed nim przesunęło, znudziło go, spowszedniało, zbladło.

Zaczepiano go, uśmiał się, patrzył; z pod płaszczyków i nasieczek wyglądały postacie stokroć dłań znane, lub do znanych podobne.

Przechadzał się tak roztargniony król, gdy na drodze jego znalazła się dziwacznie ubrana, niby włoska rybaczka.

Na ramionach niosła sić, a strój jój, bardzo prosty, służył na to tylko, aby piękną, silną budowę młodego prawdopodobnie stworzenia pokazać wydatniej. Rybaczka ta kręciła się, zaczęła, sypała włoskimi conceptami, niekoniecznie

do najwykwintniejszego towarzystwa zastosowaniemi.

Mężczyźni śmieli się z niej i przypatrywali, kobiety, odprawiane ostremi bardzo przypinkami, uciekały; król długo zdala przypatrywał się obrotom tego stworzenia, którego prawdziwego nazwiska domyslić się nie mógł. Wnosił tylko, że być musiała jedną z aktorek lub baletniczek sceny królewskiej, bo one jedne, z osób do dworu nienależących, miały przywilej, nie zdejmując masek, wchodzić za balustradę i ocieierać się o wybranych.

Rybaczka była średniego wzrostu i obcisły ubiór, napół mężki, zarysowywał wyraziście piękne, ale nieco bujne kształty ciała, przy drobnych nóżkach i rączkach. Włos czarny na głowie, napozór niedbale związany, w części spływał na białe i nawpół odsłonięte ramiona. Zuchwale zaczepiała i czepiała się wszystkich, kto się jęj nastręczył, i ścigała głosnemi wykrzyknikami.

Widać że i ona nikogo i nikt jęj nie oszczędzał, bo się odcinała grubiansko i ostro. Króla to wkońcu zaintrygowało. Przybliżył się do niej zwolna; spojrzała nań, podnosząc główkę, i stała niezmieszana, potrząsając siatką, którą niosła na ramieniu. Cóż prawie bezwstydnie wyzywającego było w jęj krygach i ruchach.

August, który słyszał ją mówiącą po włosku, odezwał się do niej tymże językiem:

— Cóżś to umyśliła złowić w twoję siatkę, moja piękna?

— O, jaknajgrubszą rybę—odparła, śmiejąc się, maseczka.

— Złapać, to jeszcze nie sztuka—rzekł król, rozpatrując się okiem znawcy i bacznie śledząc najmniesze szczegóły stroju i figury, której strój

nie okrywał.—Złapać ci się może uda, ale nie dźwigniesz.

— Oho! siły mam dosyć—rozśmiała się rybaczka—nie boję się o to, byle połów nie był próżny.

— A jabym ci życzył nie więcierzem, ale na wędkę próbować — ciągnął król, przypatrując się z zajęciem małej, pulchnej rączce, na której palcu błyszczał ładny pierścionek. — Oczy twe czarne, które z pod масечки błyszczą, służyłyby za przynętę, a włosy za sznurek.

Rybaczka patrzyła w króla jak w tęczę, pierś jej poruszała się silnie; widać było że mocno pragnęła go czémś pociągnąć ku sobie, a sama nie wiedziała jeszcze, jak poczynąć. Bała się.

Chwilkę trwało zakłopotane milczenie. Król się przysunął bliżej.

— Znasz mnie?—spytał.

— A któżby słońca nie znalazł?—odparła śmiało.—Znam i boję się bardzo.

— Dlaczego?

— Bo jak słońce grzejesz czasami, a często pieczesz. Gdzie promień twój padnie, głowy się palą i biędne ofiary padają.

— A ja czy znam ciebie?—spytał król.

— Słońce nie zna drobnych trawek, na które padają jego promienie. Ja sobie jestem mała, cicha istotka, na którą nie mogło paść pańskie oko, boin go niegodna.

— Masz młodość i piękność, które cię czynią godną słonecznych promieni—rzekł król, ciągle się przysuwając.

— Ja sobie jestem prosta rybaczka—odparła nieznajoma—nie patrzę tak wysoko.

— Dlaczego?

— Boin nawykła chodzić po błocie, swobo-

dnie się rzucać na fale, mówić co myślę, robić co zechcę. Nieokrzesaana jestem, słów nie dobiéram, a gdy się gniewam, klnę i łaję.

— A gdy kochasz?

— O! gdy kocham, to w uścisku zdusić jestem gotowa, wyssać duszę pocałunkami, zabić mo-jém kochaniem—śmiało mówiła rybaczka.—Tyl-ko taki prosty rybak, jak ja, pokochać mnie i wy-żyć ze mną może.

— Przecież i ja, choć nie rybak, nie zląkłbym się ciebie—rzekł król.

Nieznajoma głową pokręciła.

— Co mnie do was? co wam do mnie? Orły nie latają za sroczkami.

— Szczebiotu ich słuchać i orłom miło—od-parł król, widocznie bawiąc się rozmową.

— Dokuczy prędko, bo często ostry bywa.

Te odgróзки i przekory, zamiast odstręczać, pociągały znudzonego pana. Krok jeszcze postą-pił i rzekł ciszej:

— Mów, ktoś ty?

Zmieniony, nakazujący głos nie pozwalał się opierać: był to królewski rozkaz.

— Ja jestem Bettina, z baletu waszój królew-skiój mości.

— Dawno w Dreźnie?

— Od tygodnia.

— Czemu cię nie widziałem?—spytał król.

— Al! ktoby tam na mnie patrzył?—rozśmiała się Bettina.—Tyle jest piękniejszych odemnie; jam prosta dziewczyna.

— Ile masz lat?—badał król.

— Przysięgam że nie wiem!—śmiało zawołało dziewczę.—Pięćdziesięciu, zdaje się, jeszcze mieć nie powinna, a więcój niż dwanaście pewnie już być musi.

— A iluż miałaś kochanków? To po nich lata policzemy.

— Kochanków? ja? A, tych co się wemnie kochali ani zliczyć—śmiała się Bettina—a tych których ja kochałam ani jednego! Serce czeka.

— Na kogo?—spytał król.

— Na takiego szaleńca, jak ja sama—mówiła rybaczka.—Wszyscy ci mężczyźni to wymokłe śledzie, ślamazarne ciury, ani z pierza, ani z mięsa. Rybaczka, czekam na rybaka, coby ze mną poszedł choćby w błoto, choć na fale, choć na śmierć. Albo taki, albo żaden!

To mówiąc, jakby przez zapomnienie, maseczkę na chwilę z twarzy zdjęła i pokazały się z pod niej ogromne oczy czarne, brwi silnie zarysowane, pełne, rumiane usta, piękność dziko, bujnie rozkwitła, z całą potęgą klimatu, pod którym ludzie i rośliny rozwijają się szybko i więdną spalone. Natychmiast, jakby przerażona, przymocowała znów maseczkę i parę kroków odbiegła.

Król podszedł za nią i szepnął jęj do ucha słów parę. Pokręciła głowę, król dodał coś jeszcze, otrzymał szybką odpowiedź i rybaczka rzuciła się w tłum, siatką jeszcze śmielęj bijąc po przechodzących.

Gdy się to działo, na uboczu dwie niewieście, w bogatych dominach, maski, słusznego wzrostu, arystokratycznój postawy, zdawały się ciekawie przypatrywać scenie i odgadywać niedosłyszane słowa.

— Patrz—mówiła jedna—niezłem prorokowała. Królowi trzeba razowego chleba, znudziły go ciasteczka.

— Tak—odparła druga—skosztuje i wyplunie.

— Któż wie?

— Najordynarniejsza w świecie skoczka. Pośmieje się z niej, ale długo nie zatrzyma.

— Ja ci powtarzam, któż wie? Byłam pewna że się zainteresuje.

Poczęły szeptać coś cicho i śmiać się.

— Trzeba wszystkiego próbować—zakończyła pierwsza.

Królowi się właśnie Friesen nastreczył, który w sprawach kobiecych bywał zawsze najlepiej świadomym.

— Friesen—zagadnął August—co za licha ta Bettina z baletu? Dziewczę ogniste!

— A! Bettina!—rozśmiał się wielki sokołniczy.—Bettina! sławna z tego, że nikt nad nią śmielszym i bardziej wyszczekany być nie może, nawet mężczyzna. Czasem się przed nią rumienia starzy wyjadacze.

— *Elle est très piquante!*—dodał król po francuzku.

— Ulicznica!—rzekł Friesen z pogardą.—To strawa dla podniebień, co do ostrych potraw nawykły.

— Lub dla tych, które smak straciły, bo to może obumarłe podniebienie rozbudzić—rzekł król.

Mały Friesen z uszanowaniem, ale ze złośliwością pewną popatrzył na króla. Wtém Vitzthum, w stroju doży weneckiego, przysunął się.

— A ty znasz Bettinę z baletu?—spytał król.

— Widziałem ją; żwawe stworzenie i zabawne—rzekł Vitzthum.

— Słyszysz, Friesenie?

— Ordynaryjna!—rzekł sokołniczy.

— Z wyrachowaniem — odezwał się Vitzthum.—To u niej jest sztuka. Umieć być, jaką zechce.

— Zawołać ją na wieczerzę w małym kółku!—szepnął August.

— Uszy zabolą—rzekł Friesen—gdy puści sobie cugle.

— *Après tout*, to zabawne—dodał Vitzthum— a dziś, doprawdy, tak mało co zabawném być umieć.

Friesen pozostał, a król z drugim powiernikiem, żywo rozmawiając, oddalił się.

W przeciwnym końcu sali feldmarszałek, przebrany za abbate, znalazł się otoczony mnóstwem масечек, które go uszczypliwiemi żartami ścigały.

Jedna szczególnie napadała go natrętnie, a téj Fleming nie umiał odgadnąć. Głos miała zmieniony, strój nie dawał dostrzedz postaci. Gdy inne się rozpierzchły, ona została jedna, ścigając go natarczywie.

Masieczka ta, jak wiele innych, miała ubiór damy włoskiej, tycyanowskich piękności, włosy jasno-bronzowe, pożyczane, postać wyniosłą, ruchy nie pierwszej młodości. Fleming, który znał wszystkie panie dworu tak dobrze, iż je odgadywał zdala, téj ani z postawy, ani z mowy domyśleć się nie umiał.

Goniąc za nim, przyparła go do niszy pod kominem, kędy zwyczajnie miłosne pary się schadzały na poufne szepty. Była teraz niezajęta. Fleming chciał się do niéj schronić, lecz uparta maska i tu nie dała mu pokoju: zaparła drogę.

— Signor abbate! w złym coś jesteście humorze — wołała głosem piskliwym. — Jaka to szkoda że tu niéma pięknej Schmettau, któraby cię jedném słówkiem mogła rozchmurzyć. Ale Schmettau ma tak zazdrosnego męża, że musiała

mu się przyznać, iż jój ofiarowałeś przyjaźń swoją.

Wspomnienie o Schmettau, dla której Fleminga o jakąś fantazją pomawiano, zburzyło feldmarszałka i mimowolnym ruchem zdradził gniew wewnętrzny.

— Ale bo wam, signor abbate — mówiła maska szydersko — nie powodzi się w niczém. W Polsce cię nie chcą, w Saksonii wszystkim się uprzykrzyłeś, w Berlinie się od ciebie odwracają tyłem, w Wiedniu nosem kręcą, król zaczyna się poznawać, żeś mu się na nic nie zdał, a chłop mansfeldzki z całą głupotą swoją już się naprzód wysuwa i tyłem do ciebie obraca.

Fleming spojrzał tylko.

— Bierzesz mnie za kogo innego, niepiękna i niegrzeczna maseczko — rzekł kwaśno.

— Przepraszam! dwóch takich jak ty w Saksonii niéma, omylić się niepodobna. Ale ty jesteś słońcem na zachodzie, blask twój już niko go nie zaślepia, biedny Flemingu!

— Taksądzicie, niepiękna maseczko? — z przymuszonym uśmiechem rzekł feldmarszałek.

— O! przepraszam — przerwała nieznajoma z przekąsem — omyliłam się w istocie. Słońcem nie byliście nigdy, ale księżycem bladym, którego pełnia przeszła, a reszcie grozi zaćmienie.

— Moglibyście się omylić jeszcze raz w waszych rachubach astronomicznych — odparł Fleming. — Aby robić takie postrzeżenia, wysoko wprzód wyjść trzeba.

— Któż wie gdzie ja byłam? — zaśmiała się maska. — Wszyscy zresztą astronomowie dworscy tego są zdania. Nowa gwiazda wschodzi: chłop mansfeldzki.

— Aby stanąć obok siebie równych Fröhlicha

i Kyau'na—odparł Fleming szydersko.—Idźcież się jój pokłonić.

To mówiąc, usiłował wynijść; ale maska mu zastąpiła drogę, zdając się mieć upodobanie w tém dręczeniu.

— Pójdę z pokłonem pewnie—rzekła.—Najgłupszych ludzi lekceważyć się nie godzi, na dworze szczególnie, gdzie prędzej późnziej rozum staje się niewygodnym i niebezpiecznym, a głupota najlepší służy. Aleś ty téż rozumu nie miał wiele, więcój szczęścia. I to cię dziś opuścił! Biedny abbate Fiamingo!

— Na wszystko się zgadzam, maseczko moja—zawołał Fleming zniecierpliwiony—na wszystko, tylko wypuśćcie mnie z téj niewoli.

— Nie wspominajcie złego słowa—żywo dodała maska, ciągle mu zastępując drogę.—Nie siedzicie jeszcze w Koenigsteinie, jak Bejchlingen; ale co się zdarzyło kanclerzowi, może spotkać i feldmarszałka, *pardon!* chciałam powiedzieć abbata.

Rozśmiała się szydersko i naostatek, uląkłszy się groźnego ruchu, pierzchnęła.

Nieodstępny towarzysz i przyjaciel Fleminga, pułkownik Bielcke, który szukał go niespokojny, przypadł w téj chwili.

— Kto jest ta maska? — zawołał zmęczony i podrażniony feldmarszałek—chcę wiedzieć, kto ona?

Bielcke podbiegł, usiłując dojrzyć; lecz bardzo zręcznie, jakby się obawiała być ściganą, za galeryą wśród ścisku zniknęła. Pułkownik zaręczał, że nie miał pojęcia kto to być mógł, choć może się domyślił w niej Glasenappowej, której, jako dawny adorator, zdradzać i na zemstę wystawiać nie chciał.

Spotkanie z tą maską tak nieprzyjemnie dotknęło Fleminga, iż skinąwszy na Bielckiego, wysunął się z nim do jednego z pokojów, w których grano. Stoliki obsiadły gęsto panie i panowie, namiętnie napastując nagromadzone na nich kupy złota. Gra była jedną z najulubieńszych zabaw owego czasu. Należało do dobrego tonu grać i przegrywać wiele, śmiejąc się, a niekażdy miał powściągliwość pani Vitzthumowej, która, wygrawszy pięćdziesiąt tysięcy talarów, zabastowała. Byli gracze z profesyi, którzy korzystać umieli z lekkomyślności takich zapalczywych pań jak Denhoffowa i ogrywali je, prawie słodczyce. Przy jednym ze stołów, nienasycony nigdy grą, siedział Vitzthum, i zapomniawszy o wszystkiém, stawiał szalenie, tém grubiej, że mu się nie wiodło.

Fleming, zaledwie okiem rzuciwszy na stoły, usunął się z Bielckiem na stronę.

Bielcke wskazał mu przesuwającą się zdala rybackę i na ucho szepnął słowo, które oznaczało na rzymskich igrzyskach, że gladyator został ranny:

— *Habet!*

Feldmarszałek ramionami poruszył niedowierzająco.

— Fałszywa to Vitzthumowej rachuba—rzekł krótko.

— Któż wie?—szepnął Bielcke.—Że ją tu sprowadzili i podsunęli, to pewna. Spisek był dawno uknuty. Rachowali na to, że zwierzyzna jest *faisandée*! Mówił z nią więcej niż kwadrans i zdaje się że Friesenowi na wieczерzę kazał ją prosić.

Feldmarszałek z politowaniem spojrzał i rzekł po chwili:

— Tak, będzie to fantazya przemijająca; rachowali dobrze i rachunek nie omyli ich. Ale to żadnego nie ma znaczenia. Prawda jest, że te piękności w atłasach i koronkach, miękkie i powolne do zbytku, pachnące a zwiędłe, znudzone same i nudne, nie mają dla niego smaku. Niczem inném zapanowała nad nim chwilowo Denhoffowa, tylko że była od tych pań trochę różną i gorszą. Teraz przyjdzie może kolej na kucharki i garderobiane, a wreszcie na proste chłopki. Bettina się podoba, ale jutro precz pójdzie, bo znudzi. Nie wiem nawet, czy przez kobiety, jak dawniej, zrobić z nim co będzie można. Niech Vitzthumowie próbują!

Rozmowa zmieniła się i zaszła na poufne szepoty. Fleming był zadumany, roztargniony i, jak to mu się często zdarzało, zniechęcony wszystkiém. Szczęściem nie trwało to długo i wielka myśl, plan nowy, zadanie ważne rozbudzało go do życia.

Marzył właśnie o lidze, którą układał, jak się zdawało dlatego, aby módz pod jej pozorem znaczniejsze siły wprowadzić do rzeczypospolitój; czekał odpowiedzi z Londynu i Wiednia i to go pochłaniało całego.

Nie chcąc jednak króla tego wieczora całkiem dać na pastwę swym przeciwnikom, wymknął się wkrótce wślad za nim do osobnego pokoju, gdzie się na pijatykę zabięrało, jak codziennie. Było to zakończenie zwykle każdego wieczora.

Na sali zabawiano się długo, a wśród Sasów za balustradą widniały gęsto porozstawiane czupryny podgolone i stroje polskie. Była toszlachta i podpankowie, za różnemi sprawami bawiący w Dreźnie i korzystający z zaproszenia, aby się królewskiej przypatrzeć zabawie.

Znaczniejsza część tych panów była za dworem i Sasem, protegowana przez senatorów królowi oddanych i niewidząca nic nad własny interes. Myliłby się jednak, ktoby sądził że wszyscy Sasom sprzyjali. Kłaniali się im, ale międy sobą mścili się na nich, nie szczędząc.

I tu w kąciku znalazła się gromadka, której z twarzy patrzyło, że jej nie w smak szły te bachanale. Byli to dworzanie młodego Sapiehy, wojewody inowrocławskiego, dwu Lubomirskich, szlachta uboga, co nigdy magnificencyj nie widziała.

Nie zważali na to, że tuż niedaleko stał potulny człeczyna, ubrany z niemiecka, który zdawał się po polsku nie rozumieć, patrzeć w inną stronę i wcale na nich nie zważać.

— A co, Damianowicz—mówił jeden z dworzan sapieżyńskich. — Dalipan, piękniej niż w kościele, a król, przebacz Boże, wygląda jak monstrancya.

— Lichabyś zjadł z twoją komparacyą bezbożną—odparł wąsaty i podstarzały Damianowicz.— Szatańska to chyba bóżnica, albo mahometański ów raj, co go bisurmanom ich prorok przyobiecał. Czyste piekło! A te baby, tyle tylko na niektórych odzieży, aby się nazywało że ubrane. Impudencya! Zgroza! ohyda! A wszystko to, słyszę, ile ich jest, sułtańskie miłośnice. Jedne były, drugie są, a reszta się stręczy, aby niemi być! Tfu!

Szlachcie ramionami strząśł.

— Otóż widzisz asindziej, panie Damianowicz—dodał piérwszy.—Jak się będziemy Niemcom akomodowali, i u nas téż podobny porządek zaprowadzą. Żony i córki pójdą na królewski

dwór, a my na lokajów. I będzie wtedy ład, jak niepotrzeba lepszego.

Począł się śmiać złośliwie.

— Do tego idzie—kończył w głos, bezpieczny że go nikt nie słucha, oprócz swoich i nie rozumieć.—Twój wojewoda i mój hrabia ludzie głady, ręce gotowi dać, aby się corychlój dokonała regeneracya rzeczypospolitėj. Sejmów i sejmików wcale nie będzie, bo to niepotrzebny kłopot, strata i niepokój; szlachcie gębatėj kagańce ponakładają, jak niedźwiedziom, aby nie burczeli i nie kęsali, a kto nie posłucha, to go do Kamieńca, albo nie to, na Koenigstein, gdzie Jabłonowski z Urbanowiczem kwatery zapijali. Głowa nam już o nic nie będzie bolała. Fleming za obu hetmanów wojskiem dowodzić będzie. Naszych żołnierzy co jest, to ich poszła Wenetom, aby świata trochę zobaczyli i morza powąchali. Natomiast do nas przyprowadzą Niemców, aby nam bakałarzowali. Do tego idzie! do tego idzie!

— Nieprawda!—obnrzył się Damianowicz—nieprawda!

— A pocóż my tu jeździmy?—rzekł piérwszy—jużci nie dla wypróbowania sanny.

— Acanu-bo się zdaje, że wszystko wiesz, a nie wiesz nic—rzekł Damianowicz głosem stłumionym, obejrzawszy się wkoło.—Myślisz asindziej że Sapieha, albo pan wojewoda, co są dworowi oddani, już mu dadzą robić z nami co zechce i zarzną nas na ofiarę? Nieprawda! Ja ich znam. Idą do wielkiego ołtarza, aby z niego jaki ochłap pochwyć, ale gdy przyjdzie do ostatecznego terminu, ho ho! krew się w nich odezwie, sumienie ich ruszy! Jak Bóg miły!

— Zkądże to waści takie wiadomości—zapytał inny—zkąd pewność taka?

— Bo ja ich znam na wylot, lepiej niż wy—ofuknął sierzdisto Damianowicz;—kłaniają się tu i liżą, a do domu powróciwszy, tak myślą, jak i my.

— Albo, albo...—bąknął pierwszy.

— Nie albo, tylko pewnie—uparł się Damianowicz i wąsa pokręcił.

Patrzyli na stare i młode boginie, przesuwające się po sali. Z Denhoffówój, reprezentującej Dyane, śmiano się pocichu.

— A pokaż-że mi asindziej—odezwał się Damianowicz do towarzysza — która tu z nich Po'ka?

— Połowa, jeśli nie więcej—odparł drugi.—Acan wieś: że Fleming sobie zdawna za prawidło wziął i królowi to zalecił, dla utrzymania słusznego ekwilibrium między dwoma państwami, aby, rzeczpospolitej nie czyniąc krzywdy, w Saksonii się kochał po niemiecku, a jak tylko do Krakowa, albo i za tarnowskie góry, musi brać naszą. Inaczéjby się nam despekt dział!

Poczęli się śmiać mocno i wskazywali sobie palcami księżnę cieszyńską, Denhoffową, P... nareszcie i takie, które do imion, jakie im nadawali, prawa nie miały. Jeden z nich nawet pokazał Przebendowską.

— Ta jako żywo nigdy królewską kochanką nie była—odezwał się inny—wiem to od Serwacego, co u niej jest na dworze.

— A co się z Serwacym dzieje?—spytał inny—nie widać go.

— Niéma go, wyprawili do Polski, zaczém? niewiadomo.

— Albo i on się już do sekretnych posyłek

nadaje? Ja go znam, to chłopak mruk, niepo-
czesny, ale Sasy mu śmierzdzą i za ich sprawami
nierad się trudzić.

— Podskarbina go pewnie do męża po sukurs
wyprawiła—odezwał się jeden—bo to tu w tém
Dreźnie pieniądze się sypią, toczą, aż strach.
Niedarmo mąż podskarbi musi ich mieć dużo,
więc doją.

Znowu się śmieli ochoczo.

Człowieczek stojący koło nich tuż, o balustra-
dę oparty, w inną stronę patrzący, słuchał pilnie
i chylił się ku nim, niby nieumyślnie.

— Sodoma i Gomora!—mruczał Damiano-
wicz, spluwając, ale pilno się wpatrując. —Splendor,
jak na ucztach baltazarowych. A u nas
szlachta biedna, którą Sasi objedli, suchym chle-
bem z ośmi się karmi, aby tu na tę rozpustę
stało. Dobrze tak! Było się nam króla Stanis-
ława trzymać, człeka bogobojnego, który nas
rozumiał, bo z nas szedł, a nad ludźmi ubogimi
zlitowanie miał, bo sam ubogi był.

— E! e! Król Stanisław nie miał się czém
nam okupić—rzekł przekora—on sam pono na
płaszcz królewski musiał u Szweda pożyczyć.
Respublice chciało się świecić, więc wzięła ta-
kiego, co brylanty miał.

— I świeci — dodał inny — ale gołemi bo-
kami.

Trudno zresztą powtórzyć, co tam owa szlach-
ta markotna, przypatrując się reducie, napłotała.
Stojący przy niej pilny słuchacz dotrwał cierpli-
wie do końca rozmowy i wymknął się potem nie-
postrzeżony na Zamkową ulicę.

Tu w kamienicy królewskiej, naprzeciw bramy
zamkowej, stał ksiądz biskup kujawski Szaniaw-
ski. Mało go kiedy w Dreźnie nie było, a gdy

tu nie gościł, pewnie za interesem królewskim gdzieś gonił.

Chociaż godzina była spóźniona, człeczyna ów wcisnął się do przedpokoju. Ks. biskup, mąż surowego oblicza, ruchliwy bardzo, ostropatrzący i mówiący śmiało, właśnie jeszcze listami był zajęty, lecz przybyłego do kancelaryi wpuszczono.

— *Laudetur Jesus Christus!*—rzekł u progu z wielkim pokłonem, ręką dotykając niemal posadzki.

— A co tam powiesz, mój pocziwy Werderze? co?—zapytał biskup, szybko się odwracając.— Balowałeś?

— A jakże—mruknął pokorny człeczek.— Powracam wprost z reduty.

— Cóż tam? jak?—mówił biskup.

Drobny człeczyna ów, mały, chudy, w niemieckim stroju, w peruce, z głową dużą, z twarzą ospowatą jak sam biskup, podniósł ręce suche do góry.

— Com się nasłuchiwał uszy mi wiedły!

— No cóż, co takiego?—rozśmiał się biskup jakimś wymuszonym śmiechem kancelaryjnym, urzędowym.—Kapela grała ślicznie, he?

— Nasi dworzanie, wojewody inowrocławskie-go, Sapiehów, Lubomirskich, nie zaręczę żeby między nimi i pokojowych króla nie było, ślicznie jój wtórowali.

— Co?—oburzył się biskup.—Czyżby który, uchowaj Boże, nie uszanował majestatu?

Werder ręce powtórnie podniósł, oczy zawrócił dogóry i zgłębi piersi wyrwało mu się westchnienie straszliwe.

— Żebyś wasza ekscelencya słyszała, co ci ludzie wygadywali na króla jegomości, na dwór, na ucztę, na egzorbitancye, na Sasów!..

— O! a waćpan słuchałeś?

— Bom tak stanął, żem musiał—rzekł Werder.—A dobrze się stało. Na nikogo z nich rachować nie można, to dobrze wiedzieć!

Zachmurzył się ks. Szaniawski.

— Wiémy my to—rzekł surowo—ale się tych ozorów przytnie i to zuchwalstwo ukróci. Poznają te warchoły, jak starszych szanować powinni. Patrzcie mi, jacy cenzorowie!—mówił gniewnie biskup i odwrócił się do Werdera.—Hm? pewnie na króla za te kobiety, za fraszki i zakawki wocyferowali? Złośliwe zmijel Temu, który jak Atlas świat na ramionach nosi, gdy sobie dozwoli rozrywki, toleruje się, pobłaża. Kościół wie komu czego dozwolić i gdzie ludzka krewkość winna się rachować. Zato kościoły się wznoszą i fundacye. To nasza rzecz, nie ich! A dużo tam było tych cenzorów? — zapytał wkońcu.

— Gromada stała spora, nie liczyłem—mówił Werder.—Jeden wiem że się zwał Damianowicz, a ten sobie najwięcej dozwalał. O innych dowiedzieć się łatwo. A kiedy już ci, co tu z panami przyjeżdżają, *ad limina majestatis*, na takie się bluźnierstwa publicznie ważą, cóż dopiero reszta? Co w kraju się dzieć musi?

Biskup, dumną przybrawszy postawę, wyciągnął rękę ku mówiącemu.

— Szczęściem, mój kochany, u nas wszystko na języku—dodał szydersko.—Wykrzyczą się, nałają, naplują, a gdy się im strachu napędzi, wojsko się we wsi postawi, naciśnie panków, przycupną i do kolan przypadną. Znamy my ich, znamy i nie boimy się, nie.

— Daj Boże, aby się słowa ekscelencyi waszēj zisciły—rzekł z pobożném namaszczeniem Wer-

der—bo u nas z tém warcholstwem nigdy ładu nie będzie. Trzeba to przykrócić.

— I przykróci się — odrzekł biskup stanowczo.

Wtém ów Werder, odedrzwi odstąpiwszy i oglądając się na nie, kilka kroków ostrożnie naprzód podszedł i szeptać począł:

— Najciekawsza rzecz, iż oni wszyscy zaręczali, iż na ich panów wiele król rachować nie może, bo w domu są inni, niż tu.

Szaniawski się rozśmiał.

— Co pleciesz! — zawołał. — Na wojewodę inowrocławskiego jeśli gadali, to kalumnia. Nie wierz temu! Wojewoda na sejmiku szlachcie w nos fimfę jaką puścić może dla popularności, aby sobie serca pozyskał, ale król w nim ma wiernego sługę. Tandem—dokończył Szaniawski, po ramieniu uderzając pocziwego Werdera—tandem ci się to wielce chwali, dziecko moje, że gorliwy jesteś, że uszy masz otwarte i że się bacznie rozsluchujesz. Zawsze dobrze jest wiedzieć, co się święci.

Biskup podszedł ku stolikowi, na którym papiéry były rozłożone, i wzięwszy pakiet opieczętowny, odezwał się do powiernika:

— Ks. Bildiukiewicz musiał już powrócić z Pragi; trzeba abyś go asan jutro wypukał i dał mu te papiéry pod rewers. Niech natychmiast z niemi jedzie do Wilna. Sprawy są pilne.

Werder, ucałowawszy rękę biskupa, który go pobłogosławił, pilno papiéry w kieszeń schował i na palcach z rewerencyą wielką cofnął się do progu.

Ksiądz Szaniawski, zadumany, usiadł znowu do stolika.

Damianowicza starego nazajutrz do domu *citis-*

sime odprawiono, ani się mógł domyslać dla-
czego.

Gdy pani podskarbina z reduty powróciła na-
dedniem, dowiedzieć się chciała o Serwusia, któ-
rego jój teraz, po liście od męża odebrany, w-
ięcej jeszcze żal było. Powiedziano jój że
w gorączce leży, a lekarz mu dobrze nie wróży.
Okolo chorego zalecono pilność jaknajwiększą.
List hetmanowój, dyplomatycznie napisany, grze-
czny, szyderski, zagadkowy, niemówiący nic,
niecierpliwił ją, a od chorego wyjaśnień teraz
żądać nie było podobna.

Tymczasem z innych źródeł złe z Polski przy-
chodziły wiadomości o obu hetmanach i uspo-
sobieniu szlachty, która się coraz jawniej burzy-
ła. Ks. Biskup Szaniawski, choć mówił iż pe-
wien jest sukcesu planów Fleminga, nie tał że
spełnienie ich wiele kosztować mogło nietylko
pieniędzy, ale krwi nawet.

Fleming odpowiadał na to chłodno, że dla idei
wielkich od ofiar téż wielkich wzdragać się nie
godzi. Szło tylko o to, aby w porę się wziąć do
działa i raz je rozpoczynszy, dokonać za jednym
zamachem.

Nazajutrz Serwus był bezprzytomny i cały
dzień następny jeszcze lekarz obawę miał o jego
życie. Siódmego dnia jednak nastąpiło przesile-
nie, gorączka ustawać poczęła, a Włoch przy-
szedł z tą pocieszającą wiadomością, że chory
żyć będzie, ale potrzeba mu dać spokój zupełny,
dopóki sił nie odzyska. Według jego włoskiej
rachuby, przychodzenie to do sił trwać miało
jeszcze parę tygodni, natura jednak polska go-
towała lekarzowi niespodziankę. Chory, gdy
raz zwyciężył niebezpieczeństwo, a po niém snem
mocnym, przez kilkanaście godzin trwającym, się

pochrzepił, cudownie prawie zaczął się dźwigać. Chciano go karmić rosółkami i bułką, wedle przepisu doktora, gdy kucharz Polak, którego Przebendowska dla polskich gości trzymała, aby im barszcz gotował, ulitowawszy się nad chorym, potajemnie przyniósł mu dobrą misę zrazów z cebulą i zawiesistym sosem. Serwuś wygłodzony rzucił się na nie z nadzwyczajną chciwością i zmiotł je wszystkie. Jeszcze wąsów nie otarł, gdy Włoch doktor nadszedł na żywe jeszcze ślady i zapach zrazów, zobaczył co się stało, osłupiał, ręce załamał, chciał zaraz dawać lekarstwo; ale Serwuś go zapewniał, że mu nie będzie.

Jakoż nic a nic nie było. Chory następnego dnia, z wielkiem Włocha podziwieniem, uczuł się pochrzepionym i silniejszym. Tego dnia kucharz, dowiedziawszy się że za niewinne zrazy taka była wrzawa, lżejszą mu potrawę podsunął. Przyniósł bigos dobrze przysmażony, z kiełbasą. Serwuszejadł z apetytem, poczem izbę wykadzono, aby Włoch się nie domyślał, co przez nią przeszło, i tegoż dnia zapragnął wstać Przebendowski. Ręka tylko była w bardzo złym stanie jeszcze i gojenie rany się opóźniało. Ale o nią, prawdę rzekłszy, nie frąsował się Serwuś do zbytku, wiedząc że się sama powoli wygoi. Najprzykrzejszém mu było, że dla niej w izbie zamknięty siedzieć musiał, a do wyjścia w buraczkowym żupanie rękaw rozcinać i uczynić go szerszym. Ciągnęło to koszta za sobą.

Tymczasem podskarbina dowiadywała się ciągle u doktora, kiedy do siebie będzie mogła powołać konwalescenta. Lekarz zwawój rozmowy równie się obawiał, jak zrazów; kazał jeszcze czekać dni parę. Sam już Przebendowski,

gdy mu kontusz buraczkowy rozpróty przyniesiono, zażądał się stawić przed swoją panią.

Podróż, choroba, samotność, wszystkie biedy przebyte, tak jakoś podziałały na pana Serwacego, że się zmienił do niepoznania. Błady był i mizerniejszy niż dawniej, ale postawa dawniejsza wystraszona, nieśmiała, pokorna, znacznie się stała rezolutniejszą, poważniejszą. Czuł w sobie jakieś zaufanie i mężstwo, którego dawniej nie miał.

Gdy stanął w progu swój dobrodziejki, podskarbina podeszła ku niemu z łagodnym uśmiechem i dobrém słowem na ustach. Długo się w niego wpatrywała, nie mogąc sobie wytłumaczyć, jakim sposobem z téj poczwarki rozwiniął się nagle człowiek tak stateczny jakiś i śmiało umiejący patrzeć w oczy.

— Chwała Bogu—rzekła—żeś acan téj podróży dla mnie podjętej nie przyplacił życiem: miałabym ją była wiekuiście na sumieniu. Pani hetmanowa pisze mi, że acan ustnie masz mi dać na list odpowiedź. Mówże, proszę; nieczmiernie-mój ciekawa.

Trochę się namysliwszy, Serwuś począł:

— Pani mi przebaczy, że wszystkiego com słyszał od pani Pocijowej powtórzyć nie potrafię; nic wszystkoby się powiedzieć godziło, bobym uszy pańskie obraził.

— O! znam ja ją dobrze, że język ma ostry i niepowściągliwy—przerwała zimno Przebendowska. —Mniejsza o to, że przykrém mi co być może: mów acan otwarcie!

— Tylem wyrozumiał z jej mowy i usposobienia—rzekł Serwacy, że na nią i na panią hetmanową Sieniawską wcale tu liczyć nie można. Obaj panowie hetmanowie, usposobieniem ani-

muszów szlachty mocno nastraszeni, kroku już naprzód nie uczynią, a ten który zrobili, chcą i upiérają się cofnąć.

— Tak mówiła?—zapytała spokojnie podskar-bina.

— Powtórzyła mi to pokilkakroć i bardzo gwałtownie—dodał poseł.

— Wspomniała-ż co o pensyi swojej?—odezwiała się, nie okazując najmniejszego wzruszenia, Przebendowska.

— A, była i o tém mowa—odparł Serwuś—ale jak się wyraziła, tego przez respekt powtórzyć nie mogę.

— Przecież, przecie! Mów acan!—nalegała pani.

Serwuś zarumieniony oczy spuścił i żuć zaczął, jak zwykle, gdy był w kłopotcie.

— Nie mam co obwijać — łąknął niewyraźnie.—Pani Pociejowa powiedziała: niech sobie ją król schowa, dla... dla której innéj z pań...

— Rozumiem—przerwała z gniewem trochę Przebendowska.—Mogła dodać, że i ona z tego tytułu ją miała, co inna. A cóż więcéj?

Serwacy poruszył ramionami.

— A czegóż więcéj potrzeba?—odezwał się.—Nahałasowała dużo i nakłęła się, że co postanowiono, to się zmienić nie może, a pan feldmarszałek skrypt oddać musi.

— Nie odda go!—zawołała dumnie pani Przebendowska—niepowinien go zwracać i nie zwrócił! Wszakże mu dobrowolnie komendę oddali hetmanowie. Wiéć co oni dali, to żony ich teraz myślą odbierać! Śniéchu warto!

— Pani Pociejowa odzywała się z tém głośno i wszędzie to powtarzają, że gdyby mąż jéj uległ,

ona sama gotowa na koń sięść i stanąć na czele wojsk, w obronie praw Rzeczypospolitej.

Pogardliwy uśmiech ukazał się na ustach podskarbinsy.

— O! jużby teraz do Gdańska nie dojechała!—szepnęła z przekąsem; ale smutek zasępiał jej czoło.—Ha! będziemy się więc musieli jakoś obejść bez hetmanów—zakończyła.—Ale czy oni i ich żony wyjdą na tém dobrze, nie wiem. Idź wacpan już, spocznij—dodała, rękę mu wyciągając do pocałowania—proszę o sobie pamiętać.

To mówiąc, zwróciła się i powoli, z głową spuszczoną odeszła do swego pokoju.

— Ha—rzekła do Spieglowej, która oczekiwała na nią—dwie hetmanowe wojnę wypowiedziały królowi i feldmarszałkowi. My chyba we dwie z tobą, moja Aurorko, na czele wojsk saskich przeciwko nim wyciągniemy.

Rozśmiała się szydersko i smutnie.

— Gotujmy amazonki, nie obejdzie się bez nas!

Lat kilka upłynęło od opisanych wypadków, a w położeniu i stosunkach osób, któreśmy dali poznać czytelnikom naszym, napozór małe tylko i nieznaczające zaszczyły zmiany.

Obalenie Fleminga gwałtowne okazało się niepodobieństwem; podkopywano go jednak w Saksonii, starano się zohydzić w Polsce i sparaliżować tam wpływ jego. Intrygi skutkowały niewidocznie, powolnie, lecz znaczenie feldmarszałka i zaufanie jakie miał u króla słabło. Podszepety Vitzthumów, doniesienia Watzdorfa nie zdołały mu jawnie zaszkodzić, ale August stygnął i tracił wiarę w niego. Fleming przestał być wyrocznią, rachuby jego chybiły, czas upływał,

a kroku naprzód uczynić nie zdołano. Zwłoka w sprawach rzeczypospolitój, ciągle przygotowywanych do ostatecznego rozwiązania, a niedających się rozciąć mieczem, jak węzeł gordyjski, niecierpliwiła króla najbardziej. Mieczem bowiem tylko mogło się dokonać to, co Fleming zamierzał; z dobrej woli rzeczpospolita na radykalne zmiany swych ustaw, które wiekami z żywotem jej się zrosły, nie mogła się zgodzić.

Poruszenie przeciwko wojskom cudzoziemskiego autoramentu, których komendy król ani Fleming do rąk hetmanów zwrócić nie chcieli, nie tylko nie ustawało, lecz rosło z każdym rokiem. Zrywano jedne po drugich, wołając przede wszystkim o przywrócenie władzy hetmanom, pozbawionym prawa lokowania wojsk, dystrybuty hyberny, wydawania asygnacyj i t. p.

Unikając osobistego występowania we własnej sprawie, hetmanowie, a raczej dwie ich małżonki wszechmogące, nasyłały ze swęj ręki na sejmiki szlachtę, która coraz głośniej i zuchwalej pokrzykując, domagała się reintegracyi panów hetmanów. Niektórzy chcieli tylko, aby im przywrócono komendę i buławę, a nie władzę „co do pióra“ (asygnacye); lecz wszyscy zarówno jednocześnie żądali odepchnięcia Fleminga, którego nie posądzano, ale obwoływano napewno wrogiem i napastnikiem na prawa i wolności rzeczypospolitój.

Nie odpowiadając na tę wrzawę, ale ustąpić nie chcąc, Fleming, czując się jeszcze za słabym do porwania się na zamach stanu, nowym zwrotem swęj polityki usiłował siły, któremi w Polsce rozporządzał, powiększyć. W tym celu, pod pozorem obawy od północy i potrzeby obrony, utworzył ligę, rzekomo przeciwko Piotrowi, da-

wnemu sprzymierzeńcowi Augusta, wistocie zaś aby mieć powód do wprowadzenia wojsk do kraju. Wciągnął do niej cesarza Karola VI, króla angielskiego, jako księcia hanowerskiego, i ze strony rzeczypośpolitéj przyrzekł dziewiętnaście tysięcy ludzi. Cesarz dać miał szesnaście, Saksonia sześć, Brunświk osiem. Spodziéwał się Fleming, iż postrachem wymoże ratyfikacyą téj umowy na sejmie, lecz sejm spełził na niczém, z powodu komendy i skryptu, a wrzawa, przekleństwa i oburzenie przeciwko Fleningowi urosły do najwyższego stopnia. Nie miały już miary gniewy na tego, którego „niegodziwym zdrajcą i zbójcą nazywano.“ Nie było w kraju zakątka, gdzieby imienia jego, jako przyczyny wszystkiego zła, nie przeklinano. Król naglił o rozwiązanie, które w warunkach, w jakich się kraj znajdował, było niemożliwe. Fleming czekać kazał, a rzeczy, zamiast się poprawiać, pogorszały, rozdrażnienie wzmagало, dwór tracił najwierniejszych adherentów, odstępujących go ze strachu.

Wszystkie te fakta wielkich rozmiarów, zbliżka widziane, rozpadały się na sieć drobnych, niedostrzeżonych intryg i pokątnych knowań. Sprawa kraju, zamiast płynąć majestatycznie jednem wielkiem korytem, rozciekała się tysiącem małych strumyków. Król zabawiał się tymczasem, aby o troskach zapomnieć, według dawnego obyczaju, lecz już nie z dawnym zapalem i ochotą. Przeszło pół wieku przeżywszy wśród burz i dramatów, mimo żelaznego temperamentu, August starzał i zmysły jego tępiały. Nie go ani zbytnio zając, ani przyciągnąć i stale zając nie mogło.

Fleming, widząc gozniechęconym, zobojętniałym dla siebie, choć sam często gotów był ręce

opuścić, jako ostatecznego lekarstwa używał swęj wielkiej idei, ukazując mu ją jako cel w przyszłości, godzien nadzwyczajnych wysiłków i ofiar.

— Najjaśniejszy panie—powtarzał mu—tak olbrzymiego dzieła, jakiém będzie połączenie dwu krajów w jedno silne mocarstwo, które w pośrodku Europy zajmie stanowisko przeważne, nie można dokonać w jednéj chwili. Wymaga ono przygotowań długich, rozważań i rachuby, ale przyszłość dynastyi waszëj królewskiejsi mości zapewni.

Król wistocie myślał się tą zdawał rozgrzewać, a choć sejmy zrywano, burzono się i wykrzykiwano, stał dotąd uparcie przy Flemingu i komendzie jego.

Vitzthumowie, Watzdorf, saskie stronnictwo na dworze, choćby zapewne nie miało przeciwno wielkiejsi monarchiis dziedzicznëjsi, żartowało sobie z niëjsi jak z marzenia, nigdy niemogącego się ziszcic, a Saksoniis zgubą i ruiną grożącego. Polaków tu obwiniano o niewdziëcznośc i przezwierstwo. Przed królem zaś, samnasam, Vitzthum podszeptował, że zrażając szlachtę, traci się nadzieję wyboru królewicza na tron, o który przedewszystkiëmsi starać się było potrzeba.

Król, jak całe życie swenicbardzo był pewien, czyjëjsi radzie dać piërwszeństwo, jednëmsi uchem słuchał Vitzthuma, drugiëmsi Fleminga, do którego długie nawykniecie i wyższość jego nad płochym Vitzthumem przewagę mu dawały.

Fleming, który dawniëjsi zręcznie kobiet używał do swych celów, teraz zrozpaczył niemal, aby która z pań, przesuwających się tylko przez dwór i za kulisami, mogła Augusta do siebie przywiązać. Vitzthumowie nastroczali różne

piękności napróżno; trzeba było czegoś niesłychanego, nadzwyczajnego, poczwarnego może, aby króla zająć i odżywić.

W pierwszej chwili nowość zawsze pociągala go, ale w dni kilka już nią być przestawała. Fleming wkońcu wyrzekł się tego srodka i nabrał przekonania, że płochę miłości skończyły się nazawsze; podzielała to przekonanie podskarbina, a milczała Spiegłowa.

Korzystając z tego, strona przeciwna, która w usposobieniach pana przez Vitzthuma była uwiadamianą, starała się coś wyszukać, coby króla starzejącego stale i gorąco zajęło. W tym spisku byli wszyscy przeciwnicy feldmarszałka, jawni i skryci.

Sejm pacyfikacyjny, pomiędzy innemi warunkami, któremi króla związał nanowo, postanowił i ten, ażeby dłużej nad trzy miesiące w Saksonii nie przebywał. Nie spełniało się to bardzo ściśle, ale dla jednania sobie wzburzonych umysłów, dla rozrywki, August corok z wiosną zjeżdżał do Polski, a sejmy go téż zmuszały do odwiedzania Warszawy i Grodna.

W tym roku sejm się znów miał zebrać w Warszawie i dwór gotował się do podróży. Vitzthum był nieodstępny. Z chwilowych miłośnic pańskich nie było żadnej, któraby dostąpiła zaszczytu towarzyszenia mu do Polski. Vitzthumowie mieli nadzieję, że coś potrafią wynaléźć w Warszawie, gdzie król dawniej znalazł był Lubomirską, Denhoffową, Henryetę Duval, nie licząc mnogich fantazyj innych, które nad jeden sejm nie trwały.

Na porządku dziennym w radzie starych pan, zbierających się u Racheli, było znalezienie osoby, któraby króla opanowała i przez którąby

opanować go można. Do spisku tego należeli Lubomirscy, syn króla Rutowski (ze Spiegłowój), Vitzthum i innych wielu. Pułkownik Rutowski, który właśnie poprzedził króla do Polski, zaklinał się z niechęci dla Fleminga iż znajdzie klin, którym go wysadzi.

Tymczasem nasz pan Serwacy, po zupełném wyleczeniu się z rany, jednego dnia, namysliwszy się dobrze, stawił się u podskarbiny i z pokorą, a wyrazami wdzięczności, prosił jęj o uwolnienie ze służby. Potrzebował się dowiedzieć i do swoich Gierdzieliszek, a może téż na myśli miał zboczyć do Wilna i zajrzeć do Domci, o której sobie marzył często. Marzenia to były osobliwe zaprawdę. Serwuś nie kochał się gwałtownie, a pozbyć się nie mógł jęj wspomnienia. Wyśmięwany za swe niezgrabstwo przez dwór żeński podskarbiny, straciwszy wiarę w siebie, był tego przekonania, że ze swą powierchownością wstrętną ani serca kobiety pozyskać, ani szczęścia jęj dać nie może. Więc ilekroć puścił cugle wyobraźni, oburzał się sam na siebie, łajał się i postanawiał nie myśleć o tém więcej.

— A co jęj po takim jak ja dragalu?—mówił.—Ot tobym ją dopięro uszczęśliwił!

I pluł a gniwał się na siebie. Gdy podskarbina posłyszała z ust jego prośbę o uwolnienie, zdziwiła się, dotknięta tém mocno. Wprawdzie się była pognięwała na niego za wystąpienie śmiało i sama nawet pozbyć się go postanowiła, ale później. Rana, choroba, poświęcenie się dla honoru domu, wreszcie nałóg i nawyknięcie, myśl że wierniejszego nie znajdzie sługi, zmieniły usposobienie pani Przebendowskiej.

— Ale dlaczegóż acan chcesz mnie porzuścić?—odezwiała się głosem dosyć łagodnym, pod-

nosząc nań swe niebieskie oczy—czy ci tu tak zle u nas? Gierdzielizki, które ci mój mąż dał, możesz albo puścić dzierżawą, albo sobie czasem do nich dojeżdżać. Ja—bo tu, doprawdy, niktogo na jego miejsce nie znajdę. Ale nie, nie! co znowu za fantazyja?—dodała żywo—acan mnie nie opuścisz, ja nie pozwalam. Dostyć będzie czasu na wieś, gdy postarzejiesz.

Pani Spiegłowa, przyjazna Serwusiowi i mająca nad nim pewną władzę, przystąpiła także, przekonywając go, że tego czynić nie powinien.

— Do czego ci się to zdało?—rzekła.—Zaszyjesz się na wsi, zmarniejesz. Tu masz życie spokojne, a podskarbinie jesteś potrzebny.

Sądząc, że dosyć szczupłe wyposażenie mogło wpłynąć na to postanowienie, Przebendowska oświadczyła się z gotowością powiększenia zasług we dwójnasób. Na to Serwus się nadzwyczaj oburzył, zaczął jękać i bełkotać i stanowczo odrzucił ofiarę.

— A już, jeśli ja jaśnie pani naco jestem potrzebny a mam zostać—zawołał—to, tak mi Panie Boże dopomóż, bez tych pieniędzy. Nie chcę ich znać i nie przyjmę.

— No, zostan jak jesteś—odezwiała się podskarbina, poruszona tą szlachetnością—ja ci nawzajem daję słowo, że twoich zasad republikańskich nie tknę i nie użyję cię do niczego, co w tobie wstręt obudza.

To mówiąc, uśmiechnęła się z politowaniem i na tém się skończyło. Serwus został na miejscu.

Uwiadomiony o tém podskarbi nic nie miał przeciwko temu. Pojechał tylko Serwus na dwa miesiące do Gierdzielizek, aby tam zaprowadzić jakiś porządek i zlecić go opiece Derengowskiego

a wracając, wstąpić do pana podkomorzego Gintowta, który go oburącz ściskając, przyjął serdecznie.

Podkomorzy, któremu, jak sam powiedział, niegdys F'leming oczy otworzył, teraz był jednym z najzagorzalszych przeciwników feldmarszałka i na sejmikach domagał się powrócenia skryptu, aż chrypl. Forytowano go do sejmu i niebardzo się temu opierał.

Wilno téż było Serwacemu jeżeli nie po drodze, to niewiele z drogi; wstąpił do woźnego. Tym razem los zrządził, że panny Domicelli nie zastał; bawiła u ciotki na wsi, około Wilejki. Stary Jeremi przy kieliszku, tak ni z tego ni z owego, przebąknął, wpatrując się w Serwusia, że dziewczynie się coś trafiało.

— I czasby ją za mąż wydać—rzekł—szkoda aby przy nas starych męczyła się i marniała. Dziewczyna złota, serce, rozumek, charakter, jakich na świecie niéma. Ano i liczko niczego, a da Bóg, po najdłuższém życiu naszém, coś się tam znajdzie w kuferku. Domina także wart parę groszy.

Zmieszany Serwuś począł tylko potwierdzać słowa ojcowskie, że panna Domicella bodaj królewicza warta. Unosił się w pochwałach dla niej, poruszył mocno, ale więcej słowa rzec się nie ważył.

Wyszedłszy od woźnego, smutny był jak noc, zły na siebie i losy swoje, co go tak upośledziły; ale się pocieszał czystém sumieniem.

„Gdziebym ja miał dziewczynę gubić, los jój zawiązywać—mówił do siebie—żeby się potém z nią ludzie wyśmiewali, że ją do takićj tyki niezgrabnej przywiązano. A niech Bóg uchowa!“

Poszedł do bernardynów i heroicznie dał na mszę świętą na tę intencją, aby jój Bóg w przyszłym pożyciu błogosławił; niechaj będzie szczęśliwą z innym, byle była!

O sobie pocziwy Serwus ani myślał. Potrzeba też było powracać do Drezna, z którego się podskarbina nie ruszała.

Pożegnawszy się z woźnym, pusił się tedy w drogę, bardzo przybity i markotny. Od staro się jakoś dowiedzieć nie potrafił, kto się pannie Domicelli stręczył, a prawdą a Bogiem naówczas nikogo nowego nie było tak dalece. Woźny zażył był tego fortelu, sądząc że mu się może uda Serwusia na deklaracyą wyciągnąć, bo wiedział że córce miły był, jemu zaś i żonie jak własne dziecko. Tymczasem się nie powiodło.

Następnego roku znowu jechał Serwus do Gierdziszek, dla zobaczenia co się tam dzieje. Wahał się mocno, czy zawrócić do Wilna. W palce stukał, myślał, coś go ciągnęło i zboczył. Nieszczęśliwie trafił. Dom był w załobie. Siwa Kasia umarła niedawno. Woźny ze strapienia po niej nogami suwał, zgarbił się, postarzał mocno; Domcia była wymizerowana, blada, zmieniona, smutna. Gdzie tu było pomyśleć nawet o oświadczynach? Starał się tylko dowiedzieć o kawalera. A był nim właśnie pisarz z kancelaryi trybunałskiej, Prządkowski, chłopak ładny, nie głupi, ale szalona pałka. Parę razy podchmielony wpadł do woźnego, lecz Domcia go się obawiała i nie życzyla. Tyle mu powiedziała.

Przyjęty serdecznie, Serwus przesiedział tam godzin kilka, starając się pocieszać ojca i córkę. Z wielkim afektem i respektem pożegnawszy pannę, powrócił do Drezna.

Upłynął rok znowu, a do Wilna i do Gierdzie-

liszek nie było sposobu dojechać. Serwus, wzdychając, myślał sobie, że Domcia pewno za męża wyjść musiała. „Więc poco ja tam jechać mam i serce sobie psować?“ mówił. W istocie biedna Domcia, na którą ojciec mocno nalegał, że spokojnie umrzeć nie będzie mógł, dopóki jęj za mężem nie zobaczy — choć się wypraszała mocno, zmuszoną była dla ojca oddać rękę temu szalawile Prządkowskiemu, który niby to się miał ustatkować. Chłopak przyczał się tylko, a udawał pokornego, a zaraz po ożenieniu, wniósłszy się do domku na Zarzeczcie życie rozpoczął hulaszczę, do którego nawykął. Wszczęły się zwady ze starym ojcem; gryźł się woźny i siedywał po całych dniach w kościele, nie chcąc na to patrzeć, co się działo w domu; obległ potem ku zimie i na rękę córki Bogu ducha oddał.

Gdy następnego roku z Gierdzicliszek znowu Serwus o Wilno zawadził, wahał się zająć na Zarzeczcie, bał się nawet pytać o woźnego, gdy w ulicy spotkał Domcię w żałobie, powracającą z kościoła. Była najnieszczęśliwszą z kobiet, bo mąż, po śmierci woźnego, którego się trochę obawiał, począł się z nią nielitościwie, grubiańsko obchodzić. Zobaczywszy Serwacego, Domcia się rozplakała tak okrutnie, że się utulić długo nie mogła. Poczęła mu potem opowiadać dolę swoją, a gdy łoży na jego oczach postrzegła, oburzenie i zajęcie jęj losem, wybuchnęła biedaczka.

— A! panie, Serwacy! wstyd mi to mówić, i dziś już poczasie. Ja sobie zawsze o was myślałam, Pana Boga prosząc o to, żebyś się ty zemną ożenił. Pan Bóg znać tego nie chciał.

Rozplakała się, oczy zakrywając. Serwus, posłyszawszy to, chwycił ją za drżącą rękę.

— A! moja dobrodziejko ty złota! Aniele ty mój! Dolaż moja nieszczęśliwa! Jam tylko tego pragnął, jak królestwa niebieskiego; największeby to szczęście było dla mnie. Ale jakże ja miałem moją nikezemną, paskudną figurą pannie los zawiązywać? Sumieniabyś nie miał. Com się ja namęczył, ale nie śmiałem!

Serwus się na dobre rozplakał, a Domcia aż się zachodziła, chustką tuląc łzy i łkanie. Pobrawszy się tak za ręce, milcząc, patrząc na siebie, stali chwilę we wzruszeniu wielkiem. Nie było już rady. Grzech nawet myśleć o tém!

Serwacy gorąco ją poczał w ręce całować.

— Bóg mnie pokarał—rzekł.—Miałem w ręku szczęście moje jedyne i nie doszło mnie. Dobrodziejko ty moja, póki żyw cię miłować będę! Nie daj Boże, ale gdybyś kiedy mnie potrzebowała jak brata, a ja się wam na co przydał, nakazuj—życie dla ciebie dam!

Prządkowska podziękowała smutnie. Poszli jeszcze kawałek drogi ze sobą razem i poczęła mu o swoim życiu opowiadać, jak jój mąż niegodnie się ze starym ojcem obchodził, jak domu nie pilnował, że w mieście miał dawną kochanicę, wdowę majątną, która iść za niego nie chciała, a durzyła i od żony odciągała. Mówiła mu Domcia, że tylko o śmierć Pana Boga prosi. Popłakali się znówu, gadali długo i nagadać się nie mogli. Odprowadzał on ją, potem ona jego, aż się musiał wyrwać zdesperowany i tegoż dnia pod noc z Wilna wyjechał, ze zranioném sercem, na służbę powracając.

Dał sobie słowo uroczyste, że póki żyw, do żadnej kobiety się nie zbliży i o ożenku nie pomyśli. Być też może, iż mimowoli nadzieję jakąś żywił, że kiedyś Domcia będzie wolną. Ale

się pewno zaraz z tego wypowiadał, jak z grzesznej myśli, bo człowiek był sumienny i wielce pobożny.

Republikańskie przekonania Przebendowskiego, od czasu rozmowy z ks. Trzeciakiem, mocno się jakoś były zachwiały. Potem ulegały one nieustannym fluktuacyom. Czasami, gdy samnasam z książkami swemi został, powracał mu animusz szlachecki, a gdy wpadł między panów braci, przypatrzył się im zblizka, posłuchał rozpraw na sejmie, na zjazdach, gniéwał się i ochota go brała ład jakiś, choćby siłą, wprowadzać.

Sam już dobrze nie wiedział ani czego życzyć, ani z kim trzymać. Lecz że nie go nie zmuszało czynnym być, patrzył więc tylko i ramionami zżymał, a gdy srodze się zgryził, szedł do kościoła i modlił się gorąco.

W tym roku pani Przebendowska, z powodu że znienawidzony w Polsce i coraz bardziej wstrętliwy wszystkim Fleming, w Warszawie się pokazywać nie mógł i na sejm nie jechał z królem, musiała dla czuwania nad intrygami w zastępstwie brata jechać ze Spiegłową. Mogła ztąd przynajmniej donosić wiernie o przebiegu całej sprawy. Serwacy otrzymał rozkaz, aby jej towarzyszył. Dosyć to mu było na rękę, bo wolał być pomiędzy swoimi i rozsluchać się zblizka, co się tam działo.

Gdy do stolicy przybyli, gdzie Przebendowscy pałac mieli, podskarbina część jego zajęła ze Spiegłową nieodstępna. Szlachty już się zjeżdżało wiele, wrzało tu wszystko i poruszało się jak na drożdżach, ale regalistom ani się odzywać dano.

Jednym głosem przeklinano Fleminga, odgra-

żano się przeciwko lidze, wołano o oddanie skryptu, o przywrócenie władzy hetmanom, grożąc nowém sejmu zerwaniem, jeśliby rzeczy do dawnego nie wróciły porządku. Biskup Szaniawski, Ossolińscy, Karwowski, Ogińscy, Kociell, Gałęcki i inni, Sasom oddani, nawet się już odzywać nie śmieli, chowając po kątach.

Serwacy, ile razy z domu się wyrwał na miasto, a spotkał ze znajomymi, których miał wielu, powracał, potrząsając głową dziwnie i źle wróżąc Flemingowi. Nie pytano go o to, więc milczał.

Przybyła z podskarbiną pani Spieglowa znalazła w Warszawie pociechę razem i niepokój, dowiadując się (czego nie była pewną), że syn jój, hrabia Rutowski bawił tu, oczekując na króla.

Stosunki matki z nim, jak wielu innych przyznanych dzieci króla z matkami, były osobliwszego rodzaju. Hrabinie Cosel odebrano wszystkie dzieci; tak samo i Spieglówój syna, którego kochała bardzo, zawczasu odjęto i uczyniono go niemal obcą dla niej istotą.

Rutowski (nazwany tak od rucianego wianka w herbie saskim) oddany był najprzód na wychowanie do Francyi, wstąpił potem z rozkazu ojca w służbę Wiktora Amadeusza króla Sabaudyi, krótki czas znajdował się w wojsku pruskiém Fryderyka Wilhelma I, który tak się z nim obchodził, iż wytrzymać tu nie mógł. Wrócił więc do służby saskiej i, używany przez króla do różnych wojskowych spraw, dość przez niego lubiony, w nieustannym był ruchu. Odpowiadało to jego żywemu charakterowi.

W tém życiu burzliwém a swobodném, Rutowski między wojskowymi nabrał był obyczaj-

jów i wyobrażeń, które dla dumnej, szlachetnej matki rażące się wydawały i nieznosne. Kochała go i martwiła się, widząc tak płochym. Był to żywy obraz króla-ojca, z większemi od niego zdolnościami, a z równem mu lekceważeniem świata. Ta sama płochość w postępowaniu, lenistwo ducha, pogarda dla praw moralności powszedniej, nad którą syn królewski, równie jak król, chciał być wyższym. Wojskowy z powołania, chowany w obozach od lat najmłodszych, Rutowski prowadził życie żołnierskie, pił, grał i swywoilił; młody i piękny, wstępował w ślady ojca, bałamucąc się i zajmując coraz nowemi miłostkami, wśród których nie przebiebrał wcale.

Po przybyciu do Warszawy, Spiegłowa przez dni kilka napróżno wyglądała odwiedzin syna, chociaż wiedział o niej dobrze. Irabia Rutowski tak był zajęty paradami wojskowemi, które dla ojca przygotowywał, fetami dworskimi, zabawą i trzpiotostwem, że matki odwiedzić nie mógł.

Nudziło go téż, że Aurora, za każdym z nim spotkaniem, dawała mu macierzyńskie nauki i starała się swywoolnika niepoprawnego na poważniejszą prowadzić drogę.

Po długim i tęsknym oczekiwaniu, jednego wieczora wpadł nareszcie Rutowski do matki, która wybiegła naprzeciw niego, do łez prawie wzruszona.

Pułkownik był ujmującej powierzchowności, pełnym wdzięku młodzieńcem; matka więc jej go może kochała niż córkę, a mimo to nie mogła się wstrzymać od okazywania wstrętu, jaki w niej sprawiał niesłychaną płochością swoją.

Nim się tu zjawił, doniesiono już pani Spie-

głowój o pogłosce, która przebiegała miasto. a ją przeraziła i niemal zmartwiła. Rutowski znalazł był w Warszawie piękną bardzo, jak głośzono, ale dziwnie téż płochą i mimo młodości zuchwałą, niepohamowaną dziewczynę, która miała być córką Henryety Renard, żony restauratora Duval, i króla Augusta. Sławna ta Anusia, już wprzód nim ją wyszukał Rutowski, dokazywała z wojskowymi w Warszawie, tak że ją palcami pokazywano. Grała w niej owa niepohamowana krew królewska. Dziewczę miało upodobanie szczególnie w wojskowych zabawach, koniach, mundurach, mustrach, władało szpadą, dosiadało swywołnych wierzchowców i przybrało obyczaję napół męskie. Znajdowano, że jój to nadzwyczajny urok dawało. Rutowski, zobaczywszy ją, zajął się był niezmiernie tą siostrą, ale złe języki utrzymywały, że stosunki wcale nie były braterskie. Samo posądzenie o to oburzało i gniewało Spiegłową. Za pićrwszém widzeniem więc postanowiła mocno zbурczyć syna i wymóđz na nim, aby z szaloną dziewczyną zerwał stosunki, a zgorszenia nie dawał.

Zobaczywszy wchodzącego pięknego królewicza, matka rozplakana rzuciła mu się na szyję. Na twarzy pułkownika panowała jasność, pogoda, niepamiętne na nic wesele. Najnniejszego śladu zgryzot sumienia i walki.

Spiegłowa, nierychło łzy utamowawszy, wprowadziła go do siebie, a Rutowski, śmiejąc się ciągle, wesoło ręce jój całował.

— Kochana mamó — zawołał po francuzku, czystym akcentem Paryżanina — pojmuję żeś mogła płakać po mnie, gdy mnie nie było, bo i ja, doprawdy, mocno tęskniłem za tobą; ale teraz,

gdyśmy razem, *pardieu*, trzeba się weselić! Czegoż płakać?

— Mój drogi—odparła matka—czyż nie wiesz że u nas kobiet największa radość prawie zawsze tłumaczy się łzami?

— No, a zatem niech się mama prędko wypłacz—dodał Rutowski—i zacznijmy się cieszyć sobą.

Usiedli więc przy sobie do rozmowy. Rutowski nie pilniejszego nie miał nad to, by się pochwalić wielką dobrocią ojca dla siebie. Przedmiot ten uczynił go gadatliwym.

— O teraz—rzekł po chwili—gdy mi już wolno zostać w wojsku saskim, dopóki mnie z niego, jak Maurycego, Fleming nie wykole, będąc ciągle z królem i przy królu, spodziewam się na większe jeszcze łaski jego zasłużyć.

— Alc feldmarszałck—przerwała matka—nigdy nie był przeciwko tobie, przeciwnie.

— On! — rozśmiał się pułkownik—on! nie wiem, chybabym tą powolność jego winien był podskarbinie i tobie. Całemu światu wiadomo, czym jest Fleming. Pozbył się ze służby Schulenburga, wygryził z niej Patkula, wypędził Secken-Jorfa, zmusił ustąpić Schmettana i Sessana, bo sam chce być wszystkiem.

Spiegłowa poruszyła się, chcąc mu zaprzeczyć, ale syn zaczął ją po rękach całować i mówić jój nie dał. Nierychło mogła się odezwać.

-- Mój drogi Guciu, żyjesz ciągle pomiędzy ludźmi, którzy zazdroszczą feldmarszałkowi szczęścia jego, nienawidzą go, bo im zawadza. Przejąłeś się ich uczuciami i nie oddajesz mu sprawiedliwości. Fleming...

— Fleming—przerwał gwałtownie Rutowski—jest nieprzyjacielem nas wszystkich, a myśli tyl-

ko o sobie i swoim worku. Wy, *chère maman*, żyjecie w domu i kole jego, przejęliście się dlań miłością zrozumiałą dla mnie; ale, darujesz, że ja jój dzielić nie mogę. Papa powinien się raz pozbyć jego opieki. W Polsce z nim nic nie robi, bo go tu nienawidzą, w Saksonii go nie cierpią, w Berlinie się nim brzydzą, w Wiedniu się nań krzywią. Została mu tylko miłość siostry i wasza. (Powtarzał, co Vitzthumowie mówili).

— I szacunek i miłość króla, której intrygi żadne nie wydrą—zawołała Spiegłowa.—Byłoby to dla wszystkich nieszczęściem, gdyby Vitzthumy i Vatzdorfy górę wzięły.

— A wezmą, kochana mamo—rozmiał się Rutowski, poprawiając w zwierciadle peruki i mundur—wezmą! do tego się wcześniej przygotować potrzeba. Ja ci to mówię.

— A ja ci mówię że nie—zaprzeczyła Spiegłowa—ja króla znam. Król się bawi intrygami, słucha co mu donoszą, zżyma się może czasem na feldmarszałka, ale wie że to jedyny człowiek, na którego rozumie polegać może.

— Osobliwy rozum — parsknął Rutowski — który w walce z głupimi i pospolitymi ludźmi zawsze bywał pobijany. Ale dajmy temu pokój, *chère maman*. Ja mojej mamie nie bronię kochać Fleminga, a ty nie możesz mi zakazać się nim brzydzić. Nie lubię go, nie cierpię! Mówię otwarcie, że gdy mu zaszkodzić potrafię, uczynię to z całego serca.

— Niegodziwy jesteś!—zawołała Spiegłowa zniecierpliwiona. — Po tak długim niewidzeniu przychodzisz z tém, abyś mi uczynił przykrość największą.

Rutowski, śmiejąc się, począł ją w ręce całować.

— *Chère maman!* — zawołał. — Jeżeli tak, to się drugi raz przyjąć nie odważę.

— Dobrze że mi to zapowiadasz wcześniej — przerwała matka. — Zatem pośpieszę się z tobą rozmówić zawczasu o jedném jeszcze, co mnie niewymownie boli, a co się ciebie tyczy.

— Zawsze tylko wyrzuty i bury! — westchnął piękny Rutowski z rodzajem rezygnacyi — Ależ to okropna rzecz!

— Mój drogi, dlaczegóż zasługujesz na to? — zapytała matka, spuszczać oczy. I, jakby niełatwo jej przyszło przemówić do syna, zamilkła, po przestanku długim zaczynając głosem zmienionym: — Radabym żebyś mi zaprzeczył. Słyszę wsząd znowu o jakiegoś Anusi, córce Duwala, która ci ma zawracać głowę. Mów, tłumacz się, uspokój mnie!

— Otóż widzi *chère maman* — zakrzyknął Rutowski — widzi mama, jak to ludzi sądzą. Jedyne mój dobry i szlachetny uczynek, jaki w życiu spełniłem, ściąga na mnie krzyki i gniew mamy! Dziewczyzna śliczna, wyśmienita, wesola, byłaby się zwałala, gdybym ja jej nie wyciągnął z błota.

— Ludzie mówią, że to córka króla, przyrodnia siostra twoja — przerwała Spieglowa gwałtownie.

— A! bardzo być może! — uśmiechnął się Rutowski, ramionami ruszając obojętnie. — Któż to wie? Prawda że do króla jak dwie krople wody podobna, ale co mnie obchodzi wątpliwe i tak dalekie pokrewienstwo? Anusię królowi przedstawię i zobaczy mama, że opanuje go.

Spieglowa brwi zmarszczyła.

— Król ją przyzna — ciągnął Rutowski — wy-

posaży, zawróci mu głowę, rozerwie go i my przez nią...

Nie dokończył, spostrzegłszy że się wygadał do zbytku.

— Zrobimy z niej wielką panią!—dodał.

— Zróbcie z niej kobietę uczciwą!—surowo wtrąciła Spiegłowa.

— *Al chère maman*, ona będzie bardzo poczcivą, to pewna—rzekł Rutowski.—Serce ma najlepsze, ale pryncypjał najniebezpieczniejszy. Doskonale widać z dziewczyny. Papa się okrutnie nudzi, potrzebuje rozrywki, *du nouveau n'en fut il plus au monde*. Ona wniesie nam na dwór wesołość, rozrusza go. Ja zaś, który ją kocham i pochlebiam sobie, że zyskałem też jej serce, ja przez nią u-papy wyrobię, co zechcę.

Spiegłowa poruszyła ramionami, odwracając się od syna.

— Wszystko to bezecne jest — zawołała — obrzydliwe, szkaradne!.. Gubicie ją!

— Ja jej na sumieniu nie mam!—ciągle wesoło się śmiejąc, począł pułkownik.—Wprzód niżśmy się poznali, miała już czułe stosunki z oficerami. Teraz już ja jej nie dopuszczę z żadnym ankanaliować. Gdybyś ją mama zobaczyła, co za słodka dziewczyna! Na koniu, powiadam mamie, przebrana po mężku, choć się jej pod nogi położyć!

Spiegłowa, gryząc usta, milczała.

— Auguste—odezwiała się tonem goryczy pełnym—powtarzam ci: to ohydne!

— Mama bo—przerwał Rutowski — podstawiając teraz, stała się nadzwyczajną rygorystką i wszystko bierze tak seryo! To są przecie rzeczy, trafiające się i w Biblii, i po świecie. Kto by tam wchodził w genealogie tego rodzaju?

Niech mama się rozchmurzy, ja tego marsa na jéj ślicznej twarzy nie lubię.

I przysiadłszy się do matki, począł ją całować po rękach, które ona mu wyrwała. Cisnęła sobie skronie i zakrywała oczy.

Dała wreszcie znak, aby o tém nie mówił więcej. Rutowski posłuszny zamilkł, lecz widząc niezmieniające się smutne i gniówne usposobienie matki, a nie znosząc twarzy chmurnych, począł już szukać rzuconego gdzieś kapelusza i zabierać się do wyjścia.

Nagle Spiegłowa, prawie płacząc, zarzuciła mu ręce na ramiona.

— Auguście mój! — zawoła błagająco — nie bądź płochym! Wszystko to źle się skończyć musi, a zgryzoty, ból i smutek prowadzi za sobą, Gucciu—dodała cicho—proszę cię, porzuć tę nie-szczęsną dziewczynę!

Rutowski parsknął śmiechem.

— *Chère maman!*—zawołał—nie ja ją, to ręczę że ona mnie porzuci. Proszę się nie obawiać o to. Balamutka z niéj gorsza jeszcze odemnie. Dziś się kochamy jak gołębie, jutro, gdy się na dworze pokaże *chevalier de Saxe*, Moryś, wszyscy ją będą balamncili i ona ich wszystkich. To oficer od luzarów w spódniczce!

Rutowski pocałował matkę w rękę.

— Niech się mama nie frasuje i nie martwi—rzekł.—Ja Anusię oddam królowi, niech z nią sobie robi, co chce. Jestem dla niéj *oiseau de passage*, nie myślę o żadnym trwałym stosunku; ale dziś, *chère maman*, dziewczę tak urocze, zabawne, że niepodobna nie szaléc dla niéj.

Spiegłowa z okrzykiem oburzenia odtrąciła go od siebie.

W zapatrywaniu się na całą tę sprawę pułko-

wnika, było coś tak naiwnie cynicznego, tak lekkomyślnego, iż Spieglowa uszom swym prawie wierzyć nie chciała; lecz przez niego mówił duch ojca, dworu, wieku, tych kół, co się w swém przekonaniu nad wszelkie prawo wyżej stawiały. Mytologiczny Olymp, za którego bóstwa tak chętnie się przebiérano, był dla nich jedynym wzorem. Jupiterowi godziło się wszystko, co na chwilę mogło go rozerwać i dziwactwu dogodzić.

Spieglowa płakała znowu, a syn jój śmiał się z tego strapienia, którego naprawdę nie mógł zrozumieć i które wydawało mu się dziecięcym.

— Zobaczysz mama — dodał — jestem tego pewnym, że wkrótce król Anusię za córkę przyzna, a to mnie w oczach mamy uniewinni. Że mnie za to śliczne dziewczę pocałuje i uściśnie, *ma foi*, przynajmniej tyle mi się od niój należy! Gdyby nie ja, przepadłaby.

Spieglowa szeptała ciągle, na wpół do siebie, na wpół do syna:

— Siostra! siostra!

Pułkownik ramionami zżymał.

— Gdyby nawet tak było, przyrodnia — rzekl. — Nie mówmy już o tém. Ja mnichem nie jestem, nie zapicram się że kocham Anusię, lecz słowo daję, za siebie i za nią, że to nie potrwa długo. Papa ją wyda za jakie małe książątko niemieckie, które się przeszłością formalizować nie będzie.

Matka odepchnęła go powtórnie.

— Okropny jesteś — odezwała się głosem poruszonym. — Milcz, proszę cię, milcz!

Rutowski właśnie był znalazł kapelusz i zabięrał się do wyjścia, nadąsany.

— Widzi chère maman, co ja mam począć

z mamą? Nie przychodzę, źle — przyjdę, dostaję burę i połajanie! Ja wymówek słuchać nie mogę, to mnie męczy. Nikomu złego nie czynię, ale żyć i bawić się muszę i szukać zabawy, *par tout ou je la trouve*.

To mówiąc, schylił się, by matkę w rękę pocałować, lecz rozgniewana, wyrwawszy ją, bez pożegnania posunęła się Spiegłowa ku drugiemu pokojowi.

Rutowski stanął w pośrodku salonu, zżymając się. Nie poszedł już za matką, tylko zawołał zdala:

— Żegnam, *chère maman*, żegnam. Nie powrócę, aż się mama wygniewa i zapomni, bo to doprawdy śmieszne. Jedyny mój piękny czyn w życiu i zato bura! Otóż sprawiedliwość! *Ma foi!*

Matka nie musiała już słyszeć ostatnich słów, wyszła bowiem, drzwi zatrzaszawszy za sobą. Rutowski zwolna kapelusz włożył na głowę, spojrzał w zwierciadło, uśmiechnął się do siebie i nucąc piosnkę zcicha, wysunął się z pałacu.

W ganku masztalerz w liberyi galonowanej trzymał konia... Z okna wyjrzała za nim matka zapłakana, ale nie podniósł oczu na nią i puścił się galopem ku saskiemu pałacowi.

Król nie był wcale rad ze stolicy. Przybył do niej, przymuszony, ale wszystko co go tu spotkało, niecierpliwiło, co mu donoszono, gniewało. W kółku poufałym, które nieraz polscy pokojowi podsłuchali, wyrażano się ostro, mówiąc o wojsku i szlachcie. „*Canaille*“ było zwykłym epitetem; wspominają o tém współcześni.

Wyrażenie to, po polsku mające jeszcze dobitniejsze znaczenie, niż po francuzku, powtarzano po Warszawie, wyniesione z przedpokojów. Nawzajem téż nie szczędzono panom znienawidzonym najokropniejszych kwalifikacyj, a Fleminga imię nie wyszło z niczyich ust bez dodatku „niegodziwca i niebożnika.“

Pomimo takich usposobień wzajemnych, król, ile razy wyjeżdżał, ukazywał się, przyjmował senatorów, przybierał twarz wesołą i starał się łaskawym i uprzejmym okazywać. Umiał to doskonale August; na jego twarzy nikt nie wyczytał gniewu, nie poznał wzruszenia, chyba po wypływającym rumieńcu przelotnym; lecz gdy raz wezbrały w nim fale, strasznym był jak piorun i nie przebaczał nikomu. Mogła się i rzeczpospolita spodziewać, że gdy dla niej wybije zemsty godzina, zemsta ta będzie okrutna. Niecierpliwie wyglądał jój August; Fleming nie bez przyczyny odradzał. Vitzthumowie podszeptywali, że feldmarszałek stał się bojaźliwym i nieudolnym; Szaniawski z innymi bronili go, ukazując na wzburzenie, które w kraju panowało i rosło.

Szlachta, na ten sejm zebrana, przybyła z województw podżegnęta, kipiąca, głośno się dając słyszeć z odgrózkami. Hetmanowie obstawiali przy oderwaniu komendy Flemingowi, składając się przed królem, iż ani życia, ani tronu nie byłby pewnym, gdyby się na zamach jaki teraz porwać miano. Przeciwnicy Fleminga bili i w to, że umysły coraz się bardziej od dynastyi odwracały i pożądaný wybór królewicza stawał codzień trudniejszym.

Jednego z tych dni wiosennych, gdy w poufnych rozmowach wyczerpano już wszystko, co

za i przeciw Flemingowi i planom jego powiedzieć było można, król zwołał część senatorów na radę. Pośpieszyli na nią i ci, co Flemingowi byli oddani, i ci, co przeciw niemu knowali. Ilekroć podobne odbywało się consilium, więcéj ono zdawało się przeznaczoném dla zbliżenia ku sobie różnych żywiołów, niż aby król czynny w niem miał brać udział. August przybywał zawczasu zniecierpliony i znudzony; rozprawy go męczyły, myślami gonił gdzieindziej. Dotrzymywał jednak placu z obowiązku, spuszcza-
jąc się na swych wiernych, że oni dokonają wszystkiego. Oni mu dyktowali słowa, podszep-tywali rozkazy, zgóry przygotowywali wnioski.

W sporéj salce, przytykającej bezpośrednio do gabinetu królewskiego, od godziny już kilkanaście osób zgromadzonych było: biskup Szaniawski, hetmanowie obaj, kilku wojewodów, nie licząc codziennego tu Gałęckiego i pomniejszych wpły-wowych dygnitarzy.

Twarze wszystkie zafrasowane były i posępne. Z nieufnością rzucano wejrzenia i słowa; sprzeczano się zajadle, to milczano, przechadzając i grupując rozniaicie. Często pocichu rozpoczęta, rozmowa kończyła się opryskliwym sporem, który tylko bliskość króla od wybuchu powstrzymywała. Oczekiwano na zapowiedziane Augusta przybycie. Jeden z podkomorzych drzwi uchylił, wyjrzał i obliczył oczyma obecnych. Podwoje się rozwarły. Król wszedł. Powiódł wzrokiem posępnym po kłaniających się nisko senatorach. Twarz jego wyrażała niewysłowione znużenie; ziewnął nieznacznie i siadł na złocistém krześle, przygotowaném dla siebie. Złaza senatorowie stół, dzielący ich od króla, otoczyli. Niektórzy zdawali się chcieć wysunąć naprzód, inni wido-

cznie pragnęli się ukryć i zasłonić. Postawy zwiastowały już, że nikomu narada nie była przyjemną.

Biskup Szaniawski zajął miejsce pomiędzy królem a senatorami, jakby obu stronom służyć się wybierał za pośrednika. August, spojrzawszy nań, wzrokiem i ręką dał mu znak, by mówił.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się biskup kujawski — trudno się opierać oczywistości. Auspicja sejmu niedobra. Klamor gwałtowny; bodaj znowu nie zerwą.

Król zmarszczył się i pogardliwie uśmiechnął.

— Czegóż chcą jeszcze? traktat wiedeński przepadł! Zrobili co chcieli.

— Umysły są wielce wzburzone — dodał ktoś z za stołu.

— Nieprzygotowane — zcichu odchrząknął ktoś inny, poprawiając.

— Przygotowywać je wszakże miano ciągle — mruknął król szydersko.

— Górują jedni — począł biskup z wyrazem pewnego oburzenia — a drudzy nam psują, co się zrobiło. — Spojrzał dokoła, jakby oczyma winowajców chciał wskazywać. — Szlachtę podżegał! Gawiedź ta nieszcześna, której rozkiełznania pohamować niepodobna, sama z siebie nie broiła. Są tacy co dmą w te dudy, to oczywista.

Król usta zaciął i nie powiedział nic, popatrzył i czekał dalszego ciągu. Milczano trochę. Wtém wojewoda inowrocławski skłonił się i przybliżył. Biskup spojrział nań, usuwając się trochę.

— Zdania są podzielone — odezwał się Galecki. — Jedni utrzymują że sejm dojść może i wo cyferacye o skrypt i komendę dadzą się przytłumić lub odwrócić; drudzy twierdzą, iż się i ten zjazd rozbije o żądania panów hetmanów.

Obaj obecni spojrzeli po sobie i nie rzekli nie. Sieniawski rękę za pas włożył i patrzył ku oknu obojętnie; Pociąg czytał w twarzy króla i nic nie mógł z niej wyczytać, oprócz nieukontentowania.

— Sejm zostanie zerwany — mruknął chłodno Sieniawski. — Nikt szlachty nie podżega, sama ona wie, o co jej idzie i czego żąda. Sejm zostanie zerwany — powtórzył ciężej — święty Boże nie pomoże.

Galecki, zaledwie doczekawszy się końca, który tylko bliżsi mogli dosłyszeć, ciągnął dalej:

— Jeżeli sejm zerwa — rzekł — do akcji przystąpić należy. Niema na co czekać. Nie będę w bawelnę obwijał. Mamy dwanaście do czterestu tysięcy wojska, pod dowództwem feldmarszałka, które w pogotowiu stoi. Panowie hetmanowie (spojrzał ku nim szydersko) nie zbiorą na razie i czterech. Prezydya po miastach nasze. Czego tu czekać jeszcze? Jednym zamachem Kraków się opanuje, a w Warszawie i mysz się nie ruszy. Z zaufanych osób złożona rada zawołuje zmianę ustaw rzeszypospolitej i monarchią dziedziczną.

Gdy to mówił, panowie hetmanowie uśmiechali się. Ani Sieniawski, ani Pociąg nie przerywał, oczyma tylko dawali sobie znaki, komu przemówić należy, i Sieniawski zwolna począł:

— Mówisz, panie wojewodo, o naszych czterech tysiącach wojska. Ha! jużci, do tego przyszło, że ich więcej może zebrać będzie trudno; ale zapomniałeś że sto tysięcy szlachty ma szable i konie i związek w pogotowiu. Wy po miastach prezydya będziecie trzymali, a ichmość się sfederują i ogłoszą gdzie bezkrólewie. Odzywają się głosy już dziś za Leszczyńskim... pójdą górą.

— Zatem—przerwał popędliwie wojewoda—
zatem z obawy owych związkowych nigdy nie
zrobimy końca? Dziś nie czas, jutro będzie za-
wcześnie, a naostatek zapóźno!

Wszyscy milczeli; kilka westchnień słyszeć
się dało. Król patrzył na końce długie kamizel-
ki swój, szytój złotem, i przebiebrał po niej pal-
cami.

Wtém Pociąg począł, mrucząc:

— Czas wszystko ostudzić i mityguje; dajmy się
ukołcić umysłem. Przyczyni się do tego najwięcej,
gdy pan feldmarszałek skrypt odda. Szlachta za-
spokojona uśmierzy się wtedy.

— Skrypt zwrócić nieodzowna rzecz —po-
twierdził Sieniawski.

Króla wreszcie wyrwało to z zadumy i roz-
targnienia; podniósł oczy, w których coś błę-
skało.

— Skrypt zwrócić, to znaczy oddać owoce
tego, na co się lat kilka pracowało—rzekł szy-
dersko—stracić wszystko, na co się ja na sejmie
pacyfikacyjnym zgodziłem, dla komendy Fleminga.
Rada jest wysmienita i bardzo prosta, lecz
prosiłbym o inną.

Potrząśł głowę znacząco.

— Najjaśniejszy panie—począł cicho jeden
z dalej stojących senatorów—ośmielam się zwró-
cić uwagę majestatu na to, że z pomocą pana
feldmarszałka Fleminga nic się robić nie da.

Król tylko popatrzył. Senator dłonią pogła-
dził głowę i zawahał się nieco; ale kość była
rzuconą, zebrał się więc na odwagę i mówił da-
laj, mimo skierowanego nań wejrzenia:

— Z panem feldmarszałkiem Flemingiem nie
się zrobić nie da. Zawziętość na niego tak wiel-
ka, że nikt się w obronie stawić nie waży. Pa-

skwilusze latają, szlachta, samo imię usłyszawszy, burzy się i odgraża. Tyle lat biędzy naszój, tyle wspomnień przyrosło do tego człowieka. Tu trzeba kogo innego.

Oburzył się biskup Szaniawski, ruszył gwałtownie i ręce rozpostarł.

— Gdzież mu podobnego znajdziecie?—zawołał.—Tacy ludzie na kamieniach się nie rodzą. Kto chce dobra istotnego, a nie rozterki i riekadu, ten z nim trzymać i przy nim stać musi.

Król, na którego spoglądano, zachował się politycznie, obojętnie; słuchał, patrzył, nie dając znaku ani za jedną, ani za drugą stronę. Korzystając tylko z krótkiego momentu milczenia, wtrącił:

— Paekwilusze mówiciel! Radbym wiedział, jakiej są treści? co to jest?

Senatorowie spojrzeli po sobie; jeden z nich począł szukać za kontuszem, po kieszeniach i z pliku papierów, który na stole rozrzucił, dobył kartkę małą. Z rąk do rąk ścigana wejściami, poszła aż do króla. Stał na niej znany dystych łaciński:

Fle—Super extremas generosae Poloniae ruinas,
Minge—Super nomen, quod nova bella parit.

Król zmarszczony odczytał dwuwiórsz i z pogardą na stół go rzucił. Jakiegokolwiek były osobiste jego usposobienia dla feldmarszałka, sprawa ta razem królewską była.

Milczenie panowało jeszcze.

— Szkoda że go tu niema—dodał król.—Czasu straciliśmy dużo, a zanosi się na to, że jeszcze czekać będziemy musieli. Ja od komendy nie ustąpię, bądźcobądź!

Powtórzył kilkakroć po francuzku:

— *Advienne que pourra!*

— Ja — odezwał się biskup, którego cała postawa energią wyrażała — ja ani się tak bardzo obawiam przyszłości, ani tak czarno jak drudzy rzeczy nie widzę. Panowie hetmanowie, którzy dobrowolnie skrypt dali, domagają się zwrotu jego. Przyznają się do tego, że z obawy szlachty to czynią. Szlachta z siebie nie krzyczy, lecz poddymaną jest; niech ustaną podżegania, uspokoi się. Dosyć utargowała na sejmie pacyfikacyjnym, aż nadto! Dac więcéj, to znaczy z władzy abdykować, gdzie właśnie władzę krzepić potrzeba. Ustępować i tchórzyc, zły to sposób; im więcéj ustępstw, tém wymagan więcéj. Szukajmy między sobą tych, co szlachtą trzęsą i mącą i niech powiedzą czego chcą, ich rychléj zaspokoimy.

Dziwne spojrzenia padły na biskupa, który oczyma zdawał się szukać i piętnować podżegaczy. Król się widocznie niecierpliwił.

— Dosyć ustępstw — rzekł. — Nietylko Fleming, i ja jestem za użyciem siły. Raz trzeba to skończyć! Fleming zbyt kunktuje.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się biskup, który tu zastępował i tłumaczył feldmarszałka. — Możebyśmy wistocie nie ulękli się owych stu tysięcy szabel; ale Brandeburczyk czyha na Gdańsk, Elbląg, Toruń i Prusy. Do Gdańszczan się czepia niedarmo; radby jakiegokolwiek pretekstu, aby wtargnąć. Byle najmniejsza u nas zawierucha, będzie z niej korzystał. Jeżeli wasza królewska mość ufasz przyjaźni Brandeburczyka, omylisz się na niej. Tam ani rzeczypospolitęj, ani waszëj królewskiej mości dobrze nie życzą. Najprzód się z tój strony upewnić potrzeba.

Król palcami bębnić zaczął po stole; chciał coś niby powiedzieć i wstrzymał się. Biskupowi tylko kilka słów szepnął na ucho.

— Żarłocznym kęsby jakiś, jak cerberowi, rzucić można—rzekł biskup.—Lecz to, na co on godzi, tego ustąpić dla salwowania nawet rzeczypospolitej nie można.

Powiedział to cicho; lecz jakby się domyślano o eo szło, z gromadki głosy się słyszeć dały:

— Żadnych ofiar Brandeburczykowi!

Przedmiot to był drażliwy do traktowania, nawet na tajemnej naradzie. Król podniósł głowę.

— A więc—spytał—jakie zdanie wasze, co poczynąć? jak się mamy kierować z tym sejnem?

— Cierpliwości!—zawołał biskup.—Czasu zażyć potrzeba, to jedyny lekarz na chorobę naszą. Im szlachecka owa agitacya większa, tém rychlej się przebierze i ochłodnie. W naturze jej jest że nie trwa. Feldmarszałek téż tego jest zdania, że przeciw gorącości trzeba stawić chłód i wy czekiwanie. Fleming zna najlepiej stan kraju i środki, jakich użyć można.

August z uśmiechem kwaśnym dodał:

— A tymczasem oddać skrypt i odebrać komendę!

— Uchowaj Boże!—rzekł biskup.

— Oddać! oddać!—odezwalo się głosów kilka.

— Nie oddawać! Oddać!—wołali razem ci, co byli za i przeciw.

— Fleming się jej rzec musil—rzekł hetman Sicniawski.

— Wolicie abym ją oddał Baudyczowi, czy Mierowi?—spytał król szydersko.

— A już i Mier byłby znośniejszy od Fleminga—wrzucił popędliwie Pociąg.—Szanuję go, ale co prawda, to prawda.

Król potoczył wzrokiem po zgromadzeniu, mówić się mu zdając, że ufności niema w radach. Powstał nagle z krzesła.

— Zdaje mi się żeśmy to uradzili, co rady nie potrzebowało—rzekł kwaśno. — Niéma nic do zrobienia i rozejdźmy się z rękami próżnemi.

— Skrypt niech powrócony będzie, a sejm dojdzie, jak Pana Boga kocham!—rzekł jeden z senatorów, bijąc się w piersi.

— Nie —rzekł król stanowczo—nie i raz jeszcze nie! Skryptu nie zwróci Fleming, bo ja się na to nie godzę. Dalście go... trzymamy. Opiérac się będę do ostatka. Zostalbyim bezbronnym na łasce panów, a jednego pięknego poranka mogłoby wam przyjść do głowy tak się mnie pozbyć, jak dziś pozbywacie się Fleminga.

Tchnął silnie i parsknął zarazem śmiechem król, śmiechem w którym było wszystko, prócz tego co do śmiechu pobudza.

Powiódł raz jeszcze oczyma dumnie po zgromadzeniu, lekko uchylił głowę i pozegnął je.

Senatorowie pokornie i smutnie pochyłać się też zaczęli. Niektórzy ruszyli się zaraz, bo im było pilno uciec z téj rady, lub skutek jój obwieścić swoim; inni, z ciekawosci następstw, ociągali się.

August, powolnie opierając się na łasce, szedł ku drzwiom gabinetu, za nim odprowadzając biskup i hetman koronny, jakby jeszcze mówić pragnął. Lecz król, gniewnie nań spojrzawszy, znak dał biskupowi i sam wyszedł z sali.

Wciągu tego antraktu, inni panowie powychodzili; zostali tylko biskup z hetmanem który przybrał twarz inną po oddaleniu się świadków. Chciał się przed biskupem tłumaczyć i zbliżył się ku niemu z półuśmiechem.

— Księżę biskupie — rzekł — weźcież wy stronę naszą! Niepodobieństwo ukolysać umysły!

— Panie hetmanie — odparł z kapłańską śmiałością biskup — a któż je rozkolysał i kto je utrzymuje w tym stanie, jeśli nie wy? Czyż nie wiemy że pani hetmanowa na sejmiki szle, aby wszędzie domagano się skryptu od Fleminga? My z królem salwowaliśmy was obu w Lublinie i Warszawie, wyprosiliśmy amnestyą i zato piękna wdzięczność!

— Jako żywo, fałsz byśmy podzegli — ofuknął się hetman — tego mi nikt nie dowiedzie. Sami jesteście ściśnięci; nam i życiu naszemu grozi niebezpieczeństwo!

Głową potrzasał biskup, nie dowierzając.

— Darujesz mi, panie hetmanie — odezwał się. — Król i Fleming mają słuszość: albo skryptu nie potrzeba było dawać, lub go dziś nie odbierać. Znamy my szlachtę, inamy swoich co ją penetrują. Szlachta, panie hetmanie, to ciasto, a wy drożdżami.

Uśmiewać się począł z porównania. Sieniawski się zasępnął.

— Ja w pokątne roboty żadne nie mieszam się — odrzekł, w piersi się uderzając.

— Nie kijem, to go palką — odparł porywczo biskup. — Więć pani hetmanowa!

— Wasza ekscelencya — rzekł zimno hetman — słuchasz plotek.

— Tętnią po całym kraju, nie słuchac trudno, chybaby uszy zatknąć — odezwał się biskup.

Stali tak czas jakiś przeciwnicy, mierząc się ukradkiem oczyma. Hetman czuł że nie przemoże biskupa, którego charakter energiczny, szorstki, przebiegły, dobitnie się malował w oczach biegających żywo i ustach zaciśniętych.

-- Wasza ekscelencya przeciw nam!—westchnął Sieniawski.

— Panie hetmanie, jestem zawsze i wszędzie z logiką przeciw nielogiczności—rzekł biskup.— Nie było dawać, co trzeba odbierać. *Beatus qui tenet!*

Rozśmiał się. Stary hetman oddychał ciężko, oczy spuściwszy w ziemię.

— *Est modus in rebus!*—odezwał się po namyśle.—Trzeba coś zrobić, aby hałasy ucichły. Skrypt byle oddał, to obmyślimy *equivalentem*.

— Panie hetmanie—wesoło rzekł biskup.—Fleming z bajki owiej nauczył się, którą znacie ze szkoły, że mięso rzucić dla cienia nierozumem jest. Skryptu nie odda.

— Sejm będzie zerwany—dokończył hetman.

— Ha! jednym więcej! co robić?—zawołał Szaniawski.—Zniesiemy i ten ewent niefortunny, król powróci do Drezna i będziemy czekać upamiętania.

Nastąpiło milczenie.

Hetman jeszcze jakąś miał słabą nadzieję.

— *Tandem...*—zamruczał, wpatrując się w niezruszonego biskupa.

— *Tandem*, panie hetmanie — przerwał mu wesoło niby Szaniawski—*ex nihilo nihil*. Niema już nic do zrobienia. Król wie doskonale o wszystkiém, zatem winę na szlachtę składać trudno. Mówilem już: szlachta ciastem, które wy miesicic, jako chcecie.

— My, albo i nie my —szepnął tajemniczo hetman.—Innym się téż należy coś.

Pokiwał głową.

— Tak—szybko dodał biskup—*sum cuique*, i o innych wiemy; ale to pani hetmanowej nie oczyszcza, że ma do roboty współników.

— Nie zdałem przecie buławy na jéjmość — odezwał się hetman.

— Bezmała—potwierdził biskup.—Król wie o wszystkiém.

— A ja o niczém! — przerwał Sieniawski z dumą.

— I to właśnie nieszczęście, że wy o niczém nie wiecie—sarknął biskup.

Coraz mocniej sapiąc, czapkę mnąc w rękę, to poprawiając szabli, stary hetman do wyjścia się zabiérał.

— *Tandem*—powtórzył, wedle obyczaju swego cichym głosem, w którym smutek się przebił—*tandem* to u nas biéda, to choroba, to wrzód, żeśmy z sobą niezgodni. Idą jedni *ad sinistram*, *ad dextram* drudzy. Król i Fleming, mając w was podpory, twardo stoją, inaczejby ulegli.

Szaniawski rzucił głową lekceważąco.

— Tak jest—potwierdził—trzymam i trzymać będę z królewskim majestatem, dlatego że raz w kraju ład zaprowadzić potrzeba.

— *Z absolutum dominium?*

— Lepszém zaprawdę niż *chaos*—począł biskup, przechadzając się po salce i coraz mocniej rozgrzewając—lepszém niż *absoluta anarchia!*

— Z którą my od początku téj rzeczypospolitéj żyjemy—rzekł hetman. — Jeżeli chorobą ona jest, toć nie bardzo widać niebezpieczną.

— Do czasu konwulsye, ale wkońcu zadławi śmierć!

— Trucizną chorego nie uratujecie!

— Na truciznę waszą *antidotum* silne być musi—dodał biskup—tak mocne, jak ona.

Rozeszli się i stali po obu końcach sali. Hetman za klamkę trzymał, lecz jeszcze wrócił do biskupa.

— Księżę biskupie—przemówił łagodnie—naszym jesteście, trzymajcie z nami, nie z Flemingami.

— Trzymam z tymi, w których zbawienie rzeczypospolitej widzę.

— Zatem — westchnął Sieniawski, kłaniając się—modlitwom się polecam.

— Nogi całuję! nogi całuję!—żwawo podnosząc głos i kłaniając się téż, odparł biskup.

To mówiąc, przybliżył się ku drzwiom królewskiego gabinetu.

Na pukanie nikt nie odpowiedział; gabinet był pusty. Król z Vitzthumem, Friesenem i Rutowskim siedział w innym pokoju, fajkę wciągając, i rozmowa toczyła się już wcale nie o sprawach krajowych, ale o dawnych i nowych przygodach wesółych. Wino stało na stole. Rutowski spoglądał na ojca bacznie; widział z zaszępioną twarzą, ze sposobu siedzenia, trzymania fajki i palenia jej nawet, że August podrażniony, gniówny, znudzony, był tego dnia nie do rozbawienia. Najtłustsze opowiadania przelatywały mu koło uszów, jakby ich nie słyszał, lub nie rozumiał wcale.

Pułkownik wreszcie począł narzekać.

— Żaden chłop—rzekł—nie ma pańszczyzny gorszej, jak ja w Polsce z temi sejmami. Warszawa jest nieznosną dziurą. Choć do niej z sobą trochę życia przywozimy, wsiąka w nią jak woda w piasek i ani znaku. *Messieurs les Polonais* patrzą koso, węża kręcą, a choć się kłaniają, znać że radziby w łyżce wody utopili.

— A to prawda!—odparł król z roztarganiem.

— Ale na to zważać nie trzeba—dodał Friesen.—Swoje robić i bawić się. Nawet z polityki

wypada nieokazywać, że ich kwasy na nas robią wrażenie.

Król głową potwierdził ten aforyzm i gęstszy kłęb dymu puścił z fajki.

Rutowski, zakręciwszy się, zbliżył do stolika i nalany kielich wysączył rażno do dna. To mu myśli smętne rozbiło.

— Jutro wasza królewska mość—rzekł, poufale podchodząc—będziesz swoje gwardyę oglądała, nieprawdaż? a ja będę miał zaszczyt ją przedstawiać waszój królewskiej mości. Sasi nasi, znużony tu w Polsce, domagają się tego i należy się im oglądanie pańskiego oblicza. *Eh bien!* ja przy téj sposobności będę miał honor przedstawić królowi jednego rekruta, którego tu upolowałem w Warszawie i trzymam zakład, z kim się podoba i o ile chce, że mój nowozaślubiony podoba się waszój królewskiej mości.

To mówiąc, rozśmiał się figlarnie. Król, uderzony żartobliwym głosem i mową syna, odwrócił się ku niemu.

— Cóż za rekrut?—zapytał.

— Al to moja tajemnica—kłaniając się i śmiejąc, zawołał pułkownik.—Do jutra błagam waszój królewskiej mości o cierpliwość. Jutro się wyjaśni wszystko.

— W Warszawieś go znalazł?—pytał August.

— Jutro—powtórzył Rutowski—stawiać go królowi, wszystko opowiem; dziś nie mogę.

Zbliżył się i pocałował ojca w rękę.

— Będiesz z mego rekruta kontent—rzekł cicho—daję słowo na to. Takich jak on radbym codzień werbował!

— Cóż to, tajemnica?—odezwał się Friesen.

— Tylko do jutra—zakończył, biorąc kapełusz, Rutowski.

Lękał się zapewne, aby nan mocniej nie nalegano i pośpiesznie ucałowawszy rękę króla, nie dając mu się powstrzymać, wybiegł pułkownik z palacu. Chciał mu oczekujący nań sługa podać konia, ale Rutowski ręką dał znak, że go nie potrzebuje, chwycił płaszcz na ramiona i szybkim krokiem wysunął się na miasto. Obejrzawszy się po za siebie, czy nikt nie śledzi, osłonięty, rzucił się zaraz na lewo i nucąc, a unikając spotkania z przechodzącymi, dostał się do krakowskiej bramy.

Niedaleko od niej w lewo była niepozorna kamienica, na której dole gwar i szum słyszeć się dawał. Wiecha i grono złożone nadedrzwiemi wchodowemi oznaczały winiarnię, dobrze naówczas znaną, Duwała. W sieniach naoscież otwarte drzwi dawały widzieć we wnętrzu za stolami rozsiadłą szlachtę, która popijała, rozprawiła i klęła okrutnie. Niektórzy, przewodząc jęj, zabierali głosy i usiłowali popisywać się z wymową, ale gwar tłumił wykrzykiwania.

Zaledwie rzuciwszy okiem na izbę, Rutowski przemknął się mimo drzwi i pobiegł na schody ciemne, a dosyć brudne.

Nie zastukawszy nawet, na piérwszém piętrze otworzył drzwi po żołniersku, z hałasem, i wpadł do mieszkania.

Poprzedzała je ciasna sionka, w której, oprócz wysiedzianego starego krzeselka, nic nie było. Druga izba, do której wszedł pułkownik, z oknami na ulicę ku zamkowi zwróconemi, była w nieładzie wielkim. Przybranie jęj wcale o zamożności mieszkańców, ani o ich zamiłowaniu porządku, nie świadczyło.

Naścianach wisiało wprawdzie zwierciadło zamglone, parę niewyraźnych obrazków i na ćwieku gi-

tara; w głębi stała wysiedziana kanapa; kilka krzeseł, niegdyś lakierowanych i złoconych, rozrzuconych było po kątach, ale sprzęt cały zaniedbany, zszarzony, miał barwę starą i smutną.

Odżywiały tylko miezkanie na stole, na kanapie, po kresłach porozkładane przybory, zdające się odznaczać kwaterę wojskowego, który się do paradnego wystąpienia sposobil; mundur suto galonowany, kamizelka szyta bogato, kapelusik wytworny z pióropuszem, wszystko, aż do rękawiczek, czekało na pana.

Ale pana w pokoju nie było. Drzwi do drugiego stały otworem. Gdy Rutowski wbiegł, zapewne go po chodzie poznano, lub spodziewano się w téj godzinie, bo w téjże chwili ukazała się w progu, z krzykiem wesołym i uśmiechem na ustach, postać, o której na pierwszy rzut oka trudno było powiedzieć czém była, dzieckiem, mężczyzną czy kobietą.

Sliczne to zjawisko, którego twarzyczka uderzająco króla przypominała, króla gdy był młodym, z dodatkiem niewieściego wdzięku, króla wesołego i spragnionego życia, ubrane było po męzku, ale na białej koszulce, dosyć niedbale zarzuconej na słicznych kształtów ramionach, nie miało odzieży, i tak napół odziane jeszcze się wdzięczniej przedstawiało. Trudno odmalować śmiałość, żwawość, butę dziecinną pięknego stworzenia, z rozpuszczonemi włosami w nieładzie spływającemi na ramiona, z napół obnażonemi rączkami utoczonemi, z piersią odskakującą pod koszulką, w opiętym ubraniu na nóżkach, w pończochach i trzewikach niedbale włożonych. Śmiały się oczy jej, usta, drgały wszystkie fibry. Zobaczywszy Rutowskiego, piękne dziewczę z okrzykiem rzuciło się ku niemu i padło mu na

szyję, obejmując swywołnie. Serdeczne całusy i śmiech towarzyszył przywitaniu.

— Anusiu! trzpiocie ty jakiś! — zawołał, wyrwając się, Rutowski. — Nie mam czasu, przychodzę na chwilę tylko. Mamy ogromnie wiele i strasznie ważnych rzeczy do mówienia. Chodź, uspokój się. Siadaj przy mnie, słuchaj, a bądź uważną.

Dziewczę, śmiejąc się i ciągnąc go za sobą, pobiegło ku kanapie; Rutowski usiadł, Anusia pochyliła mu się na ramię i wlepiając w niego oczy figlarne niebieskie, ininkę zrobiła bardzo seryo.

Pułkownik na chwilę wszystkich owych ważnych rzeczy, o których miał mówić, zapomniał; śmiały mu się oczy i twarz oblęwała rumieńcem.

— Mów-że, słucham! — szczebiocąc prędko, zaczęła Anusia — ale mów-że! Goreję, palę się, przeklinałam cię! Jak to można prawie cały dzień mnie w niepewności zostawić? Kłęłam jak huzar! Ja nie wiem jak do jutra dożyję! Nie będę mogła usnąć, a muszę wyglądać świeżo jak różyczka, ślicznie, tak aby króla zachwycić, aby wam wszystkim pozawracać głowy i raz wyléć z téj okropnéj kamienicy... w świat! w świat!

Tchnęła całą piersią.

— Tobie to będę winna! O! nigdy, nigdy wdzięczną ci być nie przestanę, kochać cię będę...

— Do jutra? — spytał Rutowski.

Anusia się rozśmiała.

— Gdzież tam! zawsze!

— I przytém wielu innych! — dodał pułkownik.

— Nie, nie, ale oni we mnie wszyscy, wszyscy kochać się muszą! — zawołała, rączką w stół uderzając.

Śmiać się zaczęli i szeptali; Anusia rzucała się niespokojnie.

— Wszystko gotowe? — pytał Rutowski.

— Nie braknie ani szpilki — odparła Anusia.

— Fel masz być żołnierzem jutro, a mówisz o szpilkach, jak dziewczyna. Trzeba było powiedzieć: ani sprzązki.

Śmiech i uściski przerwały rozmowę. Rutowski nakazał milczenie.

— Słuchaj — rzekł — jeżeli chcesz, aby ci się udało, powinnaś być śmiałą, zuchwałą, napastliwą. Inaczej króla nie pochwycisz. Zapomnij żeś Anusią, a bądź huzarem, gwardyakiem, żołnierzem i... *bravo!* Zobaczysz, uda się doskonale.

— A! drzę! — krzyknęła Anusia — jakbym życie stawiała na kartę!

— Daję ci słowo, że twoją będzie wygrana — przerwał pułkownik — jeżeli posłuchasz mojej rady. Król znudzony potrzebuje rozrywki, nowości; oszaleje gdy cię zobaczy. Tylko, moja Anusiu, precz ze skromnością kobięcą i z manicrami niewieściemi; król się ich dosyć napatrzył. Żadnej minoderyi, ale coś szalonego, drapieżnego.

— O! o! rozumiem! — odezwała się Anusia — i choć się strasznie boję, ze strachu będę rozpaczliwie śmiałą.

Poczęła bić w rączki, które choć ładne i kształtne, zbyt malusie nie były; siłę w nich ojcowską znać było.

— O! jakbym chciała przespać już tę noc do jutra, doczekać téj parady! Suknie leżą jak ulane, wszyscy się mną zachwycają. Sama widzę, że w tym mundurze mi ładnie; a konia! o, konia zażyję tak... choćbym zginać miała, zobaczysz!

Przybrała minkę żołnierską, wzięła się pod bok i chwyciwszy kapłusik ze stołu, włożyła go junacko na główkę. Slicznie jej było.

— Słuchaj—począł Rutowski, przyciągając ją ku sobie.—Nie wątpię na chwilę, że jutro conajmniej spać się położysz hrabiną i wielką panią, ale, Anusiu, ręka, słowol

Podali sobie ręce.

— Słowo najświętsze! — odezwała się Anusia.—Co chcesz! wszystko co chcesz!

— Będiesz mnie słuchała!—kończył Rutowski.—Król ulegnie twemu wpływowi, rozkocha się tak czy owak w tobie, bo nie można ci się oprzeć, ty trzpiocie niegodziwy. Na dworze są partye, są różni ludzie, przyjaciele, wrogowie, intrygi. Nie zrobisz kroku bezemnie, ja cię poprowadzę!

— Zgoda! co chcesz! — dość obojętnie, o czém inném myśląc, odpowiedziała Anusia.—Będę nienawidzić kogo każesz i kochać serdecznie kogo pozwolisz.

Rutowski palcem pogroził.

— Kochać niepotrzeba bardzo—rzekł—ale nienawidzić... koniecznie. Wcześniej sobie zapisz imię Fleminga.

Anusia zdumiona trochę się cofnęła.

— Feldmarszałka?—spytała.

— Innego my nie mamy dotąd i dosyć nam na jednym—ciągnął dalej Rutowski.—Fleming jest moim, Marysia i nas wszystkich nieprzyjacielem. Z twoją pomocą obalić go musimy.

— O! dajże pokój! co ja w tém pomódz potrafię?—śmiało się dziewczę.

— Słuchaj mnie tylko, a będziesz u króla deszcz sprowadzać i pogodę, *la pluie et le beau temps*—odezwał się z francuzka Rutowski.—Ja

ci to mówię! Siwemi głowy u stóp twoich leżąc będą wszyscy; zostaniesz panią i władczynią. Czuję to, wiem, jestem tego pewny! Oczarujesz króla, jakeś mnie, a i tylu, tylu oczarowała! Tylko śmiało, tylko po żołniersku, obcesowo! Nie rumienić się nigdy! nie wzdragać ani kieliszka wina, ani ojcowskiej fajki!

Anusia uderzyła go po rękę.

— No! no! byłem zanadto nie była posłuszną — rozśmiała się. — Bądź spokojny; szatanem mi łatwiej być, niż aniołem.

Cóż smutnego zadźwięczało w tych wyrazach, lecz wnet wróciła wesołość, trzpiotowatość, i gdy Rutowski, powtórzywszy nauki swe, wyszedł na koniec, Anusia, wieszając się na jego ramieniu, przeprowadziła go aż do sieni. Szczęściem nikogo tu nie było, coby ją w tém niezupełném ubraniu mógł widzieć. Zdolu tylko dochodziła wrzawa winiarni, która rosła ku wieczorowi i zdawała się chcieć przeciągnąć na noc całą.

Nazajutrz, jak było zapowiedziane, przed pałacem saskim, odbył się wobec króla przegląd gwardyi, którą dowodził Rutowski. Król August wyjechał konno, strojny, otoczony świetnym dworcem, a co więcej, po wczorajszém znudzeniu, jeżeli nie wesół, to udający wielec ożywionego.

Pani podkarbina dnia tego była cierpiącą i nie znajdowała się na paradzie, choć inne panie wszystkie prawie powyjeżdżały na nią powozami, aby widzieć pana, słyszeć Szulca polską kapelę i zabawić się z młodzieżą, do okien karet przybiegającą z hołdami i nowinami. Spiegłowa i ona siedziały smutne w pałacu, gdy około południa zjawił się młody Sułkowski. Posłała go Aurora, że się może o córkę jej Kasię sta-

rać będzie, ale się to nie sprawdziło. Sułkowski tylko, wierząc we wpływ Fleminga, zalecał się wszechmogącej siostrze jego.

Wielki łowczy był ślicznym mężczyzną, pełnym grzeczności i ujmującego wdzięku, zwłaszcza gdy podobać się starał.

— Wielka, ogromna, nadzwyczajna nowina! — zawołał, siadając. — Najjaśniejszy pan, dzięki Bogu, w humorze, w jakim go od bardzo dawna nikt nie oglądał. Pułkownikowi Rutowskiemu należy się wdzięczność i chwała, że go umiał z sejmowej melancholii wyprowadzić.

Spieglowa drgnęła, nie śmiejąc pytać. Spuściła oczy.

— Był to prawdziwy *coup de théâtre* — mówił dalej Sułkowski. — Na paradzie, obok Rutowskiego, zjawiła się postać, która wszystkich oczy odrazu ściągnęła na siebie, amazonka, nie, młody oficer raczej, w pysznym mundurze wielkich grenadyerów poczdamskiego pułku, jak anioł ładny, jak szatan śmiały, na koniu siedzący jak berejter; król, zobaczywszy go, przepraszam: ja, bo oficer ten jest śliczną panienką, z początku stał jak osłupiały; poskoczył potem ku niej, napatrzeć się nie mógł i... oficera-panienkę zabrał do pałacu. Wszyscyśmy zauważyli niesłychane, nadzwyczajne podobieństwo grenadyera do króla.

Podskarbina, strwożona i niespokojna, poruszyła się, patrząc na Spieglową.

— Któż to jest? kto? — zapytała.

Sułkowski zapałszy się w głąb swojego kapelusza i wetrzymał z odpowiedzią.

— Mówią — rzekł wreszcie, ociągając się — że ta panienska-oficer ma być córką króla i Henryety Duval, którą tu pułkownik Rutowski wynalazł, opuszczoną i biedną. Dzięwczę, bardzo zręczne

i rezolutne, zachwyciło na pierwsze wejrzenie najjaśniejszego pana. Wszyscy prorokują, że wielka i świetna przyszłość ją czeka. Nowa to gwiazda na horyzoncie naszym, której wszyscy bić będziemy pokłony. Szczęśliwy Rutowski—westchnął łowczy—który ten nieoszlifowany diament wynalazł i mógł go ofiarować królowi.

— Ależ mój hrabio—przerwała Przebendowska—król ją wyposaży, wyda za mąż, przyzna i, jak inne swe dzieci, straci z oczów.

Wielki łowczy milczał.

— Król tak się nią zajął, jak nikim oddawna. Był zachwycony!—rzekł po chwili.

Spiegłowa nie śmiała się odezwać ani słowa, a wielki łowczy, widząc kobiety milczące i nieusposobione do rozmowy, wysunął się wkrótce.

We drzwiach prawie minął się z pułkownikiem Bieleke, którego feldmarszałek wysłał był na zwiady do Warszawy. Bieleke, zwykle wesół, pomieszany był i blady. Potwierdził on szczegóły przyniesione przez Sulkowskiego.

— W tém wszystkiém—dodał—tkwi zaródniedobry. Piękna Anusia będzie pod wpływem nieprzyjaciół naszych, a król tak się jój dał odrazu wziąć, iż wątpliwości niéma, że nad nim panować będzie.

— Cóрка?—przerwała Przebendowska—wątpię. Byłoby to bezprzykładném.

— Jest-to téż rzecz wyjątkowa—dodał pułkownik.—Nie podobnego nie widzieliśmy jeszcze. Opowiadano mi, że w pałacu posadził ją król przy sobie, tak jak stała, z konia zsiadłszy, do stołu, a gdy śmiała dziewczę do niego przepijając zaczęło i nedorzecznosci prawić, a po stole o fajkę się dopominało, stary zupełnie oszalał, porwał ją w objęcia, zaczął ścisnąć i całować i mówić,

że do munduru zaraz jój dał wstęgę i order orla białego, który z siebie zrzucił.

Panie słuchały smutnie.

Po Bielckem, z dopełniającemi wiadomościami i potwierdzeniem poprzedzających, przychodzili inni; o prawdziwości wątpić było niepodobna.

Nazajutrz głooszono, że przyznanie Anusi już zostało postanowione, a król miał ją kręować hrabiną; chodziło tylko o skomponowanie nazwiska. Drudzy donosili, iż apanaż, pałac, pensya były zapowiedziane.

Przebendowska i Spieglowa słuchały tych wieści strapione; szczególnież ostatnia gryzła się tém, widząc w całej sprawie robotę syna. Z porady Bielckiego wysłano z listami do feldmarszałka, oznajmując mu o tém, co się stało.

Z każdym dniem i godziną historia Anusi nabierała rozgłosu większego i znaczenia; do pewnego nawet stopnia zagłuszyła wrażenia sejmowe i krzyki szlachty na Fleminga.

Przygotowywano apartamenta dla Anusi w pałacu, ściągano dwór dla niój. Mówili jedni że na wyekwipowanie trzydzieści tysięcy, inni że sto tysięcy talarów dostała. Wszyscy przed piękną córką królewską bili poklony. Król po całych dniach siadywał u niój i obsypywał ją podarunkami, tém potrzebniejszymi, że w jednym mundurku, sprawionym przez Rutowskiego, zjawiała się, a garderoba jój składać się miała, oprócz fraka, z dwóch sukienek i niewielu koszulek. Ale już nazajutrz mogła się stroić w klejnoty i dostała konie wierzchowe. Wszyscy się wyścigali z podarunkami, które bardzo chętnie, mile, z dziecinną przyjmowała chciwością. Ojciec i bracia nakochać się jój nie mogli i nacieszyć

osobliwszą istotą, która nie była nic a nie do innych kobiet podobną, a miała wdzięk nieopłacony młodości niezwiędłej jeszcze, mimo życia, w jakim część jej spędziła.

We dwa czy trzy dni Anusia zwała się już Anną hrabiną Orzelską, od tego orderu Orła, który pierwszego dnia dostała, jak Rutowski od saskiej ruty.

Każda z tych wiadomości przybijała mocniej biedną Spieglową, która zasłała ze zmartwienia, przewidując następstwa niemiłe dla feldmarszałka. Z wpływem kobiety na króla, w pierwszych momentach zajęcia się nią, nikt w świecie walczyć nie mógł zwycięsko, a Orzelska była w rękach nieprzyjaciół. Aurora, zaniepokojona mocno, posłała po syna, aby ją koniecznie odwiedził.

Po wyprawieniu biletu, Rutowski cały dzień kazał czekać na siebie chorą matkę. Wpadł nareszcie wieczorem po obiedzie i winie, rozmarzony niemi, wesół nadzwyczaj i trzpiotowsko uśmiechający się do matki.

— Otóż widzi *chère maman*—zawołał zaraz od progu, chcąc za jednym zamachem wszystko ubić—że moja przepowiednia świetnie się ziściła. Czarująca Anusia króla, jak nas, oczarowała; mamy hrabinę Orzelską z apanażem, z pałacem, która z nami konno się upędza o lepsze, pije do kropki i fajkę pali aż strach. Cudowna dziewczyna! Takić było właśnie potrzeba, aby króla ożywić... Stał się innym. Śmieje się tym śmiechem, którego nie słyszeliśmy od lat dziesięciu, jest zajęty i zapomniał prawie o sejmie.

Spieglowa patrzyła na syna, wsparta na łokciu, poważna i surowa.

— Mój drogi — odezwiała się — rady moje i prośby u ciebie nic nie ważą, do tego nawy-

kła. Nie mogę przecież zapomnieć, żeś twoją matką. Wszystko to smutne, smutne... a co gorzej—straszne!

— Cóż w tém tak okropnego?—rozśmiał się Rutowski.—Król ją przyznał za córkę, a ja wprzód jeszcze za siostrę; ale to nie przeszkadza, że i stary król i ja młody głowyśmy dla tego trzpiota potracili, który zabięra się nas wodzić za nos, jak należy. Ale, *chère maman*, choć to niby córka, niby jakaś tam siostra, dla nas jest zupełnie obcą, nową istotą. Zjawiała się tak w porę, że nie możemy się nią nacieszyć. Króla nie poznajemy. Wszyscy się godzą na to, że od czasów Cosel, *de triste memoire*, nigdy nikim papa nie był tak zajęty. Myśli tylko o tym swoim ślicznym grenadyerze, stroi go, obdarowuje, a i mnie się też przytém coś dostało.

Ręka blada matki leżała zwieszona; chwycił ją i pocałował Rutowski.

— Niech się mama nie gniewa—dodał.—Co ją ma ten Fleming obchodzić? Orzelska nam pomoże do obalenia go.

Spiegłowa pochwyciła go za rękę.

— Guciu!—zawołała—właśnie o tém chciałam mówić z tobą. Masz-że być narzędziem intryg Vitzthumów i Watzdorfa?

— Wcale nie—odparł Rutowski—Fleming nie tylko im, ale nam wszystkim jest na zawadzie. Czas jego przeszedł, powinien ustąpić. Prowadzenie jego skończyć się musi.

Nadchodząca Przebendowska przerwała tę rozmowę. Nie mogła się wstrzymać, aby nie zapytała o nową hrabinę, o której mówili wszyscy, a Rutowski, zaczepiony, odezwał się z zapalem wielkim:

— Orzelska jest istnym cudem! Zawszem

był pewny, że na królu jej młodość i śmiałość uczyni wrażenie, alem się nigdy tak wielkiego nie spodziewał. Król na jej usługach; może się jej zawrócić główka. Osiemnastoletniej dziewczyny takiej jak ona nikt na świecie nie widział. W kordegardzie jest jak w domu, traktujemy ją jak dobrego koleżkę, a gdy chce grać rolę wielkiej pani, tak sobie daje radę, jakby się w pałacach chowała.

Raz rozpoczynając z tego tematu, pułkownik zdawał się niewyczerpany. Panie słuchały, ani mu się sprzeciwiając, ani okazując, co myślały o tém. Przebendowska upokorzona milczała. Zepsucie na dworze królewskim zawsze było wielkie, ale się stroiło w pewne szaty elegancyi i przyzwoitości; nigdy nie dochodziło do takiego jak teraz cynizmu.

W tej zabawce z osiemnastoletnią dziewczyną, schwyconą gwałtem w restauracyi Duvala, rzuconą na łup zepsutym wielkiego świata rozpustnikom, było coś upokarzającego dla tych, co króla szanować potrzebowali. Ojciec, który cieszył się dzieckiem znalezioném w tym stanie, co go mógł do rozpaczyprowadzić, przedstawiał się tak upadłym, iż podskarbina słowa znaleźć nie umiała na wytłumaczenie go, na uniewinnienie. Spiegłowa blada, zadumana, siedziała jak martwa; Rutowski tylko wszystko to znajdował tak naturalnym, wysmienitým, a swoje postępowanie tak zręcznym i szczęśliwym, iż się niém chlubił, jak czémś zaszczyt przynoszącym.

W świecie, który nawykł był coś jeszcze szanować i w rozpasaniu nawet, a dogadzaniu słabościom pewną stawiać granicę, wiadomość o Orzelskiej wywołała milczące przerażenie. Szemrac nie śmiano.

Na jednej z następujących parad wojskowych młoda hrabina wystąpiła w nowym mundurku szkarłatnym, szytym i galonowanym złotem, na koniu ze stajni królewskich, z którym jak szalona umyślnie dokazywała. Na dowód że wieści nie były fałszywe, włożyła wstęgę i gwiazdę orła białego. Ze wszystkiém tém śmiałej niezmiernie, zuchwale zgóry patrząc, silnej i zręcznej dziewczynie bardzo było do twarzy. Tłum się zbiegł na plac saski przyglądać temu dziwowskiemu. Serwuś też wstrzymać się nie mógł, aby nie pójść z innymi. Słyszał i on już o tej córce królewskiej, bo po ulicach, garkuchniach, winiarniach, nawet przedpokojach o czém inném nie mówiono.

Dobrze musiał łokciami robić i przebijać się pan Serwacy, nim się docisnął do miejsca, z którego mógł zobaczyć Orzelską w kapelusiku na bakier, u boku króla, poskakującą na koniu. Stał osłupiały i sam nie wiedział co myśleć o tém, tak mu się wydała osobliwszą istotą. Tłum szlachty, która się też zbiegła ją oglądać, oburzał się, śmiał, palcami pokazywał, a niektórzy, bledzi i strwożeni, zdawali się kary z niebios wyglądać.

Król jak rzadko wyglądał wspaniały, majestatyczny, wesół, strojny jak na przyjęcie najdostojniejszych gości. Siedział na swym ciężkim alezanie tak właśnie, jak go później na monumencie drezdeńskim snycerz miał na złocistym posadzić koniu, z głową wtył odrzuconą, z kędziorami peruki na ramiona spadającemi, z miną dumną i rozkazującą zwycięzcy, choć na placu boju nigdy mu się szczęście nie uśmiechało. Wola tylko okazania się wielkim czémkolwiek, choćby poczwarném, patrzyła mu z oczów i twa-

rzy. Ludwik XIV ze swą wspaniałością teatralną odbijał się w tym panu, którego naśladowane bohaterstwo śmiesznymby czyniło, gdyby nie trwoga i poszanowanie, jakie majestat wrażał.

Śmiano się z tych zachcianek króla na dworze brandeburskim, a niemniej z świetności jaką się otaczał, gasząc wszystkich w Niemczech panujących, i zazdroszczono mu pocichu.

Serwacy, jak odurzony postawszy długo dosyć przypatrując się paradzie, pociągnął do domu, jakby się wstydził swój ciekawości. Wiedziannoż wyszedł na plac i zaledwie powrócił, zawołano go do podskarbinsy.

— Wracasz acan z parady?—spytała pani.

— A tak jest, tak—przebąknął żując, Przebendowski.—Wszyscy szli.

— Widziałeś pewnie sławną amazonkę?

— A, stała... ja nie wiem... mówili że panna, z panem pułkownikiem Rutowskim przy królu.

— Jakże wygląda to stworzenie? — dodała podskarbina.

Serwus zająknął się i nie wiedział co powiedzieć; ramionami ruszał, język kąsał.

— Mówią że do króla podobna—bąknął.

Napróżno chciała coś z niego dobyć podskarbina, okazał się zupełnie niezdolnym do zdania sprawy nawet z własnego wrażenia. Domyśliła się tylko łatwo, iż przepelniony był jakąś zgrozą i niesmakiem.

Wieczorem przybył biskup kujawski, który, jako dworak i polityk, o rzeczy, dla duchownego zewszecznik drażliwój, unikał wspomnienia. Stękał tylko na opór jaki stawiano Flemingowi, na zatwardziałość panów hetmanów. Zostawszy z nim samnasam, pani Przebendowska wprowa-

dziła śmielój rozmowę na Orzelską. Biskup odechnął i wykręcił się sianem.

— A tak, tak, słyszałem coś... nie wiem.

Ręce rozpostarł, westchnął, oczy podniósł do góry i zagaił rozmowę o czém inném. Ale podskarbina była zbyt podrażniona, abysię zbyć dała lekko; ponowiła więc zapytanie, jak biskup, jako osoba duchowna, zapatruje się na to.

— Moja mościa dobrodziejko—odparł Szaniawski—to do mnie nie należy. Sprawa to księdza Dussika, tak, ks. Dussika (spowiednika królewskiego).

Zapytany czy widział hrabinę, biskup z niesmakiem a żywo bardzo zaparł się tego. Widozném było iż mówić nie chciał. Zwrócił tylko uwagę pani Przebendowskiej, iż nad interesami feldmarszałka pilnie czuwać było potrzeba.

Tak biernie zachowywało się całe duchowieństwo, gdy szło o prywatne życie króla, do którego nikt mieszać się nie śniał, ani chciał. Wiedziano dobrze iż protestantem być przestawszy dla korony, August ani katolikiem nie był, ani nawet chrześcianinem.

Sejm się agitował jeszcze, ale przewidzieć było łatwo, iż do końca nie dojdzie i zerwany będzie, jak poprzedzające. Burzliwiój daleko, niż na sali w zamku, było po gospodach w Warszawie, w pałacach panów senatorów, pod dworkach, w których się szlachta mieściła.

Hetmanowie obaj unywali ręce, składając wszystko na szlachtę, a śmielsze od nich pani Sieniawska i Pocijowa jawnie się krzątały, aby

mężom władzę przywrócić, lub dla skryptu Fleminga zerwać znówu narady.

Żadne prawo przejść nie miało, o niczem nie mówiono i słuchać nie chciano, póki Fleming skryptu nie zwróci. Hasło było dane, wszyscy bili w jedno; powtarzano tylko: „Niegodziwy Fleming niech komendę odda, skrypt niech odda!“

W izbie poselskiej, w sali senatorskiej, na radzie, król słyszał jedno: „Skrypt Fleminga!“ Upór ten wywołał w nim téż niezłomną wolę nieustępowania. Vitzthumowie, Friesen, cała klika feldmarszałkowi przeciwna poszeptywała, aby kazać mu to nieszczęsne pismo zwrócić. Król trząśł głową.

W pierwszych zaraz dniach nauczona jak papużka Orzelska u stołu, śmiejąc się, poczęła Augusta namawiać, aby tym hałaśliwym Polakom rzucił w oczy lichym papieru kawałkiem.

— Nudzą tém was, mruczą, pokoju nie dają! Pozbyć się ich trzeba.

Król rozśmiał się, nie odpowiedział i zagadał o czém inném. Musiano dobicie tej sprawy odłożyć do Drezna.

Pan Serwacy Przebendowski, jakby już zrozpaczywszy na przyszłość i nie wiedząc jasno, co miał poczynać, zachowywał się neutralnie, unikając tłumnych zebran. Radby się zamknąć w domu, zrana tylko wymykając na inszę do kościoła; ale często gęsto podskarbina go z czémś wyprawiała na iniasto.

Przebendowska była, spokojnie na pozór siedząc, dosyć czynną. Choć wszyscy przyjaciele Fleminga zrozpaczyli o jego sprawie, ona jedna spodziewała się, iż przeciwne wpływy zwyciężyć potrafi. Próbowwała nawet spotkać się z Pocie-

jową, lecz hetmanową, jawnie rozwinąwszy chorągiew swą, unikała jój widocznie.

Jednego dnia Serwuś wybrał się był, wedle swego zwyczaju, na mszę do bernardynów. Szedł z głową zwieszoną, przygarbiony ulicą, gdy uczuł jak mu się ktos rzucił na szyję i śmiejąc się, ścisnąć go począł.

— A ja ciebie szukam po téj Warszawie, jak igły w stogu—usłyszał głos pana Pawła—i ot, zaledwie złapałem! Teraz zjesz licha, jeśli puszcę na sucho.

— A czegoż mnie było szukać w sianie—odezwał się spokojnie Serwacy—kiedyś mógł znaleźć wprost w pałacu Przebendowskich? Toz wiesz.

— Ale ba—wołał Paweł—żeby mnie kto zobaczył iż tam chodzę i oskarżył o konszachty z Sasami! Nicglupim. Dziś na to niewiele trzeba, żeby uszy poobcinano. Wietrzyłem cię po ulicach, a koniecznie mi cię było potrzeba, bo Gintowt tu jest i dopomina się, abyś go odwiedził. Odmówić niepodobna!

Serwacy głową trząsnął.

-- Daj ty mi pokój! U Gintowta znów jakiego Minkiewicza natrafie i bięda będzie. Nie pójdę.

— Otóż masz! dla wilka w las nie iść, piękny mi z ciebie szlachcic! Wstydz się! Po Minkiewicz—czu teraz cię nikt nie zaczepi, wiedzą wszyscy jaką mu sowitą dałeś odprawę.

— Nie pójdę!—powtórzył Serwacy.

— Musisz i pójdziesz!—rzekł Paweł.—Cóż to ty w neutralistę się sobie chcesz bawic? Szlachcic jesteś i naboku masz stać, przypatrując się, jak my w pocie czoła przeciw Flemingowi walczymy?

— Albo to nie wiesz, że ja do jego dworu należę?

— Co, i sumienie i duszę sprzedajesz?—gorąco począł Paweł.—To cię już tak związali i kupili, że ci do Gintowta i do szlachty nosa pokazać niewolno?

— Słuchaj-że!—przerwał Serwacy, żując.

— Nie, nie słucham!—coraz głośniej wołał Paweł.—Musisz ze mną iść, albo cię za swego znać nie chcemy. Korona ci z głowy spadnie, gdy posłuchasz co się u nas dzieje? He? Za piecem siedząc, możecie myśleć to i owo, ale gdy się dotkniesz i pomacasz sam, dopiero wiedzieć będziesz, co się święci.

Zniękł Serwacy, zagadywał, opierał się, wzdragał. Paweł go pod rękę w ostatku pochwycił i pociągnął ze sobą. Nie było i wielkiego grzechu z powietnikami pogwarzyć, a przynajmniej ich posłuchać.

Ciągnęli więc na ulicę Walową, gdzie w dworku najętym podkomorzy Litwę swą przyjmował i musztrował. Była to właśnie godzina pierwsza kanoniczna śniadania.

Nietylko dworek cały pełen był, ale i ogródek przy nim, wśród którego ławy i proste stoły pozostawiano, pod chudym cieniem grusz i jabłoni. Jak na wsi, i tu misy z ogórkami kwaszonymi pierwsze miejsca zajmowały, potem chleb w wielkich bochenkach, sery z kminem i ogromne wódki flasze. Szlachta, gromadnie zebrana, siedziała; przechadzała się, a Dziubiński, od rana już w paradnym ubraniu, z czapką pod pachą, przy szabli (bo później odziaćby się nie miał czas), zapaniętałe pośród panów braci gospodarzył.

Drzwi w dworku wszystkie były poroztwiera-

ne; w pierwszej izbie gwar i gorąco nieznośne. Samo pospolite ruszenie i ciury obsiadły stół i ogórki; w drugiej izbie zgromadzeni byli *honorarios* na radę. Tu niemal sejmowano.

Podkomorzy, obaczywszy Serwacego, obie ręce rozpostarł, wyciągając je ku niemu. Ucieszył się nim niezmiernie.

— Niech cię uścisknę, bohaterze! (Tak go zwał od czasu sprawy z Minkiewiczem.) Niech cię kaczkę zdepczą, jaką mu dałeś pamiątkę! A dobrze mu tak, niech honoru nie tyka!

I śmiał się, ściskając go.

— Widzisz—dodał—przyszła kréska na Matyska. Na kolana padałem przed ichmościami: Uwolnijcie! na rany Chrystusowe! Nie pomogło... i oto w sejmie gardłuję!

To mówiąc, wprowadził go do drugiej izby, pod rękę ująwszy.

Tu wódka stała też sama, ale we fiaskach szlifowanych, a do ogórków, dla przekąski, dodane były dla wykwintniejszych podniebień wędzona kiełbasa i jaja twarde. Ten i ów, o miszkę otłukując jaja, w soli je maczał i zjadał chciwie, a rozmowa szła swoją drogą, choć usta pełne były.

Za stołem siedział wąsaty i puciołowaty cześnik Korbutowicz, szlachcic oszmiański, kawał prawnika, ze swadą wielką. Ten rej wiódł i mówił sam prawie. A mówił jako człowiek, który wie że go słuchać muszą, bo umie rzecz zaakomodować. Oczyma bystreimi ścigał po twarzach wrażenie swych słów, niekiedy sam ukazując wyrazem fizyognomii, jakie chciał uczynić na słuchaczach. Więc to się śmiał, to marszczył, to oburzał, a posłuszni wielbiciele cześnika naśladowali wiernie każdą wskazaną przezeń mimikę.

— Idźmyż *ad fontem* i trutynujmy—mówił Korbutowicz—rozważmy pilno czyny tego oto Fleminga, którego pewni ludzie chcą nam sprzedać za zbawcę i dobrodzieja. Znamy wiarołomcę tego ze staréj daty, nie jest dla nas *homo norus*. Czasu elekcyi nieszczęśliwie nam panującego króla jegomości z Przebendowskim, kasztelanem naówczas elblądzkim, on promował pryncypalnie saskie sprawy i jemu, a hetmanowi Jabłonowskiemu, August winien koronę, zaco Jabłonowskiemu, jak należało, zawdzięczył. He?

Wszystcy się rozśmiali, bo i Korbutowicz się też zaśmiał.

— Trzeba było królowi wojsko saskie w Polsce zatrzymać, bo mu to radził Fleming, więc jego głowa preteksty rodziła: primo od Turków niebezpieczeństwo, na co się łatwo ludzie wzięli, potem poszło o dobra Radziwiłłowskie, tandem o port w Połędzie, z którego nie miało być, dalej już o Inflanty—ano, nie antycypujemy.

Chrząknął mocno Korbutowicz i połowa szlachty, nawykła iść za nim, korzystając z pozwolenia, chrząknęła mocno. Uciekło.

— Po traktacie karłowickim—mówił dalej—po sejmie pacyfikacyjnym pierwszym, przyszła krwawa sprawa Sapichów z Ogińskimi, gratka dla Sasów, co ją i podzegli może, bo im Sapiehowie solą w oku byli. Posłano Fleminga gościć, czego jak dopełnił, światu wiadomo. Szedł potem pod Rygę, aby pieniędzy dostać. Nastąpiła inwazyja szwedzka i razem owa Farsalia olkienicka. Napłynęli do nas Szwedzi; znalazło Sasów, nietyle aby się bić z nimi, jak by z nas krew wysysać. Pomijam wszystki *nota eventa*. Czasu szwedzkiej prepotencyi znika nam z oczów,

aby tém wspaniałej potém nakazać się na teatrum. Czasu jego u nas absencyi rósł w piérze w Saksonii, strącając kompetytorów i plac sobie czyniąc jednemu.

Palce podniósł Korbutowicz do góry, rozśmiał się; niektórzy téż ręce podnieśli i śmiech pokazał się na twarzach.

— Z królem Stanisławem frymark o koronę nie kto inny prowadził, tylko on, aby ją Sasowi napowrót odkupić. Na sejmie 1713 r. fakcye Fleminga straszyły, że to już miał być ostatni, bo około wolności Rzeczypospolitej krzątać się zaczęto, jakby ją w saską klatkę posadzić. Jawném już było, iż z naprawy Fleminga i niektórych magnatów kuszono się o *absolutum dominium*, przyczém Jabłonowskiego ujęto i na Kenigstejnie osadzono, abyśmy znali, co nas czeka. Wprowadzono szesnaście tysięcy Sasów, aby nas oprymowali, a kto był duszą wszystkiego? Fleming. Między kwarcianymi już ich w kompucie było ze sześć tysięcy. Rozsiedli się, niszcząc nas, jako każdy na własnej poczuł to skórce. Mnożyły się fakcye, a we wszystkich on rękę maczał. Naostatek desperacya zrodziła konfederacyą, w której jak niezmiernie czynnym był, patrzyliśmy na to. Wszakci gdyśmy do konfederacyi przystępowali uniwersalami, ogniem i mieczem śmiał nam grozić, od niej odstraszać. On i Bautycz co dokazywali ze szlachtą — pamiętamy. Aż się narreszcie ruszyła, nie mogąc dłużej powstrzymać, i w wiekopomnym Tarnogrodzie związała, opresyi stawiając czoło. Fleming Gorzyńskiego przekupił, ale nie pomogło nic; musiał się w Wiśle zamoczyć, że się długo potém suszył. Pamiętamy i zdraдлиwe zawieszenie broni, na które ledwo Fleming kochany się

zgodził. Ciepło mu było, gdy potem, po bernardyńsku przebrany, do Poznania uciekać musiał, gdzie przed królem czyniąc relacyą, związkowych kanalami nazywał. On duszą, on motorem, on sprężyną, on podżegaczem do wszystkiego. Czyżż to sztuka, jeśli nie jego, hetmanowie w pole wywiedzeni, sławny ów skrypt w ręce mu dali, oręż na samych siebie? Kto owę ligę cesarską i angielską spoił, aby nas cudzoziemskimi zalać wojskami, pretendując abysmy zgubę naszą własnymi pieniędzmi opłacali? *Quo praetio* ów skrypt utargowany potajemnie, nikt nie wie; darmo go przecie nie dano, a póki on w jego ręku, nas w garści trzyma, albo raczej za łeb.

Tu Korbutowicz za czuprynę się wziął i szlachta się téż po wygolonych pogłaskała głowach.

— Pacyfikacyą to nazwali — dodał. — A no prawda że pokój mamy, nad który chyba w grobie lepszy. *Ubi solitudinem faciunt, pacem appellant.* A pustynię już z naszych ziem zrobili.

Wszyscy głowami słowa jego potwierdzili, wzdychając.

— Zatem nie nam do czynienia nie pozostaje — konkludował Gintowt — tylko opouować stale i stać przy tém, aby skrypt był zwrócony, jako waloru niemający, i *subreptive* wyfrymarczony. Sejm zerwać!

— Zerwać! — okrzyknęła szlachta.

— Inaczéj *finis reipublicae* i my w saskie chłopy pójdziemy!

Gwar się stał duży, aktós z tłumu dodał:

— Fleming już zwąchał pisno nosem, bo się z królem na sejm przybyć nie ważył; bał się znów od nas zmykać w habicie.

Zaśmieli się rażno wszyscy.

Wtém wstał przybyły z Serwacym pan Paweł

Połubinski i okiem mrugnął, czyniąc minę, jak by coś jeszcze ciekawego miał do powiedzenia.

— O ile mnie nosa starczy—odezwał się—wietrzę i ja... trupa czuję! Upadek Flemingowi się gotuje, a z nim razem padną wszystkie owe zakusy na swobody Rzeczypospolitej. Ma już on i pomiędzy Niemcami swymi nieprzyjaciół, którzy mu prędki koniec gotują.

— Co daj Boże, amen! — dokończył gospodarz.

— *Ni fallor*—odezwał się ktoś poważniejszy z koła—maluczko cierpliwości, a doczekamy się tego. Król starzeje, a jak dawniej bab słuchał, tak dziś każdemu rad, kto mu spokój obiecuje, którego niema ani w Dreźnie, ani w Warszawie.

Słyszając to, Serwacy mimowolnie się uśmiechał, żując. Spostrzegł gospodarz minę jego i, chwytając go za rękę, zapytał:

— No, a asindziej co o tém myślisz?

— Mało co ja o tém wiem—odparł zwolna zagadnięty—to tylko sobie miarkuję, że kto spokój lubi, ten właśnie ludzi niełatwo zmienia.

— Jest racya!—odparł gospodarz.

— Wszystko to—podchwycił Korbutowicz—paliatywa są, a remedium jedyne, które salwować może, abyśmy się Sasów pozbyli, przegnali ich, pomnąc co nas kosztują i—*non bis in idem!*

— A tu właśnie fakcya dworska, już za żywota króla, elekcyą synowi gotuje—odezwał się inny.

Zakrzyknęli wszyscy zgodném „*veto!* Boże nas uchowaj! Nie dopuścim!”

— I dopuścić nie powinniśmy—ciągnął Korbutowicz.—Mamy Sasów po szyję. Przyjdzie drugi, śmielszym będzie niż ten i zgubi nas.

— Mości panowie a bracia—zawołał Gintowt,

po kiełbasie usta otarłszy—respektuję *nomina magna*, cnoty antenatów w historyi jako karbunkuly błyszczące; mam weneracyą dla Sapiehów, są i Radziwiłłowie których cnocie hołd oddaję, nie uwłaczam Ogińskim, lecz wolno mi rzec, że podtenczas, gdy prywatą zapanowała. nikomu już wierzyć nie można, za nikim ślepo iść. Magnatów wszystkich mam w suspicyi—bez wyjątku. Sami ścianą stanąwszy, rady sobie szukać musimy.

Gdy to kończył Gintowt, młody, przystojny, zarumieniony mocno, pod dobrą już datą szlachcie, popatrzywszy nań, począł:

— A jakże tu, panie podkomorzy, poznać magnata i odróżnić od tego, który tylko ma gnaty?

Wszyscy śmiechem parsknęli.

— Magnat się mieni takim szlachcicem, jak i my.

— Gdy nas za nos wziąć potrzebuje — wtrącił ktoś.

— Drugi szlachcie od zruinowanego magnata więcej ma i gdzież *discrimen*? kędy *criterium*? — mówił młody szlachcie.—Ja powiadam, że i między magnatami są ludzie uczciwi, a i między szlachtą znajdują się zdrajcy.

Jakoś powiódł oczynia i trafiwszy na Pawła Połubińskiego, na nim go zatrzymał. Zacerwienił się pan Paweł.

— Do kogo pijesz?—zawołał.

— Do nożyc, co na stole sobie leżąc, gdy m o niego uderzył, brzęknęły—odparł podehmielony—a kto się nożycami być przyznaje, temu placu dostoję.

W jednej chwili Paweł skoczył, tumult się zrobił wielki i do szabel się porwano. Gintowt

począł wołać: „Na rany Pańskie!” Inni stanęli, rozbrajając; ale sierzysci przeciwnicy pohamować się nie dawali.

Serwacy, który stał naboku, zmuszony wprzód wypić kieliszek wódki, do której nie był nawykłym, potem winem ją zalać po zakąsce, poczuł jak w nim coś wzbięrało okrutnie. Wszystkie w osamotnieniu rozrosłe myśli i pojęcia o godności i obowiązkach stanu szlacheckiego uderzyły mu do głowy; gniewało go, że w onęj chwili, gdy najważniejsze sprawy rzeczypospolitej wszystkich sił i umysłów trzeźwych potrzebowały, tu się ludzie z sobą o lada co waśnili i od własnej krwi przelewu nie wzdrygali. Posłom ezas był na sejm, a tu karczemna zwada i śniadanie za stołem ich trzymały. Uniósł się nagle Serwacy po swojemu, jak to było w naturze jego, że albo milczał mrukiem, lub wybuchał bezmiary. Twarz mu się już purpurą obléwała; podniósł rękę dogóry—huknął:

— Proszę o głos!

Tak jakoś imponująco im to rzucił, że wszyscy w mgnieniu oka przycichli.

— Jam tu między ichmościami niemal obcy, choć swój—odezwał się. — Muszę, choćbyście mnie rozsiekać mieli, prawdę rzec, bo nie powstrzymam! Wstyd mi patrzeć i słuchać! Tu się sejm agitować ma, gdzie czynnych ludzi trzeba, a ichmość się o lada słowo za czuby między sobą bierzecie! Wodę warzyć nie pomożesz! Magnatów pluć, czy ich adorować słowami, nie zdało się na nic. *l'ox, vox, practereaue nihil*. Nie magnaci zdrajcy, ale my szlachta warchoły i do niczego! *Ambo meliores!* Chciełi, aby lepiej było, Flemingowi się oprzeć, fakeye zniszczyć, republikę uratować?... po trzeźwemu to, *pallcis verbis*,

corde magno czynić trzeba, nie głowę zalawszy i zdala się odgrazając, a gdy sprawa na stół, innych popychając naprzód, by nie wystąpić samemu! Dixil—zamknął Serwacy i ogromny zamach zrobił ręką.

Gdy wszyscy osłupieni stali, nie wiedząc co począć, czy się gnićwać, czy aplaudować, Przebendowski, czapkę nałożywszy na głowę, pomalutku wyszedł z izby, przez podwórze krokiem poważnym się przesunął i sam jeden znalazł się w ulicy.

Już był za parkanem, gdy gwar, zrazu cichy, potem coraz głośniejszy za sobą usłyszał, wołanie, krzyki. To go nie powstrzymało i z duszą jakąś osmutniałą poszedł do domu.

Gdy go świeże objęło powietrze, a został sam ze sobą i uspokoił się nieco, na pół drogi ku pałacowi rozmyślił się dopięro, że znowu niedorzeczność popełnił, uniósł się niepotrzebnie i szlachcie naraził, nieprzyjaciół sobie przyczyniwszy. Stało się wszakże: odwołać tego co rzekł ani chciał, ani mógł. Machnął ręką i po cichu wdrapawszy się na schodki do swój izdebki, napił się wody zimnej, wracając do rozłożonej na stole książki.

Wypadek ten, sam z siebie drobny i mało znaczący, większe daleko miał skutki, niżby się był kto mógł spodziéwać. Owa imprekacya pana Serwacego, zamiast oburzenia i gniewów, wywołała zapal nadzwyczajny i gorliwość. Wielu po wyjściu jego wołać zaczęło:

— Prawdę mówil!

Zwada ustała i co było deputatów sejmowych u Gintowta, chwyciło za czapki, spiesząc do izby, a poszło z mocném postanowieniem zerwania sejnu, jeżeliby skryptu Fleming nie zwrócił.

Sejm téż tego dnia późno rozszedł się wśród wrzawy niezmiernéj i dopominania upartego, aby komenda do hetmanów wróciła.

Gdy się to stało, król, który postanowił nie ustąpić, niemal uradowany końcem, choć wszyscy się gniewu spodziéwali, natychmiast wydał rozkazy, aby się z powrotem do Saksonii wybiérano. Niewiele go to wszystko obchodziło na prawdę, tak był w téj chwili zajęty Orzelską, którą chciał pokazać w saskiej stolicy i dwór swój nią ożywić i przyozdobić.

Wybiérała się téż z powrotem i pani podskarbina, lecz mając zdać sprawę bratu z wypadków, zbierała wszelkie informacye, tyczące się wrzawy, przeciwko Flemingowi na sejmie poniesionéj. Szły do niéj relacye z różnych stron bardzo szczegółowe; między innemi jedna wzmiankowała, iż najwięcéj do zaanimowania opozycyi przyczyniło się wystąpienie śmiało i ostre szlachcica, który taką prawdę rąbał w oczy panom braci, iż jak jeden na sejm potem pobieżeli skryptu się domagać. Poczéto śledzić kto był śmiałek, który tak gwałtownie wystąpił, i przyniesiono podskarbinie nazwisko Przebendowskiego. Nie chciała zrazu uszom wierzyć, widząc w tém innego jakiegoś imiennika lub omyłkę. Potém przypomniała sobie owe republikańskie opinie swojego *fuktołum* i, mocno podrażniona, postanowiła sama go o to rozpytać.

Nie domyślał się Serwuś wcale o co chodziło, lecz w progu stanąwszy, gdy okiem na nią rzucił, poznał odrazu, iż nieklaskawą nań była. Zwykle łagodna twarz podskarbiny bladą mu się zdała i wyraz miała surowy. Stał dosyć długo, nim przystąpiwszy doń, odezwała się tonem od powszedniego zupełnie odmiennym:

— Powiedz mi acan całą prawdę. Wy, nie kto inny, na jakimś zgromadzeniu u podkomorzego Gintowta, wystąpiliście z taką mową siarczystą, żeście, jak wszyscy tu twierdzą, najwięcej się nią przyczynili do zerwania sejmu?

Widząc że biedny Serwacy pobladł, chwiał się i zdawał pomieszany niezmiernie, pani Przebendowska dodała:

— Wiedziałam że acan masz głowę przewrconą jakimiś ideami niedorzecznymi, ale tegom się po nim nie spodziwała, abyś...

Serwacy ręce obie złożył na piersi jak pokutnik przed spowiednikiem.

— Przysięgam jaśnie pani — zawołał — żem nie innego szlachcie naówczas nie powiedział, Boże mnie skarż, oprócz że do niczego nie jest zdolna, językiem miele dużo, głowę sobie zaléwa, a do roboty się nie zdała. Pokajałem ich, to prawda — dodał Serwacy — myślałem że mnie tam spotka bięda, ale mi dali cało wyjść, a co się potem stało, ja nie wiem.

Podskarbina słuchała z uwagą, ramionami ruszając niecierpliwie.

— Tak, nie wiesz acan sam coś zrobił, a wszyscy świadczą, że sejm byłby się może nie rozszedł, gdyby nie to wystąpienie.

Poczęła przechadzać się po pokoju.

— Jakkolwiek mi acan jesteś potrzebnym — rzekła — po takim zgorszeniu ja go dłużej przy sobie trzymać nie mogę. Jedź acan do Gierdzielizek, nie chcę go mieć w Dreźnie, nie chcę!

Serwacemu się łzy w oczach zakręciły; żał było dobrej pani. Z pokorą nkląkł jak stał i ręce złożył, wołając:

— Pojadę wedle rozkazu, Bóg widzi, nie cza-

jąc się winnym. Jednej tylko łaski proszę, niech jasnie pani w gniewie mnie nie opuszcza i winę przebaczył!

— To chyba acana tłumaczy—odezwiała się zimno pani Przebendowska—żeś sam nie wiedział, co czyniłeś. Zło się jednak stało, a feldmarszałek, gdy się o tém dowiędzie, cierpieć acana we dworze swym nie zechce.

Nie życząc sobie dłuższej rozmowy przeciągać, pani Przebendowska, nie obejrzawszy się nawet na klęczącego, wyszła z pokoju.

Czuł Serwuś, że to, co go spotkało, było zasłużoném. Tegoż dnia począł zdawać wszystko co miał w ręku, zbierać swe ubogie manatki i natychmiast chciał jechać do Gierdzieliszek. Podskarbina, ulitowawszy się go, posłała mu przez Spieglową całoroczną pensyą, ale téj w żaden sposób przyjąć nie chcąc, Serwuś bez grosza niemal, drugiego dnia, niedopuszczony już do pożegnania, pod pozorem że pani chora była, wieczorem pałac opuścił, wprosiwszy się gdzieś do dworku na przedmieściu, nimby się do podróży przysposobił.

Unikał znajomych, aby się przed nimi nie tłumaczyć, i ani pan Paweł, ani podkomorzy Dziubiński, goszczący jeszcze w Warszawie dla sprawunków i gościńców, które kupował, o losie jego nie wiedzieli, gdy Serwuś już był na drodze do swoich Gierdzieliszek.

E P I L O G.

Rok przeszło upłynął od ostatniego sejmu. Hrabina Anna Orzelska miała już pałac wspinały w Dreźnie, dwór, pensyą i nieznane niedawno jeszcze dziewczę stało się potęgą, bo stary król okazywał do niej nadzwyczajne przywiązanie. Vitzthumowie, Watzdorf i całe stronnictwo nieprzyjazne Flemingowi zawczasu ją opanowało, chcąc użyć jako narzędzia do obalenia feldmarszałka.

Intrygi, trwające rok przeszło, chociaż znacznie króla oziębily, nie zdołały go przecież skłonić do stanowczego kroku. Fleming pozostał na stanowisku i sejm jeden jeszcze zerwany był, gdyż król się stałe opierał zwróceniu skryptu, trwając przy komendzie Fleminga. Pracowano tymczasem i przygotowywano cios stanowczy.

Przed sejmem 1724 roku, jednego wieczora siedziała ze swym bólem głowy podskarbina, zamknięta ze Spieglową, gdy w późnej już go-

dzinie usłyszały kroki, po których łatwo im było poznać feldmarszałka, powracającego zwykle o tej godzinie od króla i zachodzącego na dobranoc do siostry.

Wistocie on to był, ale już po chodzie ociężałym i powolnym domyśliła się pani Przebendowska, że ciężar jakiś niósł na ramionach. Ukazanie się jego potwierdziło te domysły. Twarz Fleminga, na której rzadko można coś było wyczytać, zazwyczaj jasna, pogodna i uśmiechnięta, napiętnowana była zniechęceniem i smutkiem. W tych latach walki niejedną już raz zniechęconym go widywała siostra, nigdy wszakże tak przybitym i znękanym. Spojrzawszy nań, pytała nawet o przyczynę nie śmiała. Mogła się jej zresztą domyślać, bo na nich nie zbywało w tych czasach; codziennie prawie starano się Flemingowi dokuczyć, tak zjadłych miał nieprzyjaciół. Feldmarszałek nie dał nigdy poznać po sobie, ażeby go co dotknęło: wyższym się starał być nad te ukąszenia i rozszczękiwania; zatykał na nie uszy, zamykał oczy.

Musiał więc coś ważnego zajść, gdy dnia tego Przebendowskiej dał odgadnąć, że cierpiał. Zręczna i pełna delikatności Spieglowa, pod pozorem dowiedzenia się o córkę, natychmiast się wysunęła. Brat i siostra zostali sami.

Przebendowska oczyma wywoływała tłumaczenie jakieś, któreby ją uspokoiło. Feldmarszałek milczał długo, patrząc to w sufit, to na podłogę. Wstał w końcu, z sarkastycznym na ustach uśmiechem.

— Kochana siostro — odezwał się. — Czegośmy się lękali i cośmy przewidywali, nadeszło — *le commencement de la fin*.

Podskarbina zwykle, w chwilach zniechęcenia

mająca sobie za obowiązek ducha dodawać bratu, podniosła głowę, czekając jaśniejszego tłumaczenia.

— Walczyłem do ostatka—rzekł Fleming— a ty jedna wiesz, ile ran pokryłem uśmiechem. Muszę też królowi oddać sprawiedliwość, że dotrzymywał mi placu do granic możliwych. Wreszcie starý wpływom wszystkich, co go otaczają, oprzeć się dłużej nie mógł.

Przebendowska pobladła.

— Ale cóż się stało? co?—zapytała.

— Wracam od króla—dodał Fleming krótko.—Postanowiono że skrypt hetmanom mam zwrócić.

Uśmiechnął się smutnie. Następstwa dobrze rozumiała podskarbina i spuściła głowę, nie mówiąc słowa. Feldmarszałek chodził po pokoju, ze spokojnością pozorną.

— Przerażono króla nową kofederacją, rosnącą niechęcią szlachty ku niemu, która synowi do tronu drogę mogła zaprzęć; znudzili mu się te sejmy, rozchodzące się z groźbami.

Westchnął.

— Sam król ci to powiedział?—spytała siostra.

— Sam i stanowczo. Usiłowałem walczyć jeszcze... napróżno! Vitzthumowie, Lubomirscy, nie wiem już kto, wystawili mnie przed nim jako marzyciela, który zawsze tylko psuł wszystko, a nie nigdy do końca doprowadzić nie umiał. Wiem niemal wyrazy, w jakich mnie przed nim oskarżono i jak odmalowano. August się opierał do ostatka. Użyto Orzelskiej, a ta jest dziś wszechmocną. Skrypt oddać potrzeba.

— I wyrzec się wszelkich na przyszłość nadziei, aby kraj od anarchii ratować?—podchwyciła podskarbina.

dopiero małżeństwo do Gierdzieliszek na przenosinyby zjechało.

Tego dnia i następnego Domcia, i wspominając przeszłe nieszczęście swoje, i z radości wielkiej że Bóg życzenia jej ziścił, dając opiekuna w człowieku, którego kochała od dzieciństwa, płakała niemal ciągle.

Serwacy z uszanowaniem wielkiem to ją po rękach całował, to przed nią stał, dłonie złożwszy, jak do modlitwy.

Interes z którym przybył nadspodziewanie się szczęśliwie i prędko rozwiązał; postanowiono ze ślubem nie zwłóczyć, dać rychło na zapowiedzi i przed wielkim postem wszystko skończyć.

Tak się tedy stało. Przez respekt i grzeczność wypadało prosić na wesele podkomorzego Gintowta, choć się nie spodziewano, żeby miał przybyć osobiście. Napisał, o błogosławieństwo prosząc, do państwa Przebendowskich Serwacy, wezwał też Derengowskiego i Połubińskiego listami, a Puciatę osobiście. Ciągnęło to za sobą i zaproszenie panny Rozalii, która od pół roku już żoną jego była.

Ponieważ podkomorzemu często nogi brzękły, podagra dokuczała i podróż zimową porą była dlań ciężką, sądzono iż się grzecznym listem za grzeczność wypłaci. Stało się inaczej. Gintowt, do serca wziąwszy zaprosiny, nogi poobwijawszy, z sanny dobrej korzystając, stawiał się z humorem wyśmienitym, ba, i z marcypanami.

Nie będziemy opisywali wesela, ani serdecznego przyjęcia gości we dworku na Zarzéczu; odbyło się tu wszystko wedle starodawnego obyczaju, przy błogosławieństwie duchownego ks. Bildiukiewicza, który i ślub dawał, i na traktamencie się znajdował.

Jedną tylko szczególną okoliczność wymienić nam potrzeba, gdyż się do Fleminga odnosi.

Siedzieli u stołu. gdy się mowa wszczęła o Dreźnie i pobycie w nim Dziubińskiego, który rozpowiadać lubił, jak polityczną korespondencyą prowadził z feldmarszałkiem i jakie go awantury w stolicy saskiej spotykały.

— Była. moiści dobro dzieju—rzekł—chwila, że mnie ten równie wielki statysta, jak niegodziwy machiawelezyk, przewrotnemi sofizmatami zupełnie obalamucił. Zawierzyłem mu, przystałem na jego wiarę, przyznaję się do tego—*mea culpa!* Oczy mi się otworzyły później dopiero, i spadły łuski z nich, za co Panu Bogu mojemu dziękuję, iż zawczasu, nim złe skutki, jakie złął wyniknąć mogły, nastąpiło.

Co Fleming zamierzał, jakie na nas spiski knował, w jakowe sidła chciał uplątać, wiecie wszyscy. Bóg w łasce Swój nie dopuścił, obronił i tarczą był tej rzeczypospolitej, która matkę Jego królową swą uznaje. Powiecie: umarł Fleming, bezkarnie, spokojnie, a choć zbrodnie knował, co nas krwi tyle i łez kosztowały, uszło mu to i wyszedł ze świata cały... Tak-li?

Obejrzał się podkomorzy.

— Otóż chyba nie wiecie tego—dodał—jaka go kara spotkała.

Milczeli wszyscy, a Gintowt-Dziubiński, widząc że to co miał opowiedzieć nikomu nie było znaném, przybrał minę uroczystą.

— *Patiens, quia aeternus.* Bóg czekał na upamiętanie się grzesznika, który spiskował do końca przeciwko swobodom naszym, czekał—a gdy się miłosierdzie wyczerpało, okazał na nim straszny pomsty Swój przykład.

— Jam-bo słyszał—przerwał Derer

oym

głosem
płanomonij, ja niech o kufce, i słowem szla-
checkiém ręczyć wam mogę, iż ona go jeżeli nie
za żywota, to po śmierci spotkała.

Obejrzał się. Czekali wszyscy, mocno zacie-
kawieni, coby to być mogło. Przygotowany wi-
dać do tego Gintowt, najprzód na tasiemce czar-
nej wiszące okulary na nos nałożył, potem z bo-
cznej kieszeni kontusza papier dobył, obejrzał
się dokoła i wśród milczenia powszechnego zain-
tonował:

— List z Drezna!

Nastąpiło milczenie.

— Rozmaite relacye, tyczące, się fakecyj do no-
wój elekcyi za życia króla, pomijam, a idę *ad rem*.
Pisze mi świadom rzeczy w te słowa:

„Wielkie tu uczyniły wrażenie fata jmc. pana
feldmarszałka Fleminga, na którego osobie po-
mścił Bóg to ćwiertowanie, jakiego się na rzecz-
pospolitój dopuszczał. Mam to z wiarogodnej
relacyi naocznego świadka, na dworze jw. z ks.
ks. Radziwiłłów Flemingowój, żony nieboszczy-
ka, iż gdy życia mizernego dokonał, wnet jej-
mość około pogrzebu krzątać się poczęła. Tan-
dem czy urząd miejski stolicy cesarskiej, czy
władza duchowna, bacząc na to że Fleming sły-
nał z bogactwa, zażądali od pogrzebu jego
20,000 guldenów.

„Targować się nie było sposobu, a jejmość
o zaplaceniu i słuchać nie chciała. Rozkazano te-
dy nocą ciało złożyć w wielką skrzynię kutą,
która wywiezioną być miała do Saksonii, jako

ważne papiery *status* zawierająca. A że wzrost nieboszczyka nie dozwalał go w skrzyni pomieścić, nie wahała się jejmość kazać nożi poobciąć, które też do kufra schowano (1). Tak z rozkazu małżonki, *opfer* — *in* *causa* domierzona z dopuszczenia Bożego, na prz. wszystkim tym, co się na prawa *immunitatis* Boga samego ustanowione, zuchwale rzucają. Fleming cwiertowany był po śmierci.“

Gdy kończył te słowa podkomorzy i po słuchaczach się obejrzał, mógł w ich twarzach wyczytać zgrozę i oburzenie, jakie wwołało do niełitościwe żony skąpstwo i nieposzanowanie zwłok męża.

— Gdybym tego z tak poważnych ust nie słyszał — odezwał się ks. Błdiukiew cz. — zaledwieby mi się wierzyć chciało.

— Święta prawda! — dokonał Dziubin-ski, list i okulary chowając starannie — prozę tylko o przebaczenie, że pośród wesela i powszechniej radości, takie *horrendum* do uszu waszych padałem. Zatem aby się zapomniało Fleminga i domierzonej na nim kary, wypijmy za zdrowie wszystkich tych, co heroicznie opór stawili w obronie żrenicy swobód Rzeczypospolitej.

Podniesli się wszyscy, ale toast weselości nie przyniósł i smutny obraz, jakim podkomorzy niepotrzebnie wszystkich zachmurzył, stał długo przed ich oczyma.

Koniec tomu 2-go i ostatniego.

(1) Historyczne.

Biblioteka Raczyńskich

JK 555



JK0555